SZKOŁA STRACHU
Wszystkie krucjaty ministra Czarnka

GRA MIGRANTAMI
Łukaszenka chce skłócić Europę

CO NAS CZEKA
O klimacie na chłodno

CENA SZCZĘŚCIA
Katastrofa Greka Zorby

NAJDALEJ STĄD
Wędrówka wzdłuż wschodniej granicy

Kraków 22 sierpnia 2021 nr 34 (3763) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Wyciszanie Polski

Kaczyński na wojnie z całym światem

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Ursula von Rydingsvard

Tylko sztuka / Nothing but Art

4 września – 17 października 2021
Centrum Rzeźby Polskiej
w Orońsku

ul. Topolowa 1
Orońsko
www.rzezba-oronsko.pl

40 LAT CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Organizatorzy

CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ

ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Galerie Lelong & Co.
Ursula von Rydingsvard Studio

Partner roku jubileuszowego Centrum Rzeźby Polskiej

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

Patronat medialny

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

TVP KULTURA

TVP 3 WARSZAWA

POLSKIE RADIO RDC Radio dla Ciebie

KS. ADAM

Boniecki: *Mój wpływ*

Najnowszy raport IPCC o zmianach klimatycznych, a właściwie jego pierwszy rozdział (42 stronice) dotyczący globalnego ocieplenia, adresowany do decydentów – nie nastraja optymistycznie. Już poprzedni z 2013/2014 r. wiał grozą, obecny nie wskazuje na poprawę sytuacji, chociaż naukowcy są w swoich stwierdzeniach ostrożni. W kolejnych raportach – ten jest szósty – od hipotez na temat wpływu człowieka na dzisiejsze zmiany klimatyczne doszli do niezachwianej pewności: nasza planeta się ogrzewa pod wpływem działalności człowieka.

Zmiany klimatu dotykają każdego regionu na świecie, a niektóre są już nieodwracalne: zakwaszanie się oceanów i zwiększanie się temperatury wody, topnienie lodowców itd. Od początku XX wieku poziom oceanów wzrósł o 20 cm. I nadal rośnie.

Wszystkie opracowane przez IPCC scenariusze, nawet najbardziej optymistyczne, zakładają przekroczenie do 2040 r. wzrostu globalnej temperatury o 1,5 stopnia w stosunku do epoki przed rewolucją przemysłową. Tempo wzrostu globalnej temperatury ziemi w latach 2011–2020 było wyższe o 1,9 niż w latach 1850–1900. Przyczyną szybkiego podnoszenia się temperatury jest – jak wiadomo – emisja CO_2 i metanu, w efekcie której dochodzi do topnienia podbiegunowych lodowców, co powoduje ulatnianie się metanu z wapiennych skał do tej pory pokrytych lodem. Emisja CO_2 jest przede wszystkim wynikiem spalania surowców kopalnianych, z węglem na czele. Dotychczasowe wysiłki, by przez radykalne ograniczenie emisji gazów cieplarnianych zmniejszyć zagrożenie planety, mimo coraz pełniejszej wiedzy, napotykają – jak wiadomo – na ogromne trudności. „Kraje, które skorzystały z wysokiego stopnia uprzemysłowienia kosztem ogromnej emisji gazów cieplarnianych, mają większą odpowiedzialność, by przyczynić się do rozwiązania problemów, które same spowodowały” – napisał papież Franciszek, powołując się na dokument biskupów boliwijskich. I dalej w „Laudato si” pisze o potrzebie „globalnych ram regulacyjnych, które by nakładały obowiązki i zapobiegały działaniom niedopuszczalnym”. Skutecznie...

W encyklice „Laudato si”, która jest konkretnym i aktualnym przewodnikiem etycznym po problematyce ochrony środowiska, papież wzywa do „zjednoczenia całej rodziny ludzkiej w dążeniu do zrównoważonego i zintegrowanego rozwoju”. Wzywa wszystkich do zaangażowania w ochronę wspólnego domu – Ziemi. Więc się angażuję. Nie palę w piecu węglem, jeżdżę samochodem LPG (z mniejszą emisją spalin, dwutlenku węgla oraz tlenków azotu), zakupy noszę w torbie papierowej, segreguję śmieci i kupuję tylko to, co naprawdę jest mi do życia i pracy konieczne. Czy to ma jakikolwiek wpływ? Wciąż są tacy, którzy skutecznie niszczą „nasz dom”. Może trzeba, jak Fundacja ClientEarth Prawnicy dla Ziemi i Kancelaria Gessel, pozywać władze za bezczynność w sprawie kryzysu klimatycznego? Fundacja nie stara się o odszkodowania, ale walczy przed sądami o uznanie odpowiedzialności państwa za zapewnienie bezpieczeństwa klimatycznego.

Po szóstym raporcie IPCC „Laudato si” czyta się inaczej. Encyklika uświadamia wymiar moralny tych spraw. A Franciszek podtrzymuje nas na duchu: „Nie można myśleć, że te wysiłki i tak nie zmienią świata. Działania takie rzucają w społeczeństwie ziarno dobra, które zawsze owocuje, niezależnie od tego, co można naocznie stwierdzić. Zapoczątkowują one w łonie tej ziemi dobro, które ma zawsze tendencję do rozprzestrzeniania się, czasami niedostrzegalnie. Ponadto praktyka tych zachowań przywraca nam poczucie godności, prowadzi ku doskonalszej głębi egzystencjalnej, pozwala nam doświadczyć tego, że warto iść przez ten świat”. ©℗

24 Niespołeczna Rzeczpospolita
PIOTR WÓJCIK
Nowy rzecznik praw obywatelskich będzie miał sporo pracy, jeśli zechce przyjrzeć się prawom socjalnym zapisanym w konstytucji.

40 Na mińskim szlaku
ŁUKASZ GRAJEWSKI
Najłatwiejsza dla migrantów i uchodźców z Bliskiego Wschodu i Azji Centralnej droga do Unii wiedzie przez Białoruś. Alaksandr Łukaszenka ma w rękach potężne narzędzie do destabilizowania regionu.

58 Ocieplenie na chłodno
ŁUKASZ LAMŻA
Nowy międzynarodowy raport klimatyczny nie pozostawia złudzeń – negatywne skutki globalnego ocieplenia odczujemy na całym świecie. Ale nie wszędzie będą one równie silne i równie oczywiste.

62 Nie jesteśmy bezpieczni
ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM KARACZUNEM, SOZOLOGIEM:
Do tej pory każda generacja myślała, co zrobić, żeby świat był dla następnych pokoleń lepszy. A my robimy wszystko, żeby im go odebrać i zostawić pustynię.

30 Nowe tory Kościoła
O. WIESŁAW DAWIDOWSKI
Apostolstwo zastąpiliśmy rządzeniem. W reformie nie ratowanie instytucji powinno być najważniejsze, tylko ukazywanie Królestwa Bożego.

64 Tako rzecze Zorba
RYSZARD KOZIOŁEK
Czy da się żyć radośnie, ale bez nadziei, jaką daje wiara, i bez lęku przed śmiercią? I czy da się żyć w ten sposób z innymi, będąc pożytecznym dla wspólnoty?

ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER // JANIS LAIZANS / REUTERS / FORUM // ANGELOS TZORTZINIS / AFP / EAST NEWS // EVERETT COLLECTION / EAST NEWS // ALBERTO PIZZOLI / AFP / EAST NEWS

6 Miejsce w szeregu
PAWEŁ BRAVO

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Zderzajmy się
PAWEŁ MARCZEWSKI:
Jak wyjść poza rozczarowanie demokracją, które łączy technokratę i populistę?

24 Niespołeczna Rzeczpospolita
PIOTR WÓJCIK

26 Szkoła strachu
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ JANKOWIAK-MAIK, NAUCZYCIELKĄ:
#CzarnekChallenge. Wszystkie argumenty za odwołaniem tego ministra

WIARA

30 Nowe tory Kościoła
O. WIESŁAW DAWIDOWSKI

34 Wszystko w rękach Boga
MARTA ZDZIEBORSKA:
Nigeria. Za porwanych księży biskupi okupu nie zapłacą

37 Lekcja geografii i religii
KAROL WILCZYŃSKI:
Katolicy z dalekiej Północy – niezwykła różnorodność

ŚWIAT

40 Na mińskim szlaku
ŁUKASZ GRAJEWSKI

44 Talibowie podbijają Afganistan
ALISHER SHAHIR Z KABULU, PAWEŁ PIENIĄŻEK
Wojska rządowe poddają kolejne miasta

MICHAŁ KOŚĆ / FORUM

TEMAT TYGODNIKA

12 Na wojnie z całym światem
MAREK KĘSKRAWIEC
Obóz władzy skreślił dogmat o sojuszu z USA. Aby przetrwać nadchodzące problemy polityczne i gospodarcze, musi usunąć z koalicji niepewne elementy i doinwestować mniej zamożnych wyborców. Oraz uciszyć media.

FELIETONY
29 JACEK PODSIADŁO
39 WOJCIECH BONOWICZ
56 HANNA KRALL
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: JOANNA RUSINEK DLA „TP"
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

46 Każdy w swoim kącie
ULA IDZIKOWSKA Z TRACJI ZACHODNIEJ: *Turcy w Grecji – mniejszość, której nie ma*

49 Twierdza Australia
PATRYCJA BUKALSKA: *Delta podważa sukces w walce z covidem*

HISTORIA

52 Cud Szanghaju
ALEKSANDER R. MICHALAK:
Opowieść o europejskich Żydach, którzy znaleźli schronienie w chińskiej metropolii

NAUKA

58 Ocieplenie na chłodno
ŁUKASZ LAMŻA

62 Nie jesteśmy bezpieczni
ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM KARACZUNEM, SOZOLOGIEM

KULTURA

64 Tako rzecze Zorba
RYSZARD KOZIOŁEK

68 Atrakcje i przynęty
DARIUSZ KOSIŃSKI:
Shakespeare bywa kulturową przynętą. Jest wykorzystywany nie tylko jako twórca, ale i jako marka

71 Czuły barbarzyńca
SEBASTIAN SMOLIŃSKI:
Leos Carax: reżyser, który potrafi wynajdywać siebie – i kino – na nowo

74 Załaskotać na śmierć
ANITA PIOTROWSKA:
Zapnijcie pasy! Do kin wchodzi „Annette" Leosa Caraksa

76 Wyprawa
LEKTOR *o książce Jerzego Szperkowicza „Wrócę przed nocą. Reportaż o przemilczanym"*

WAKACIE

78 Najdalej
MICHAŁ MILCZAREK:
Podróż ścianą wschodnią

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Rosyjska ruletka
Coraz więcej osób ze środowiska związanego z Aleksiejem Nawalnym wybiera emigrację. W obawie o życie, utratę wolności, w nadziei podjęcia działalności za granicą – pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Sztuka Powszechnie Nieznana [Podkast Powszechny]
W twórczości piętnastowiecznego malarza włoskiego Carla Crivellego wielokrotnie powracał enigmatyczny atrybut w postaci ogórka – o tym, dlaczego towarzyszył on Matce Boskiej z Dzieciątkiem opowiada **MAGDALENA ŁANUSZKA** powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

MIEJSCE W SZEREGU

Dawno nie otrzymaliśmy tak dotkliwej lekcji tego, jak się kończy lekceważenie międzynarodowego kontekstu pozornie czysto krajowych działań. W stosunkach z zagranicą liczenie, że ktoś nas „zrozumie", to błąd.

PAWEŁ BRAVO

Sekretarz stanu Antony Blinken wydał w zeszłą środę oświadczenie w dwóch sprawach, w których już wcześniej Waszyngton wywierał presję na Warszawę. Wyraża obawy co do nowelizacji Kodeksu Postępowania Administracyjnego – traktując ją (wbrew faktom, ale zgodnie z narracją prezentowaną przez Izrael) jako dokument w pierwszym rzędzie skierowany przeciwko interesom potomków ofiar Holokaustu – oraz zaniepokojenie uchwaloną przez Sejm ustawą zwaną potocznie lex TVN, którą (słusznie) uważa za wymierzoną „w najbardziej oglądaną niezależną telewizję informacyjną, a zarazem jedną z największych inwestycji amerykańskich".

Amerykański rząd troszczy się o warunki działania ważnych korporacji amerykańskich na świecie oraz z empatią traktuje stanowisko władz Izraela w konfliktowych sytuacjach: nic w tym zaskakującego. Warto jednak zapamiętać ten dokument, bo dawno już nie było równie dotkliwej lekcji tego, jak się kończy lekceważenie kontekstu międzynarodowego działań pozornie czysto krajowych. Oraz zapominanie, że to

Sekretarz stanu USA Antony Blinken (z prawej) i minister spraw zagranicznych Izraela Jair Lapid podczas spotkania w Rzymie, 27 lipca 2021 r.

często system naczyń połączonych. Wszczynając spór w jednym miejscu, można ponieść dotkliwe straty zupełnie gdzie indziej.

Patrząc tylko z punktu widzenia Warszawy, spraw wymienionych przez Blinkena nic nie łączy: pierwsza to dawno oczekiwane zamknięcie luki prawnej prowadzącej do haniebnych nadużyć. Zawiera wprawdzie wady, zasadnie wskazywane przez prawników zajmujących się reprywatyzacją, ale oni sami dodają, że rzecz dotyczy tylko w bardzo niewielkim stopniu ofiar Holokaustu (nie dotyczy bowiem kwestii tzw. mienia bezspadkowego). Ostra jej krytyka w Izraelu to w dużej mierze wynik tamtejszej wewnętrznej polityki, o czym piszemy obok. Z drugiej zaś strony, lex TVN to bubel prawny i próba politycznej ingerencji w rynek medialny – rzeczy, które krytykować ma prawo każdy demokratyczny sojusznik Polski.

A jednak widziane z zewnątrz stały się one pakietem, który teraz PiS musi rozwikłać łącznie. W relacjach międzynarodowych liczenie, że ktoś nas „zrozumie", jest błędem. Zwłaszcza jeśli otwiera się pola konfliktu, uważając, że nie ma nic do stracenia, bo partner i tak nas lekceważy (np. dogadał się z Niemcami w sprawie dokończenia Nord Stream 2 kosztem Polski i Ukrainy) albo że w końcu machnie ręką, biorąc pod uwagę np. naszą rolę strategiczną na wschodniej flance NATO (czytaj: nie osłabi obecności wojskowej nad Wisłą). A także dlatego, że ma ważniejsze sprawy na głowie.

Faktycznie, od upadku władz w Kabulu Ameryka ma wielkie straty wizerunkowe do nadrobienia. Klęska dwudziestoletniej próby zabezpieczenia ładu w Azji Środkowej oznacza trudne dziś do przewidzenia przetasowania w globalnej strategii Waszyngtonu i dziać się będzie wysoko ponad naszymi głowami. Globalne strategie mają jednak swoje lokalne realizacje i trudno sobie wyobrazić, jaką korzyść może odnieść Warszawa z tego, że wchodzi w tę gorącą fazę w roli problematycznego, nieprzewidywalnego partnera, który nawet nie umie sensownie wybrać pola, na którym chce zaznaczyć asertywność. ©℗

ANDREW HARNIK / AFP / EAST NEWS

Polska i Izrael: słonie w składzie porcelany

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

To historia o niezrozumieniu istoty rzeczy, które kolejny raz doprowadziło do dyplomatycznej katastrofy między Polską i Izraelem. Podpis prezydenta Dudy, który przypieczętował nowelę KPA bez dwóch poprawek Senatu (m.in. tej wyłączającej trwające już sprawy reprywatyzacyjne – jej uchwalenie pozwoliłoby zminimalizować awanturę), spotkał się z ostrą reakcją izraelskiego MSZ. Izrael wezwał na konsultacje chargé d'affaires ambasady w Warszawie, a polski ambasador usłyszał prośbę o przedłużenie swojego urlopu. Szef izraelskiego MSZ Jair Lapid nazwał nowelizację „niemoralnym, antysemickim prawem" i niektóre media izraelskie powtarzały za nim, że jej celem jest pozbawienie ofiar Holokaustu ich własności.

Polski rząd jest zdziwiony tą reakcją. Ponoć u źródeł tej awantury legł izraelski antypolonizm (którego w praktyce – choć mieszkam w Izraelu od sześciu lat – nie uświadczyłam). Warszawa domaga się zrozumienia dla własnej historii, lecz udaje, że nie rozumie, jak drażliwym tematem w Izraelu jest Holokaust i mienie jego ofiar. Właśnie to rozwścieczyło izraelski MSZ, który od miesięcy apelował do polskiego rządu o rozmowę. Oraz Izraelczyków, bo nowe prawo – choć tak ważne dla Polski – dokłada kolejną ranę do przeżyć starszych ludzi i ich rodzin, które chcą przed polskim sądem otrzymać potwierdzenie, że ich przodkowie byli polskimi obywatelami.

Reakcja Lapida – populistyczna i arogancka – pokazuje niestety coś jeszcze. Prodemokratyczny polityk, w przeciwieństwie do poprzedników z Likudu, szuka dziś sojuszników na Zachodzie. Skoro Polska w jego oczach przestała być jego częścią, nie widzi przeszkód, by pozwolić sobie na więcej.

Ten festiwal braku empatii tym razem może zaszkodzić biznesowi i relacjom kulturalnym czy edukacji. Nie mówiąc o wielu organizacjach na rzecz dialogu, działających w Polsce i Izraelu, które po każdej takiej awanturze kwestionują sens swojej pracy. Gdy zamykam ten tekst, premier Morawiecki mówi o „wzroście nienawiści do Polski i Polaków" w Izraelu, a Lapid wydaje oświadczenie, że „skończyły się dni, gdy Polacy krzywdzili Żydów bez żadnych konsekwencji". Słowa o nienawiści, powtarzane w nieskończoność, wciąż jeszcze mogą stworzyć rzeczywistość.

©℗ KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Był las, będzie Izera

12 SIERPNIA SEJM PRZEGŁOSOWAŁ nie tylko lex TVN, ale i poselski projekt „o szczególnych rozwiązaniach związanych ze specjalnym przeznaczeniem gruntów leśnych", znany jako lex Izera. Ustawa czeka już tylko na podpis prezydenta. Gdy wejdzie w życie, Lasy Państwowe będą mogły przekazać łącznie ponad 1200 ha lasu spółkom Skarbu Państwa lub samorządom na inwestycje związane z obronnością, innowacyjnymi technologiami, elektromobilnością i poprawą jakości powietrza. W praktyce na 996 ha pod Stalową Wolą powstanie Strategiczny Park Inwestycyjny (mówi się o fabryce procesorów), a na 238 ha w Jaworznie – słynna już fabryka samochodów elektrycznych Izera. Projekt w ostatecznej wersji dotyczy 80 działek (oraz terenów przyległych), ale organizacje ekologiczne i prawnicze alarmują: to bubel, który uchyla furtkę do prywatyzacji i wycinki lasów.

Ustawa była procedowana bez konsultacji społecznych – jako projekt poselski. Zakłada, że LP w ciągu dwóch najbliższych lat mogą oddać inwestorowi las w zamian za dowolny inny teren, „na którym jest możliwe prowadzenie gospodarki leśnej". Nowe prawo nie precyzuje wartości i stanu tych terenów, zakłada za to, że zamiana odbędzie się „bez obowiązku dokonywania dopłat w przypadku różnej wartości zamienianych nieruchomości". Zdaniem m.in. prawników z fundacji Franka Bolda ustawa nie zabezpiecza interesów Skarbu Państwa, może łamać unijne regulacje dotyczące pomocy publicznej, a samo zwolnienie tych gruntów z opłat i odszkodowań za wycinkę może nas kosztować kilkaset milionów złotych. W dodatku przekazane tereny Lasy Państwowe będą musiały uprzątnąć i wyciąć na nich drzewa na swój, czyli nasz, koszt. Od tego momentu inwestor będzie miał 10 lat, by zrealizować na zrębie np. inwestycję „służącą poprawie jakości powietrza". Jeśli się nie uda, Skarb Państwa będzie mógł zażądać lasu z powrotem. Lasu, którego już nie będzie. ©℗ KRZYSZTOF STORY

Graniczny test dla władz

MARCIN ŻYŁA

To nie jest żaden kryzys migracyjny, choć sugerują tak ton i język wielu doniesień z granicy polsko-białoruskiej. Fakt, od początku roku, głównie w ostatnich tygodniach, przekroczyło ją nielegalnie około tysiąca cudzoziemców, dziesięć razy więcej niż w całym 2020 r. Fakt, sytuacja ta jest efektem celowej polityki Białorusi, która pomogła tysiącom Irakijczyków oraz obywateli innych państw Azji i Afryki w podróży do Europy. Pomogła, dodajmy, cynicznie. Wykorzystała dramat wielu z nich, straumatyzowanych przez wojnę i prześladowania, w nadziei na wywarcie presji na Zachód.

Nie ma jednak powodu, aby statystyki oraz to, co dzieje się na samej granicy (głównie w powiecie sokólskim), budziły niepokój – poza gorzką konstatacją, że już któryś raz uchodźców i migrantów zredukowano do roli politycznego argumentu. Na wspomniane tysiąc przekroczeń granicy nie wydarzył się jak dotąd ani jeden incydent, który zagroziłby bezpieczeństwu kogokolwiek, o czym informuje sama Straż Graniczna. Według procedury cudzoziemcy poddawani są badaniom na covid, ustalana jest ich tożsamość, a następnie umieszczani są w strzeżonych ośrodkach. Wbrew nietrafnej terminologii stosowanej przez władze, ci imigranci nie są „nielegalni". Choć granicę przekroczyli wbrew prawu, powinni mieć możliwość starania się o przyznanie ochrony w naszym kraju.

Czy prawicowe polskie władze – te same, które w latach 2015-16 były współodpowiedzialne za kampanię strachu i nienawiści do uchodźców i migrantów – tym razem zachowają się o klasę wyżej od białoruskich? Czy zatrzymają międzynarodową reakcję łańcuchową „grania uchodźcami"? Nie wskazuje na to niestety rządowy projekt zmian w ustawie o cudzoziemcach, które umożliwiłyby wydalanie przybyszów bez gwarantowanej prawem międzynarodowym procedury azylowej. Ale pole manewru – wciąż jest. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

POGADAMY

„Będziemy podsumowywać okres mojej obecności w rządzie, będziemy też rozmawiać o najważniejszych wyzwaniach, które staną przed samym panem prezydentem, zwłaszcza o ustawie o telewizji i radiofonii" – powiedział Jarosław Gowin, zapowiadając rozmowę z Andrzejem Dudą przy okazji odbioru aktu swojej dymisji z rządu.

NIE POGADAMY

„Z przyjemnością z panem porozmawiam, ale muszę wiedzieć, kogo do siebie zaproszę" – odpowiedział Duda. „Nie umiem sobie odpowiedzieć na pytanie, czy stoi przede mną i odbiera dymisję człowiek, który chce realizować ten dobry program dla Polski, czy ktoś, kto postanowił zmienić front i pójść dalej w polityce z kimś innym", dodał, wyrażając nadzieję, że niedawny wicepremier nie stanie się częścią „totalnej opozycji".

JANUSZ PIECHOCIŃSKI / TWITTER

ZNAJDZIEMY

Różne bywają drogi byłych wicepremierów. Janusz Piechociński np. zaleca chodzenie na grzyby. „WRESZCIE SĄ" – pisze na Twitterze, informując, że poranny wypad w podwarszawskie zagajniki przyniósł mu 139 średnich i małych koźlarzy czerwonych.

DOJDZIEMY

Spacerować można również po bruku. Na ulicach wielu miast odbyły się masowe protesty w obronie wolnych mediów, przez Kraków zaś przeszli tłumnie uczestnicy Marszu Równości.

Pacjentom nie wystarcza telemedycyna

POPRAWĘ W DOSTĘPIE do lekarzy pierwszego kontaktu odczuła w maju, po ostatniej fali pandemicznej, ponad jedna piąta respondentów w reprezentatywnym badaniu Fundacji My Pacjenci. Według co szóstego łatwiej się też dostać do specjalisty oraz na diagnostykę. Ponad jedna trzecia podczas pandemii doświadczyła odwołania lub przesunięcia planowanego zabiegu. „Pandemia w dużym stopniu zakłóciła funkcjonowanie systemu. W niektórych dziedzinach, np. w onkologii, niesie to za sobą nieodwracalne skutki" – komentuje onkolog prof. Jacek Jassem.

W pandemii kontakt z lekarzem miały poprawić teleporady. Ocena tego rodzaju świadczeń wyraźnie się poprawiła: ponad 80 proc. badanych twierdzi, że podczas rozmowy telefonicznej mogło szczegółowo opowiedzieć o niepokojących objawach. Niemniej prawie co trzeciemu z badanych rejestrator odmówił – mimo prośby – bezpośredniej wizyty w gabinecie. Przypomnijmy, że według zarządzenia NFZ pacjenta można umówić na teleporadę tylko w kilku przypadkach: np. jeśli istnieje podejrzenie, że zakaził się koronawirusem, lub gdy potrzebuje on tylko recepty na leki do kontynuacji leczenia. „Lekarze i pacjenci doskonalą się w wykorzystaniu teleporady, ale nie może to oznaczać braku możliwości wyboru (...) formy wizyty" – podkreśla Magdalena Kołodziej, prezes Fundacji. ©℗ MAM

Ośrodki kryzysowe w kryzysie

PONAD POŁOWA POWIATÓW nie wywiązuje się z ustawowego obowiązku prowadzenia ośrodków interwencji kryzysowej – wynika z raportu Najwyższej Izby Kontroli.

Podstawą interwencji jest natychmiastowa pomoc psychologiczna, a także poradnictwo socjalne i prawne czy zapewnienie schronienia. Mimo to warunek natychmiastowości nie był dotrzymany w prawie żadnej ze skontrolowanych placówek (nierzadko psycholog był dostępny tylko w wybrane dni i w godzinach pracy ośrodka). Co trzeci potrzebujący nie otrzymał wsparcia psychologicznego.

Pięć dni – tyle średnio zgłaszający się do placówek czekają na pomoc. Brakujących psychologów zastępują osoby, które nie posiadają kompetencji w tym zakresie – pracownicy socjalni czy specjaliści pracy z rodziną. Problem z uzyskaniem pomocy był nawet w ośrodkach całodobowych. W jednym z nich telefon interwencyjny odbierał pracownik ochrony budynku. Wydatki na placówki ponoszone przez powiaty w latach 2017-2019 wyniosły łącznie 169 490,4 tys. zł.

Wiedza o ośrodkach interwencji nie jest powszechna, mimo to od 2018 do połowy 2020 r. z ich wsparcia skorzystało ponad 47 tys. osób, w tym blisko 7 tys. z powodu doznanej przemocy domowej.

©℗ ANNA GOC

NICOLAS ECONOMOU / REUTERS / FORUM

POŻAR ZA POŻAREM trawił przez niemal dwa tygodnie północną część greckiej wyspy Eubea. Zniszczeniu uległo terytorium o powierzchni 51 tys. ha, w tym olbrzymie połacie lasu. Gospodarka Eubei opiera się na rolnictwie i agroturystyce, ale tradycyjne zajęcia mieszkańców wyspy to m.in. zbieranie żywicy oraz produkcja miodu – teraz w praktyce zastopowane. Krytykowany za opieszałość służb ratowniczych premier Grecji Kyriakos Mitsotakis ostatecznie przeprosił, bronił jednak decyzji o ewakuacji mieszkańców. Choć greckim strażakom pomagały posiłki m.in. z Rumunii, Ukrainy, Serbii i Słowacji, sytuacji długo nie dało się opanować. Nie sprzyjała pogoda. W minionym tygodniu południe naszego kontynentu nawiedziły rekordowe upały. 11 sierpnia na Sycylii zanotowano temperaturę 48,8 st. Celsjusza – najwyższą w Europie, odkąd prowadzi się pomiary. Na zdjęciu: helikoptery gaśnicze podczas akcji na Eubei, 10 sierpnia 2021 r. ©℗ ŻYM

Talibowie wygrali wojnę w Afganistanie

WOJCIECH JAGIELSKI

Po dwudziestu latach i na dwa tygodnie przed wyjazdem z Afganistanu ostatnich amerykańskich żołnierzy talibowie wrócili do władzy w Kabulu. Wojna, rozpoczęta na jesieni 2001 r. inwazją USA – której powodem było udzielenie schronienia Al-Kaidzie przez rządzących wówczas w Kabulu pierwszy raz talibów – zakończyła się *de facto* ich zwycięstwem.

Talibowie potrzebowali niewiele ponad tydzień, by przejąć kontrolę nad prawie wszystkimi prowincjami kraju i jego najważniejszymi miastami. Wkraczali do nich niemal bez walki. Rządowe wojsko, na którego wyszkolenie, utrzymanie i uzbrojenie Amerykanie wydali prawie 100 mld dolarów, nie podjęło walki z partyzantką.

W niedzielę 15 sierpnia talibowie stanęli na rogatkach Kabulu. Wieczorem tego dnia z kraju uciekł prezydent Aszraf Ghani. Z Afganistanu uciekło także wielu dygnitarzy jego rządu (ewakuuje się zresztą, kto może, z zagranicznymi dyplomatami na czele; na kabulskim lotnisku działy się dantejskie sceny, całą niedzielę Amerykanie śmigłowcami przewozili tu personel swojej ambasady i palili urzędowe dokumenty). Talibowie zapowiedzieli, że przywrócą ustrój z czasów, gdy w latach 1996–2001 rządzili krajem. Nowemu rządowi przewodzić ma polityczny lider talibów mułła Abdul „Baradar" Ghani, a emir mułła Hajbatullah będzie Najwyższym Przywódcą.

Wielkie natarcie talibów ruszyło, gdy w maju Stany Zjednoczone zapowiedziały, że do 11 września wycofają się z afgańskiej wojny. Ale początkiem zwycięskiego marszu talibów była już ugoda, jaką w lutym 2020 r. zawarli oni z Donaldem Trumpem. Obiecali, że nie będą strzelać do wycofujących się amerykańskich żołnierzy, a Amerykanie nie będą więcej walczyć przeciwko nim. Nie obawiając się już obcego lotnictwa, talibowie mogli bez obaw przerzucać oddziały do Afganistanu, układać się z plemienną starszyzną i spokojnie szykować do ostatecznego ataku. ©℗

Korespondencja z Kabulu na s. 44.

Trzecia dawka jest skuteczna

PRAWIE MILION IZRAELCZYKÓW otrzymało już trzecią dawkę szczepionki przeciw COVID-19. Kampania tzw. szczepień przypominających trwa dwa tygodnie – do tej pory zaszczepiono nimi osoby powyżej 60. roku życia.

Tymczasem statystyki zachorowań wciąż rosną. W niedzielę Izrael odnotował ponad 5 tys. nowych przypadków zakażenia koronawirusem. Rząd spieszy się ze szczepieniami, bo chce uniknąć kolejnego lockdownu, zwłaszcza że w Izraelu zbliża się okres świąteczny. Specjaliści ministerstwa zdrowia nie mają wątpliwości, że trzecia dawka to jedyna skuteczna droga, by ocalić wiele istnień ludzkich. Badania nad preparatem Pfizera pokazują, że niezaszczepione starsze osoby mają pięciokrotnie większą szansę na poważne zachorowanie niż zaszczepieni z tej grupy. Dyrektor generalny izraelskiego ministerstwa zdrowia prof. Nachman Ash przewiduje, że w związku z trzecią dawką w kolejnym tygodniu liczba chorych w ciężkim stanie zacznie spadać.

Aby temu pomóc, rząd rozpoczął też wprowadzanie stopniowych ograniczeń. Dotyczą one m.in. dozwolonej liczby zgromadzonych osób w miejscach otwartych i zamkniętych. Nowością jest obowiązek posiadania „zielonego paszportu" przez najmłodszych już od 3. roku życia. Rodzice dzieci przed wejściem do niektórych miejsc będą musieli okazać poświadczenie przebytej choroby lub negatywny wynik testu. Zmiany dotyczą też podróżowania – przyjezdni z większości krajów świata są objęci obowiązkową kwarantanną, niezależnie od posiadanego kompletu szczepień.

©℗ KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
z Tel Awiwu

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie Grzegorza Chlasty. Słuchaj w środę 18 sierpnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycje można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie.

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ZAPOWIEDŹ
Na 6. Ogólnopolskim Kongresie Nowej Ewangelizacji „Miasto – rewitalizacja”, który rozpocznie się w Łodzi 9 września, odbędą się warsztaty o małżeństwach niesakramentalnych, homoseksualizmie, rozczarowanych Kościołem czy przemocy wobec kobiet i dzieci. Wśród gości będzie m.in. ks. Tomáš Halík.

WIKIPEDIA / DOMENA PUBLICZNA

NOMINACJA
Zeszłoroczne noblistki – profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley Jennifer Anne Doudna (na zdjęciu) oraz dyrektor Instytutu Maxa Plancka w Berlinie Emmanuelle Marie Charpentier – dostały od papieża zaproszenie do Papieskiej Akademii Nauk. Amerykanka i Francuzka otrzymały Nagrodę Nobla za opracowanie metody dokonywania zmian w genach CRISPR-Cas9, która bardzo uprościła manipulacje na DNA.

KOMENTARZ
„Komu zaufamy? Pokornej Maryi z Nazaretu czy słodko trującej utopii Lennona?” – pytał abp Wacław Depo podczas uroczystości Wniebowzięcia NMP na Jasnej Górze, komentując piosenkę „Imagine” przypomnianą podczas otwarcia olimpiady w Tokio. Czy dająca do myślenia piosenka Lennona rzeczywiście jest antyreligijna?

ADAM CIEREŚZKO / EAST NEWS

JAKUB PANKOWIAK, MUZYK, BOHATER DOKUMENTU BRACI SEKIELSKICH „ZABAWA W CHOWANEGO”:

Zabawa w chowanego trwa

ANNA GOC: Zdaniem Antoniego Długosza, biskupa pomocniczego seniora archidiecezji częstochowskiej, zgłaszanie przypadków pedofilii w Kościele jest „zaplanowanym atakiem na biskupów”, a biskup „sprzeniewierza się swemu powołaniu, gdy staje się prokuratorem donoszącym sądom na grzeszącego syna”.

JAKUB PANKOWIAK: Słowa biskupa Długosza, które są właściwie nawoływaniem do tuszowania pedofilii w Kościele, wywołują silne emocje. Tym bardziej że zostały wplecione w modlitwę, padły na Jasnej Górze.

Zaskoczyły Pana?

Nie, po roku rozmów z innymi skrzywdzonymi przez duchownych wiem, że takie podejście do ujawniania pedofilii jest dosyć powszechne wśród wielu polskich biskupów. Uderzająca była jednak reakcja ludzi, którzy uczestniczyli w modlitwie – tłum wiernych, biskupi, zakonnicy. Nikt nie przerwał, nie wyszedł na znak protestu.

O fali ujawnień mówił pod koniec czerwca o. Adam Żak, koordynator KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży, prezentując kolejne cząstkowe dane dot. przypadków pedofilii wśród duchownych.

Od publikacji filmu braci Sekielskich dostałem kilkadziesiąt wiadomości od osób skrzywdzonych przez duchownych. Większość z nich musiała przejść długi i bolesny proces, by zgłosić swoją sprawę. Wiele osób jest dopiero na początku tej drogi. Bardzo bym nie chciał, by nazywanie ich przez biskupa Długosza „szatanami” sprawiło, że znów zamilkną. Zwłaszcza że jego przeprosiny wyglądają na wymuszone, trudno uwierzyć w ich szczerość.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Zakres piątego przykazania

CZASAMI SIĘ WSTYDZĘ, że ona istnieje – powiedział w wywiadzie dla Deonu kard. Kazimierz Nycz, komentując fakt „ścisłej korelacji między szczepieniami a poziomem religijności czy z wynikami głosowania” na mapie Polski. Metropolita warszawski podkreślił, że sam ciężko przeszedł COVID-19 i dlatego m.in. zachęca wiernych do szczepień. Nie ukrywa, że spotykają go za to pogróżki. „Wypowiadam się na temat szczepień, bo uważam, że taka jest rola Kościoła i że ten głos powinien być jednoznaczny – podkreśla. – W sytuacjach nadzwyczajnych, a taką jest pandemia, obowiązuje pewien porządek, który trzeba włączyć, bo wchodzimy w zakres piątego przykazania, czyli troski o czyjeś zdrowie”.

O szczepieniach mówił także pomocniczy biskup krakowski Damian Muskus. Podczas kazania na Przeprośnej Górce koło Częstochowy – poświęconego m.in. napięciu między miłością do siebie a miłością do bliźniego – powiedział: „O ile można jeszcze zrozumieć autentyczne ludzkie lęki powstrzymujące przed decyzją o przyjęciu szczepionki, o tyle nie do przyjęcia jest negowanie jej skuteczności, obrażanie ludzi, którzy promują akcje szczepień, przemoc słowna w debacie publicznej czy akty wandalizmu”. Ocenił, że takie postawy wydłużają czas powrotu do normalności, a także „obrażają pamięć milionów ofiar na całym świecie”. ©℗ MAM

Niewolnicza praca dla papieża

CZY WARTO PISAĆ te wszystkie piękne słowa, skoro za ich publikacją kryje się wyzysk najbiedniejszych? – zapytał Franciszka, na łamach dziennika „Il Secolo XIX”, włoski pisarz Maurizio Maggiani. Prokuratura w Padwie oskarżyła kierownictwo agencji pracy tymczasowej i drukarni, gdzie powstawały m.in. książki papieża, o korzystanie z niewolniczej pracy pakistańskich imigrantów. Maggiani, którego powieści także były tam drukowane, zastanawia się, co autorzy powinni w takiej sytuacji robić.

„Uderzyło mnie to pytanie” – odpisał papież, przyznając, że współudział w wyzysku jest grzechem. Reakcją powinno być, jego zdaniem, nagłośnienie problemu, rezygnacja – nie z pisania i twórczości, tylko z usług skompromitowanych firm – oraz ustępowanie miejsca zepchniętym na margines, nawet za cenę własnej korzyści i wygody.

©℗ EA

MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS

Maratończyk idei

WOLNOŚĆ JEDNOSTKI nawet w warunkach zniewolenia, głoszenie słowa nieskrępowanego nakazami i zakazami opresyjnego reżimu, człowiek i jego prawa na pierwszym miejscu – Siergiej Kowaliow był wierny tym ideom przez całe życie.

Pogrążony w mroku jedynej słusznej ideologii Związek Sowiecki nie pozostawiał przestrzeni tym, którzy nie zgadzali się z odgórnie wyznaczoną linią. Kowaliow znalazł niszę – przez lata był autorem i redaktorem wychodzącej w podziemiu „Kroniki Wydarzeń Bieżących", niezależnego biuletynu informacyjnego łamiącego kłamliwy monopol władz na dostęp obywateli do informacji. Mówił o sobie: „Jestem politycznym idealistą, wierzę, że kłamstwo wcześniej czy później samo siebie ukarze". Dysydent Kowaliow płacił za wolnomyślicielstwo wysoką cenę – zwolniony z pracy, aresztowany, wyrzucony na margines.

W latach pierestrojki powrócił z zesłania do Moskwy, a po rozpadzie Związku Sowieckiego zaangażował się w życie polityczne, był wiceprzewodniczącym stowarzyszenia Memoriał, zajmującego się przywracaniem pamięci o ofiarach stalinizmu. W latach 90. został deputowanym Dumy Państwowej i szefem komisji ds. praw obywatelskich, pracował nad konstytucją nowej Rosji. Przeciwstawiał się militarystycznej polityce władz. Podczas wojny w Czeczenii domagał się poszanowania praw człowieka. Zostawił stanowiska i urzędy w proteście przeciw narastającemu autorytaryzmowi władz. W 2014 r. w związku z wydarzeniami na Krymie podpisał list do społeczności międzynarodowej z apelem o powstrzymanie rosyjskiej ekspansji.

Trzykrotnie był nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla. Polska odznaczyła go w 2009 r. Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi RP.

Siergiej Kowaliow zmarł we śnie 9 sierpnia w wieku 91 lat. Spoczął na cmentarzu Dońskim w Moskwie.

©℗ ANNA ŁABUSZEWSKA

KULTURA W SKRÓCIE

„FILM BALKONOWY"
Pawła Łozińskiego otrzymał Grand Prix sekcji Semaine de la Critique na Festiwalu Filmowym w Locarno. To historia reżysera, który przez dwa lata rejestrował spotkania z przechodniami, filmując wszystko, co chcieli mu o sobie opowiedzieć.

„PIERWSZE LATO KOŃCA ŚWIATA"
Nastazji Gonery znalazło się wśród finalistów Students Academy Awards i powalczy o nagrodę przyznawaną przez Amerykańską Akademię Filmową najlepszym filmom studenckim. Obraz Gonery został już nagrodzony Srebrnym Lajkonikiem za najlepszy film krótkometrażowy podczas 61. Krakowskiego Festiwalu Filmowego.

MIKOŁAJ ZACHAROW / REPORTER

„CICHA ZIEMIA"
Agnieszki Woszczyńskiej (na zdjęciu) to jedyny polski film, który zakwalifikował się do Festiwalu Filmowego w Toronto. Dramat z Agnieszką Żulewską i Dobromirem Dymeckim w rolach głównych powalczy o nagrodę w sekcji Platform. Krótkometrażowe „Fragmenty" Woszczyńskiej prezentowane były w 2014 r. w Cannes.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

ŁUKASZ GRAJEWSKI będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w Światopodglądzie w środę 18 sierpnia o godz. 16.00
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Kotom się nie chce

WIELE TRZYMANYCH W NIEWOLI zwierząt – od gołębi po szympansy – woli zdobyć pożywienie wymagające od nich wysiłku (np. naciśnięcia dźwigni) niż zjeść z dostępnej miski. Choć wydaje się to zbytecznym wydatkiem energetycznym, może zapewniać rozrywkę albo pozwolić lepiej poznać otoczenie. Badania opisane w „Animal Cognition" wskazują, że ta preferencja nie dotyczy kotów domowych. Mikel M. Delgado z zespołem najpierw przyzwyczaili je, że część porcji będzie znajdowała się w misce, a część w zabawkach utrudniających dostęp do karmy. Koty łatwo nauczyły się wydobywać pożywienie, ale gdy miały wybór, znacznie więcej zjadały bezpośrednio z misek. Nie jest jasne, czy ma to związek z ich naturalnym sposobem polowania – kotowate są znane z oszczędnego energetycznie wyczekiwania na ofiarę – czy z dostępem do stałego źródła pokarmu. Niechęć kotów nie powinna zniechęcać opiekunów – urozmaicenie sposobu podawania posiłków może mieć korzystny wpływ na samopoczucie pupili.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Skąd tyle energii u małych dzieci?

NIGDY NIE SPALAMY KALORII równie szybko, jak między 9. a 15. miesiącem życia – wynika z opublikowanych w „Science" analiz Hermana Pontzera i współpracowników.

Badacze porównali wyniki pomiaru tempa metabolizmu ponad 6 tys. osób w wieku od 8 dni do 95 lat. Okazało się, że małe dzieci biją na głowę nie tylko dorosłych (o ok. 50 proc.), ale nawet nastolatków i kobiety w ciąży. Wysokie tempo metabolizmu utrzymuje się do 5. roku życia, potem zaczyna spadać, by ustabilizować się u 20-latków. Po 60. urodzinach znowu się zniża – w efekcie 90-latkowie potrzebują 26 proc. energii mniej na każdy kilogram masy ciała niż młodzi dorośli.

Za zwiększone zapotrzebowanie na energię odpowiada rozwijający się mózg. Poczynione ustalenia mogą być ważne nie tylko ze względów dietetycznych – od tempa metabolizmu zależy także dobór odpowiednich dawek leków. ©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

NA WOJNIE Z CAŁYM ŚWIATEM

Obóz władzy skreślił dogmat o sojuszu z USA. Aby przetrwać nadchodzące problemy polityczne i gospodarcze, musi usunąć z koalicji niepewne elementy i doinwestować mniej zamożnych wyborców. Oraz uciszyć media.

MAREK KĘSKRAWIEC

Jarosław Kaczyński dokonał na naszych oczach dramatycznej zmiany w polskiej polityce. Nie tylko udało mu się przeforsować w Sejmie prawo wymuszające na Discovery sprzedaż pakietu kontrolnego korporacji TVN, ale jednocześnie zerwał z zasadą akceptowaną przez wszystkie rządy III RP, wedle której Stany Zjednoczone traktowano jako specjalnego gwaranta naszego bezpieczeństwa i najważniejszego sojusznika. Biorąc pod uwagę trwające od sześciu lat pryncypialne spory z Unią Europejską o praworządność, można powiedzieć, że lider Prawa i Sprawiedliwości uznał, iż w interesie Polski będzie wybranie trzeciej drogi. Lecz na taką fundamentalną zmianę strategii mogą pozwolić sobie jedynie silne państwa, a i tak zazwyczaj ryzykują wiele. W przypadku Polski taka postawa może się skończyć katastrofą.

Obserwując szaleńcze tempo głosowań, jakie podczas ostatniej sesji Sejmu narzuciła marszałek Elżbieta Witek, można było dojść do wniosku, że obrady prowadzone są w obliczu wrogich wojsk nadciągających pod budynek przy ul. Wiejskiej. Tymczasem nie głosowano nad szczególnymi uprawnieniami władz na czas wojny, ale nad przepisami dotyczącymi w zasadzie jednego podmiotu gospodarczego. Nie ma w tym jednak przypadku. Prezes PiS uznaje TVN za wroga Polski dysponującego konkretną siłą i zdecydował – niezależnie od gigantycznych kosztów całej operacji – o jego rozbiciu.

Poseł Marek Suski zapowiada, że TVN24 dzięki kolejnej poprawce nie straci prawa do nadawania sygnału poprzez satelity i kablówki, z kolei sama spółka twierdzi, że już otrzymała holenderską koncesję dla TVN24. Jednak nowa ustawa medialna i tak będzie wstrząsem, niszczącym dotychczasową potęgę tej telewizji. O sile Grupy TVN nie świadczy bowiem jej prestiżowy kanał informacyjny, ale naziemne stacje: TVN, TVN7 i TTV. To one przynoszą ogromne pieniądze i stanowią o finansowej atrakcyjności całego przedsięwzięcia. Konieczność obniżenia udziałów Discovery do ustawowych 49 proc. jest potężnym ciosem dla amerykańskiego biznesu w Polsce. Korporacja z Silver Spring będzie musiała w zaledwie siedem miesięcy znaleźć kupca na pakiet kontrolny akcji i zapewne nie może liczyć na uzyskanie rynkowej ceny. Nie wiadomo też, czy w ogóle znajdzie się w Europie ktoś odważny, by nabywać telewizję w kraju, w którym zasady rynku medialnego można wywrócić do góry nogami w jeden wieczór. Pojawiły się co prawda spekulacje, wedle których Discovery mogłaby odsprzedać udziały europejskiemu funduszowi inwestycyjnemu np. z Luksemburga, z klauzulą oddania akcji na żądanie i utrzymaniem dotychczasowej formy zarządzania Grupą TVN, jednak to na razie tylko spekulacje. A poza tym, co stanie na przeszkodzie, by Sejm kolejny raz zmienił ustawę, uniemożliwiając takie transakcje?

Za chwilę dalszy ciąg programu

Dla sprawy tej nie mają większego znaczenia zarzuty naszych władz, wedle których Discovery obeszło ustawowy obowiązek, by TVN należał do europejskiej spółki, poprzez rejestrację jej na lotnisku w Amsterdamie w wirtualnym biurze, bez zatrudniania pracowników. Zakładanie tzw. spółek celowych dla jednego projektu jest stosowane w wielkim biznesie i – choć budzi etyczne wątpliwości – do tej pory nie przeszkadzało Zjednoczonej Prawicy. Ani w 2015 r., gdy TVN kupił amerykański Scripps Networks, ani w 2018 r., gdy całość udziałów przejmowało Discovery. Wydaje się, że dzisiejszy atak na TVN to element szerszej strategii Jarosława Kaczyńskiego, by uciszyć wolne media. Ich symbolem są „Fakty" TVN, niezwykle krytyczny dla PiS program informacyjny, docierający codziennie do 3 mln widzów, który przebił popularnością „Wiadomości" TVP, uprawiające propagandę sukcesu władz i oczerniające stale jej przeciwników. ↦

MAREK MALISZEWSKI / REPORTER

Prezes PiS Jarosław Kaczyński. Wysokie Mazowieckie, woj. podlaskie, 20 czerwca 2021 r.

POL
ŁAD

MICHAŁ KOŚĆ / FORUM

Wysokie Mazowieckie, 20 czerwca 2021 r.

Nie byłoby jednak frontalnego ataku na TVN, gdyby nie zmiany polityczne w USA. Dla lidera PiS klęska wyborcza Donalda Trumpa i obecna prezydentura Joego Bidena (zaprzyjaźnionego z właścicielami Discovery) to jasny sygnał, że konserwatywna Ameryka przegrała w walce cywilizacyjnej z liberalną lewicą, z którą Kaczyńskiemu kompletnie nie po drodze. Emancypacja mniejszości etnicznych, promowanie ruchu LGBT+ oraz otwarta niechęć administracji Bidena do systemu politycznego kształtującego się w Polsce przekonały Kaczyńskiego, że niezwykle kosztowne dla budżetu inwestowanie w sojusz z zamorskim mocarstwem może przestać się opłacać. Zresztą, sygnały na temat kruchości stosunków polsko-amerykańskich dobiegały już za kadencji Trumpa. Mieliśmy wtedy ostre napięcia w związku z ustawą o IPN, a teraz doszedł jeszcze spór o TVN oraz rozczarowanie dogadaniem się USA z Niemcami ponad głową Polski w sprawie ostatecznej legalizacji gazociągu Nord Stream 2.

Zmianę stosunku do USA widać już wyraźnie w TVP. Od kilku dni dominuje tam narracja w stylu: „kupujemy od nich za miliardy najnowocześniejsze myśliwce F35, kupujemy czołgi, jesteśmy najwierniejsi w Europie, stawiamy się Putinowi – i co z tego mamy? Oni wciąż nie traktują nas poważnie". Dla USA jesteśmy jedynie politycznym średniakiem, którego można czasem wykorzystać w sporach z Rosją i niewiele więcej. Co innego jeśli chodzi o biznes. Niezależnie od tego, czy prezydent pochodzi ze środowiska Republikanów, czy też Demokratów, nie ma szans na elekcję bez pieniędzy bogatych przedsiębiorców i potem musi dbać o ich interesy. I z tym właśnie zderza się dziś Kaczyński, polityk przekonany o dużo większym znaczeniu Polski na świecie, niż to wynika z chłodnej analizy. Biorąc też pod uwagę zupełny brak wśród doradców Kaczyńskiego ludzi odważnych i niezależnie myślących (jak kiedyś Ludwik Dorn), można dojść do wniosku, że Polska pod rządami lidera PiS nie ma szans na prowadzenie ambitnej, ale zarazem racjonalnej polityki. Raczej możemy się spodziewać kolejnych szarż na arenie międzynarodowej i postępującej izolacji. Pierwszy jej sygnał to oczywiście konflikt z Izraelem o nowelizację ograniczającą prawa właścicieli znacjonalizowanych po wojnie kamienic i przedsiębiorstw. Ta ustawa nie jest antysemicka, gdyż zamyka roszczenia tak samo Polakom, jak i Żydom. Bardziej antysemickie było tolerowanie latami przez nasze sądy i urzędy dzikiej reprywatyzacji żydowskich majątków, dokonywanej na podstawie fałszywych dokumentów. Niemniej przegłosowanie kontrowersyjnej nowelizacji tego samego dnia, co lex TVN, bez profesjonalnego wyjaśnienia motywów, świadczy o kompletnym braku umiejętności prowadzenia polityki międzynarodowej.

Koncert życzeń

Zamach na TVN ma oczywiście równie ważny aspekt wewnętrzny. Z koalicji został ostatecznie usunięty Jarosław Gowin. Wyrok wydał na siebie sam, broniąc TVN i atakując flagowy projekt rządu, czyli Polski Ład. Wcześniej jego Porozumienie było potrzebne PiS-owi jako platforma, na której odbywały się resztki konsultacji projektów gospodarczych z właścicielami prywatnych firm. To dzięki Gowinowi, a wcześniej Jadwidze Emilewicz, nie doszło do otwartej wojny rządu z przedsiębiorcami. Lecz po ujawnieniu przez wiceminister Annę Kornecką skali kosztów, jakie poniosą w związku z reformą podatkową małe i średnie firmy, dni probiznesowej frakcji w Zjednoczonej Prawicy były policzone.

Wobec rozdętych programów socjalnych i napiętego do granic budżetu, rząd postanowił zabrać pieniądze prywatnemu biznesowi, dotychczas – wbrew rutynowym narzekaniom naszych organizacji gospodarczych – traktowanemu nieźle na tle polityki podatkowej innych państw Europy. Teraz będzie jednak obowiązywać prosta kalkulacja. Przy urnie wyborczej przedsiębiorcy znaczą dużo mniej niż pracownicy etatowi oraz rosnąca rzesza emerytów. To do nich kierowany jest dziś Polski Ład. Dla przykładu: propozycja 30 tys. zł kwoty wolnej od podatku oznacza, że ludzie zarabiający 2,5 tys. miesięcznie nie oddadzą fiskusowi ani grosza.

Poza tym PiS zapowiada drugi próg podatkowy podniesiony do 120 tys. zł, zwiększenie nakładów na ochronę zdrowia, budowę nowej sieci dróg, wsparcie dla emerytów, rolników i artystów, rozszerzenie programu 500 plus, inwestycje w baseny, świetlice i boiska, odbudowę zabytków, wreszcie zapowiedź silnego wsparcia dla małżeństw marzących o własnym mieszkaniu. Oczywiście, można się z tych obietnic śmiać i nazywać Kaczyńskiego sprzedawcą marzeń oraz przypominać, że równocześnie zamroził pensje nauczycielom, urzędnikom, pielęgniarkom i ratownikom medycznym. Pamiętajmy jednak, że w kraju, w którym ponad 2 mln młodych ludzi w wieku od 25 do 34 lat mieszka wciąż z rodzicami, marzenia takie stają się koniecznością, by w ogóle znaleźć siłę do życia.

Na szczytach PiS zakłada się też, że antyrządowe protesty nigdy nie przekroczą masy krytycznej, a lokalne społeczności coraz częściej będą stosować oportunistyczną strategię „godnego" przetrwania. Już dziś przecież samorządy, w których rządzi PiS, otrzymują ośmiokrotnie wyższe dotacje niż te gminy, w których władzę sprawuje opozycja. W efekcie wyborcy nieczuli na losy korporacji medialnych i problemy demolowanych przez władzę sądów mogą przy urnach kierować się pragmatycznym wyborem: głosowanie na władzę po prostu się opłaca. „Wszyscy kradną, więc głosujemy na tych, którzy dzielą się łupami".

A że w dłuższej perspektywie przekupywanie elektoratu oznacza poważne problemy dla finansów publicznych? Nieważne. Zdaniem Kaczyńskiego i Morawieckiego, budżet da się spiąć dzięki nieustannemu wzrostowi gospodarczemu Polski, rosnącemu popytowi i o wiele lepszej kondycji polskich przedsiębiorstw, niż mogłoby to wynikać z trwającej półtora roku pandemii. Z drugiej strony pojawiają się jednak inne oceny sytuacji. Tuż po swej dymisji Gowin zapowiedział, że drastyczne cięcie wydatków, zapewne szokujące dla beneficjentów programów społecznych, nastąpi przy układaniu budżetu na 2023 r. – gospodarka nie wytrzyma już wtedy inflacji, nadmiaru programów społecznych i inwestycyjnych.

Aby przetrwać kolejne kryzysy polityczne i możliwe tąpnięcie gospodarcze, władza musi usunąć z koalicji niepewne elementy i zastąpić je wyławianymi pojedynczo posłami. A także zawczasu uciszyć główne media. Zawczasu, czyli na przykład przed przyspieszonymi wyborami w maju lub październiku 2022 r., kiedy może być ostatnia szansa na wygraną partii Kaczyńskiego, zużytej kolejnymi aferami, systemowym nepotyzmem oraz możliwym kryzysem gospodarczym. W tym kontekście PiS-owi potrzebne są media zaprzyjaźnione, do których już dziś władza pompuje gigantyczne pieniądze, albo media osłabione lub milczące, bo ogarnięte strachem przed likwidacją.

Elity rządowe zakładają albo częściowy upadek Grupy TVN, albo jej wykup przez inwestorów nastawionych na komercję i zysk, a nie na walkę o wolność słowa. Znaczące też będzie, co w najbliższym czasie zrobi Polsat. Dziś, wbrew opiniom liberalnej wielkomiejskiej „bańki", stacja ta zachowuje się przyzwoicie i nie przemilcza faktów niewygodnych dla władzy. Na ile jednak starczy tej niezależności Zygmuntowi Solorzowi? Państwo PiS i jego tajne służby w każdej chwili mogą przecież zacząć szturm na mocno kontrowersyjną przeszłość właściciela Polsatu i Interii.

Domowe przedszkole

Kaczyńskiemu na razie udaje się zachować większość parlamentarną. Korzysta m.in. z ideologicznej dwoistości Konfederacji, w której obok siebie funkcjonuje frakcja narodowa oraz skrajnie liberalno-wolnościowa, niegwarantujące spójnego głosowania w Sejmie. Majstersztykiem było jednak przeciągnięcie w ostatniej chwili na swą stronę Pawła Kukiza. O ile „zdrajcom" z ugrupowania Gowina od razu zaoferowano stanowiska i wysokie pensje, to samemu Kukizowi ciężko byłoby coś sensownego obiecać za gwałtowną zmianę zdania i skuteczną, choć bezprawną reasumpcję głosowania nad lex TVN. Były muzyk z samych tantiem ma 200 tys. zł rocznie i nigdy nie palił się do stanowisk, a pisowską władzę zdarzało mu się nazywać bolszewikami. Ale dziś Kukiz twierdzi, ↦

Spór o dług

W PIERWSZYM KWARTALE tego roku – jak podał niedawno Eurostat – relacja polskiego długu publicznego do produktu krajowego sięgnęła 59,1 proc., choć jeszcze rok temu było to 47,5 proc. PKB. W ub. roku rząd pożyczył 290 mld zł, a do grudnia – jak wynika z informacji przesłanych właśnie do Brukseli – dołoży jeszcze 143 mld zł.
W takim tempie Polska nie zadłużała się od czasów Gierka. Gdyby poważnie traktować konstytucyjny bezpiecznik trzech piątych relacji długu publicznego do PKB (art. 216 ust. 5), należałoby już szykować się na drastyczne cięcia wydatków. Właśnie ten scenariusz ma zapewne na myśli odchodzący wicepremier Jarosław Gowin, gdy straszy rychłą zmianą fiskalnych paradygmatów rządu. Ale jeszcze z Gowinem w roli koalicjanta PiS uprawiał kreatywną księgowość i ukrywał część wydatków poza budżetem, np. tworząc fundusze do realizacji określonych zadań, aby na papierze nie przekroczyć konstytucyjnych minimów. Dlaczego ugrupowanie Kaczyńskiego miałoby nagle zaprzestać tego procederu w sytuacji, gdy w Sejmie z trudem ciuła większość? Gowin zapewne postanowił wykorzystać przeciwko byłemu koalicjantowi ich wspólną do niedawna strategię i nastraszyć socjalny elektorat.
Fiskalny optymizm polityków PiS opiera się na dość ryzykownym założeniu, że w najbliższych latach PKB będzie nadal dynamicznie rosnąć – także dzięki funduszom z Polskiego Ładu (w rzeczywistości – głównie unijnej dotacji). Dzięki temu relacja rosnącego długu do PKB nie ulegnie zmianie, a może nawet uda się ją poprawić – gdy część starych, wyżej oprocentowanych papierów skarbowych zostanie spłacona z kolejnych, tańszych pożyczek. Zdaniem neoliberalnych monetarystów, którzy w centrum ekonomii stawiają niski deficyt, takie podejście jest prostą drogą do katastrofy. Dla wielu ekonomistów młodszego pokolenia, przykładających większe znaczenie do zrównoważonego rozwoju gospodarki i społeczeństwa, kluczowe jest pytanie, na co rząd wyda pożyczone pieniądze, a nie skala deficytu.

©℗ MAREK RABIJ

↦ że zmieniona ustawa to ostatnia szansa na repolonizację, czego domagał się już w programie wyborczym w 2015 r. Trudno zrozumieć logikę tego wywodu. „Poprawiona" ustawa nie ma nic wspólnego z repolonizacją mediów, gdyż nie zamyka drogi do kupna TVN np. Niemcom, wobec których Kukiz wypowiadał się wielokrotnie negatywnie, a Donalda Tuska nazywał wprost namiestnikiem Berlina w Warszawie.

Pomimo wojny z niezależnymi mediami i odkrywanych przez nie co rusz afer poparcie społeczne partii władzy nadal jest wysokie. W połowie drugiej kadencji na PiS wciąż chce głosować 30-33 proc. Polaków. PO w analogicznym okresie miała poparcie 23-26 proc. elektoratu i znacząco już przegrywała z PiS. Co ciekawe, analiza lat 2015-21 wskazuje wyraźnie, że PiS dołuje w sondażach nie wtedy, gdy opozycja występuje z jakąś ciekawą propozycją programową, ale tylko wtedy, gdy PiS wywraca się o własne nogi: rozpętując wojnę z sądami, organizując wybory kopertowe, demolując kompromis aborcyjny, podpisując kompromitujące umowy podczas pandemii czy też tocząc wojnę z własnym nominatem w NIK, Marianem Banasiem.

Dla opozycji taka polityka to nadzieja na sukces, bo przecież ciężko byłoby jeszcze pół roku temu przewidzieć, że Kaczyński odwróci się od USA. Z drugiej jednak strony świadczy to o słabości naszej opozycji. Czy się to komu podoba, czy nie, przeciętny Polak obudzony w środku nocy wie, jaką politykę prowadzi PiS i jakie ma zdanie na poszczególne tematy. Tymczasem trudno byłoby chyba wskazać, jaki program ma Platforma Obywatelska Donalda Tuska, Polska 2050 Szymona Hołowni, Koalicja Polska Władysława Kosiniaka-Kamysza czy też Lewica Włodzimierza Czarzastego, Roberta Biedronia i Adriana Zandberga. Główna oś programowa tych środowisk od sześciu lat sprowadza się do krytykowania PiS za rozdawnictwo, niszczenie wolności słowa, konflikty z Unią Europejską, politykę antykobiecą, dewastację demokracji i sądownictwa. Niestety, ta strategia nie działa na tyle, by odsunąć PiS od rządów. Przeciętny wyborca wie, czego opozycja nie chce, ale nie ma pojęcia, jaka będzie jej polityka po dojściu do władzy, choćby w kwestiach programów socjalnych czy polityki podatkowej.

Polskie drogi

W zjawisku mijania się z potrzebami społecznymi niewiele zmienił na razie powrót do Polski Donalda Tuska. Ruszył on w krótką trasę w przyjazne Platformie miejsca jak Gdańsk i Szczecin, ale nie odważył się na razie zmierzyć z Polską B, a to właśnie będzie dla niego najważniejszy egzamin. W jego przypadku nie wiadomo w ogóle, czy tak naprawdę przemyślał głęboko, dlaczego naród odsunął Platformę od władzy. I czy ma świadomość, że trwające od jego wyjazdu do Brukseli ideowe przesunięcie PO na lewo nie jest dobrą receptą na sukces. Oznacza bowiem licytowanie się z radykalniejszą Lewicą i porzucenie zazwyczaj milczącego, ale licznie głosującego w wyborach centrum.

Jego powrót ostatecznie zabił też nadzieję na nową energię, jaką mógłby dać Platformie Rafał Trzaskowski. Zaledwie rok temu o mały włos nie został on prezydentem Polski, zdobywając ponad 10 mln głosów. Niestety, minął rok i z tej potęgi niewiele zostało, a Ruch Wspólna Polska jest wciąż słabo kojarzony w społeczeństwie. Powrót Tuska jeszcze bardziej ograniczy zainteresowanie tym projektem, ale może przy okazji wywołać wewnętrzne spory z Trzaskowskim.

Powrót Tuska dał jednak efekt sondażowy. Platforma może dziś liczyć nawet na 27 proc. poparcia. Problem w tym, że w ogromnej mierze jest to wzrost przypominający mieszanie łyżką w herbacie bez wsypania do niej cukru. Odbył się on przecież głównie kosztem partii Szymona Hołowni. Pokazuje to wyraźnie, że dotychczasowe poparcie dla byłego felietonisty „Tygodnika" oparte było na niezbyt solidnych fundamentach. Hołownia – jako nowa i sympatyczna postać w polskiej polityce – zyskał jesienią duże grono zwolenników wśród osób zniesmaczonych wewnętrzną degrengoladą PO, ale także był beneficjentem... Strajku Kobiet. Ruch ten powstał po zaostrzeniu przez Trybunał Konstytucyjny ustawy abor-

Dieta Kaczyńskiego

360 SPÓŁEK skarbu państwa pada łupem zwycięskiej ekipy po każdych wyborach. Nie zawsze zdajemy sobie jednak sprawę z rozległości tych biznesowych latyfundiów, które obecny rząd uczynił niemal oficjalnie narzędziem politycznej korupcji. 149,9 mld zł – tyle warte są dziś należące do skarbu państwa akcje tylko dziesięciu największych SSP, ale ta liczba jedynie w części oddaje ich ekonomiczny potencjał. W wielu z nich rządowy właściciel jest bowiem udziałowcem mniejszościowym, ale w rozproszonym akcjonariacie dysponuje największą liczbą głosów. Tak jest np. w wartej obecnie ponad 32 mld zł spółce PKN Orlen, w której do państwa należy niespełna 28 proc. akcji. Państwowe molochy dysponują gigantycznymi pieniędzmi. W ub. roku przychody Orlenu przekroczyły 86,2 mld zł. Grupy Lotos – 20,9 mld zł. Do kasy PZU wpadły ponad 23 mld zł. KGHM miał ponad 18 mld zł przychodów, a grupa Tauron – niemal 15 mld zł. Każdy z tych kolosów ma także na liście płac tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy osób, opłacanych zgodnie z realiami rynkowymi, gdy mowa o zwykłych pracownikach, lub na specjalnych zasadach, gdy w grę wchodzą partyjni nominaci. Media donosiły ostatnio o ok. 40 tys. zł miesięcznej pensji dla „skruszonego" posła Lecha Kołakowskiego, który miał wrócić do klubu PiS w zamian za posadę doradcy zarządu w Banku BGK. Wcześniej poseł nigdy nie parał się bankowością. Regułą politycznego kapitalizmu w Polsce był dotychczas ograniczony zasięg zmian kadrowych w SSP. Zwycięskie partie czyściły zarządy i zmieniały przedstawicieli w radach nadzorczych, ale nie ruszały stanowisk merytorycznych. PiS zerwał i z tą niepisaną zasadą, a dziś oferuje w ramach sejmowych targów wręcz pakiety stanowisk w SSP dla kaptowanych posłów. Przynosi to opłakane rezultaty biznesowe. W latach 2015-20 kapitalizacja 10 największych SSP stopniała o blisko 50 mld zł. W tym samym czasie indeks spółek giełdowych WIG-20 zyskał na wartości około 50 proc.

©℗ MAREK RABIJ

cyjnej i złamaniu kompromisu trwającego 23 lata. Jednak radykalizm żądań ze strony Marty Lempart, słynnej „Margot" i demonstrującej na ulicach młodzieży domagającej się aborcji na życzenie, a zwłaszcza ostra, często używająca wulgaryzmów forma wyrażania niechęci do PiS zraziły do organizatorów protestów liczne grono ludzi 40 plus. I właśnie oni, mając do wyboru murszejące wtedy PO oraz radykałów, zainwestowali w umiarkowanego, nieskażonego jeszcze brudną polityką Hołownię. Mimo upływających miesięcy zwolenników Hołowni wciąż bardziej napędza jego pozytywny wizerunek niż sam program Polski 2050. I dlatego tak łatwo było im dziś przenieść poparcie na Tuska, uważanego za osobę mającą jakiś tam patent na Kaczyńskiego.

Powyższe zjawisko da się też udowodnić, obserwując sondażowe poparcie dla Lewicy. Mimo Strajku Kobiet nadal oscyluje ono wokół 7 proc., co świadczy o tym, że ugrupowaniu nie udało się skapitalizować prężnego ruchu. Być może polskie społeczeństwo, także w dużych miastach, jest bardziej konserwatywne, niż to wynika z relacji w TVN24. Ponadto warto zwrócić uwagę, że najważniejszy oręż tradycyjnej lewicy, czyli dbałość o ludzi biedniejszych, przejął PiS. Dzisiejsza Lewica wbrew klasycznym, sięgającym jeszcze XIX wieku definicjom, zajmuje się obecnie kwestiami szlachetnymi, ale ważnymi nie dla mas, lecz dla ludzi wykształconych i bardzo wrażliwych na los mniejszości etnicznych oraz seksualnych.

PiS zakłada, że antyrządowe protesty nigdy nie przekroczą masy krytycznej, a wyborcy nieczuli na losy korporacji medialnych i sądów mogą przy urnach kierować się pragmatycznym wyborem: **głosowanie na władzę po prostu się opłaca.**

O ile Razem Adriana Zandberga (świetnego mówcy i trybuna ludowego) wydaje się chociaż próbować nawiązać kontakt z uboższymi Polakami, to już środowisko Roberta Biedronia jest typowym reprezentantem wielkomiejskich elit. Z kolei Czarzasty słynie obecnie z tego, że jest człowiekiem brutalnie czyszczącym szeregi SLD ze swych oponentów, a zarazem ciąży na nim wizerunkowo niejasny udział w aferze Rywina z 2003 r. i tzw. grupie trzymającej władzę, co w kontekście ówczesnych manipulacji przy ustawie o radiofonii i telewizji (słynne „lub czasopisma") nie czyni go dziś, przy okazji lex TVN, wiarygodnym bojownikiem o wolność słowa.

Koło fortuny

Rządy Jarosława Kaczyńskiego nauczyły nas wielokrotnie, że w obliczu nawałnicy potrafi on niespodziewanie cofnąć się i oddać część pola. Czy wobec protestów sekretarza stanu USA Antony'ego Blinkena i zapowiedzi pozwania Polski przez potężne koncerny Discovery i Warner Media tym razem również ogłosi strategiczny odwrót? Nikt nie wie.

W tym artykule ani razu nie padło nazwisko polskiego prezydenta. Jeśli jednak Kaczyńskiemu uda się, po powrocie ustawy z Senatu, powtórnie zdobyć większość w Sejmie, to Andrzej Duda będzie ostatnią instancją, która może powstrzymać lex TVN i – jako główny reprezentant państwa na arenie międzynarodowej – zakończyć konflikt z USA. Na razie nadzieje na to, że nie mając nic do stracenia w drugiej kadencji, będzie się stawiał prezesowi PiS, spełzły na niczym. Pamiętajmy jednak, że w połowie 2017 r. nikt nie liczył na weta prezydenckie do ustaw o KRS i Sądzie Najwyższym.

© MAREK KĘSKRAWIEC

Autor jest dziennikarzem i publicystą. Pracował m.in. w tygodniku „Newsweek", telewizji TVN i – jako redaktor naczelny – w „Dzienniku Polskim", skąd odszedł po tym, jak wydawca gazety został przejęty przez państwowy PKN Orlen. Laureat wielu dziennikarskich nagród, m.in. dwukrotnie Grand Press. Współautor lub autor książek: „Afganistan. Po co nam ta wojna?", uhonorowanego Nagrodą im. Beaty Pawlak „Czwartego pożaru Teheranu", a także „Boshobora. Człowiek, który wskrzesza zmarłych".

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Samookaleczanie

„Dziećmi jesteście Wiekuistego, Boga waszego: nie czyńcie na sobie nacięć, ani róbcie łysiny nad oczyma waszemi po umarłym!" (Pwt 14, 1; ten i wszystkie kolejne cytaty pochodzą z tłumaczenia rabina Izaaka Cylkowa). Nie pierwsze to napomnienie, by Izraelici nie przejmowali zwyczajów ościennych ludów. Prorocy Baala, którym rzucił rękawicę Eliasz, „wołali głosem doniosłym, i nacinali się wedle zwyczaju swego mieczami i włóczniami, aż się krwią oblewali" (1 Krl 18, 28). Czy dotyczy to tylko czasów zamierzchłych? Wprawdzie flagelantów z tonsurami ze świecą szukać, jednak część szyitów w rocznicę śmierci Husajna ibn Alego, wnuka Mahometa, po dziś dzień biczuje się, aż tryska krew. Męczeństwo Husajna w bitwie pod Karbalą uwiecznia święto Aszura – nazwa pochodzi od semickiego rdzenia oznaczającego dziesięć – obchodzone 10. dnia pierwszego miesiąca w muzułmańskim kalendarzu, w tym roku 19 sierpnia. U sunnitów Aszura upamiętnia wyjście Izraelitów z Egiptu i jest od czasów wprowadzenia ramadanu dobrowolnym postem, przejętym przez Arabów jeszcze przed Mahometem od Żydów mieszkających w Medynie. Post przypadający 10 dni od rozpoczęcia żydowskiego nowego roku to oczywiście Jom Kipur – Dzień Pojednania. Ponadto muzułmanie po odbyciu Hadż, czyli pielgrzymki do Mekki, golą głowy. Muzułmanki tylko podcinają włosy i mężczyźni czasem wybierają tę opcję.

Już Kpł 21, 5 zakazuje kapłanom „wystrzygać strzyżyny na głowie swojej" i robić „na ciele swojém nacięć". Skoro jednak cały lud ma być „państwem kapłanów i narodem świętym" (Wj 19, 6), nie dziwi rozszerzenie pierwotnego zakazu na wszystkich. Z jednej strony nie wolno więc w sposób celowy zniekształcać swojego ciała, z drugiej – okazywać nadmiernej żałoby. „Dzieci Wiekuistego", nawet gdy odumrą ich matka i ojciec, nie będą w pełni sierotami. Boleść żałoby zsyła im wszak Niebiański Rodzic, któremu dzieci winny ufać.

Naszym wersem niecnie podpiera się w Talmudzie niejaki Isi. Dyskusja dotyczy choroby dermatologicznej (najczęstsze tłumaczenie: trąd), która objawia się „u mężczyzny albo u niewiasty... na głowie, albo na brodzie" (Kpł 13, 29). Hebrajski jest jednoznaczny – chodzi o zarost, a nie zakłada się istnienia kobiet z brodą. Isi dorzuca swoje: zakaz robienia łysiny nie dotyczy kobiet, bo w wersie jest powiedziane „jesteście synami". (Stara śpiewka: „człowiek" równa się „mężczyzna", a „dzieci" to „synowie" – dosłownie tak, ale jakiego innego wyrazu miałaby użyć Biblia?). Skoro – według Isiego – wers odnosi się do synów, a nie do córek, zakaz wyrywania sobie włosów po stracie bliskiej osoby dotyczy tylko mężczyzn. Czy chcesz mi powiedzieć, Isi, że nie jestem częścią „ludu poświęconego Wiekuistemu" (wers 2)? *Take it easy!* ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Wy też chcecie odejść?

Czytając Ewangelię Jana, stajemy się świadkami zgorszenia spowodowanego przez Jezusa: „Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba. Ktokolwiek będzie spożywał ten chleb, będzie żył na wieki. Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życie świata. Wtedy Żydzi zaczęli się sprzeczać między sobą, pytając: »Jak On może nam dać swoje ciało do jedzenia?«. (...) Jezus świadom, że Jego uczniowie oburzają się na to, co mówił, zwrócił się do nich: »Tak was to gorszy? A co będzie, gdy zobaczycie Syna Człowieczego wstępującego tam, gdzie był poprzednio?«. (...) Odtąd wielu Jego uczniów wycofało się i już więcej z Nim nie chodziło. Jezus zapytał Dwunastu: »Czy i wy chcecie odejść?«".

Po dwóch tysiącach lat mamy podobną sytuację. Wielu z tych, którzy uważali siebie za Jego uczniów, odchodzi z Kościoła. Twierdzą, że ich odejście nie oznacza porzucenia Jezusa, gdyż nadal jest On dla nich tym, który kształtuje ich sposób życia. Jezus wciąż ma dla nich „słowa życia wiecznego", czyli pokazuje, jak żyć, żeby życia – ani doczesnego, ani wiecznego – nie zmarnować. Nadal otwiera ich na obecność i działanie Boga w takim świecie, jaki mamy. Stają się więc nonami. Pisał o nich na tych łamach Jacek Prusak SJ (tygodnikpowszechny.pl/dusza-nona-166810).

Oczywiście odchodzących dzisiaj z Kościoła nie można zrównywać z niedoszłymi uczniami Jezusa. Ci ostatni odchodzili z powodów teologicznych, ci pierwsi z powodów moralnych. Odchodzą zgorszeni przede wszystkim sposobem traktowania pokrzywdzonych przez Kościół i nie chodzi tylko o zbrodnię pedofilii. Pozostałe grzechy też nie są nam, mówię o duchownych i świeckich, obce. Tak gorliwie broniliśmy świętości i czystości Kościoła, że nie starczało nam serca dla sióstr i braci. Tak kochaliśmy Kościół, że zobojętnieliśmy na krzywdę człowieka. I tak w imię miłości do Kościoła niszczyliśmy Kościół. Nie bez powodu papież Franciszek mówi, że klerykalizm jest grzechem.

Ponad 60 lat temu nastoletnia Lucia Mantione wyszła z domu po zapałki i już nie wróciła. Została uduszona przez gwałciciela. Proboszcz odmówił katolickiego pogrzebu, gdyż Lucia zginęła „śmiercią gwałtowną". Francesco Stabile, wykładowca teologii na Uniwersytecie w Palermo, mówi: „Absurdalna idea, która za tym stoi, jest taka, że skoro zostałeś zabity, zrobiłeś coś złego. Niektórzy księża uważali, że gwałtowna śmierć oddalała osobę od wspólnoty religijnej". Z tego powodu odmawiano również chrześcijańskiego pogrzebu samobójcom czy też żyjącym bez ślubu kościelnego.

Zachowując proporcje, nie śpieszmy się z potępianiem odchodzących z Kościoła, a szukając winnych, popatrzmy w lustro. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Publiczny grzesznik

Celem życia według cnót jest upodobnienie się do Bóstwa.

GRZEGORZ Z NYSSY

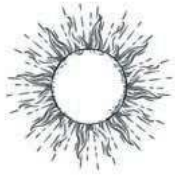

Niech Bóg oczyści twoje serce ze wszystkiego, co nie jest Rzeczywistością.

AL-GHAZALI

Wybrał PIOTR SIKORA

„Jezus przechodząc, ujrzał Lewiego, syna Alfeusza, siedzącego w komorze celnej, i rzekł do niego: »Pójdź za Mną!«. On wstał i poszedł za Nim. Gdy Jezus siedział w jego domu przy stole, wielu celników i grzeszników siedziało razem z Jezusem i Jego uczniami. Było bowiem wielu, którzy szli za Nim" (Mk 2, 14-15).

To chyba tekst, który w ostatnim tygodniu najbardziej mnie poruszył – owszem: wlał w moje serce nadzieję i takie widzenie spraw, które nie tylko pozwala, lecz wręcz nakazuje pójść dalej.

Oto Jezus powołuje do wypełniania swojej misji publicznego grzesznika. Tak. Wszyscy w Kafarnaum wiedzieli, kim jest Lewi: złodziejem i zdrajcą – wszak od swoich zbierał podatki na rzecz rzymskich okupantów. „Siedząc na cle" był też – tak jak i wszyscy jego koledzy – nieustannie narażony na rytualną nieczystość: przyjmował wszak monety wybijane i funkcjonujące w pogańskim świecie – wcale nierzadko nawiązujące swoją grafiką do bałwochwalczych kultów. To nie Piotr i Andrzej czy powołani zaraz po nich synowie Zebedeusza – ludzie uczciwej i ciężkiej pracy, nieprzynoszącej im zapewne kokosów porównywalnych z dochodami, jakie osiągał (uczciwie i nieuczciwie) ich niedaleki sąsiad (Jezus powołał go „nad morzem", a więc niedaleko domu Piotra).

Powtórzmy: celnik i grzesznik – złodziej, zdrajca, nieczysty, bogacz. W taki sposób wszyscy go opisują. Taka jest o nim powszechna opinia i wiedza. Zbudowana na faktach, nie na bezpodstawnych i krzywdzących projekcjach.

Brzmi znajomo?

Czy to nie czasem o Kościele dziś? A najbardziej – czy to nie o nas, duchownych w tym Kościele? I co? Co ze sobą zrobimy wobec takiej opinii i wiedzy na nasz temat? Co pozwolimy zrobić ze sobą Jezusowi? Czy to koniec, czy początek Ewangelii? Poddamy się apatii i rezygnacji albo równie zajadłej, co jałowej apologetyce, czy też otworzymy ze zdumieniem oczy na wołanie Jezusa: „Pójdź za Mną!"? Tak, ty! Ciebie chcę. Wiem, co o tobie mówią, i lepiej od nich wiem, ile w tym jest prawdy. Szukam ucznia, który stanie się apostołem i ewangelistą. Idziesz?

„Idę!". „Wstał i poszedł za Nim".

Gdzie poszli? Gdzie go Jezus najpierw zaprowadził?

Do jego domu i do jego środowiska: do celników i grzeszników, jak on. Jakie to ważne! Idąc za Jezusem, wrócić do siebie: do swojego domu i do „swoich". Uporządkować z Jezusem swoje sprawy (prywatne życie) i ogłosić Go Panem we własnym środowisku (wśród księży?).

Lewi/Mateusz to właśnie uczynił. I – co uderzające – jest to w zasadzie wszystko, co o nim wiemy na podstawie samej Biblii. W Nowym Testamencie już się nigdzie nie pojawia poza spisami Dwunastu. Wiemy o nim tylko – i aż – tyle. I to w naszych oczach czyni go wiarygodnym. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (22 – 29 VIII)

21. niedziela zwykła: Joz 24, 1-2a. 15-17. 18b; Ps 34; Ef 5, 21-32; J 6, 55. 60-69;
Poniedziałek: 1 Tes 1, 1-5. 8b-10; Ps 149; Mt 23, 13-22;
Wtorek: Ap 21, 9b-14; Ps 145; J 1, 45-51;
Środa: 1 Tes 2, 9-13; Ps 139; Mt 23, 27-32;
Czwartek, Uroczystość Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej: Prz 8, 22-35 albo Iz 2, 2-5; Ps 48; Ga 4, 4-7; J 2, 1-11;
Piątek: 1 Tes 4, 1-8; Ps 97; Mt 25, 1-13;
Sobota: 1 Tes 4, 9-11; Ps 98; Mt 25, 14-30;
22. niedziela zwykła: Pwt 4, 1-2. 6-8; Ps 15; Jk 1, 17-18. 21b-22. 27; Mk 7, 1-8a. 14-15. 21-23.

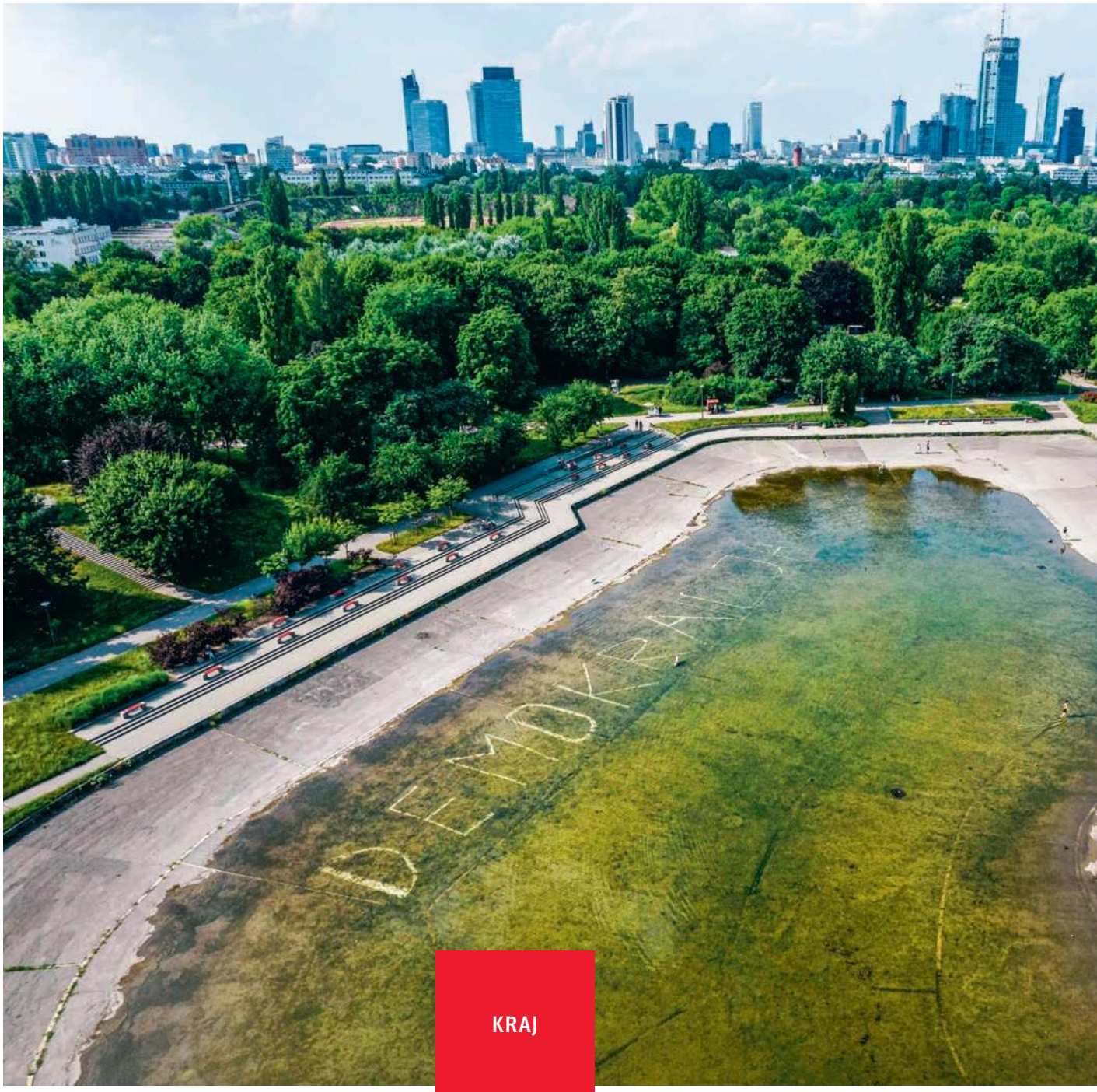

KRAJ

ZDERZAJMY SIĘ

Demokracja nie rodzi racjonalnych decyzji podpartych nauką, nie chroni jednostkowych swobód i nie gwarantuje, że wszystko będzie, jak było. Jak wyjść poza rozczarowanie, które łączy technokratę i populistę?

PAWEŁ MARCZEWSKI

RAFAŁ GUZ / PAP

Pole Mokotowskie z sadzawką przygotowaną do remontu. Warszawa, 7 lipca 2021 r.

Chyba żaden z licznych cytatów o zaletach i wadach ustroju demokratycznego nie wyświadczył mu takiej niedźwiedziej przysługi, jak ten z przemówienia Churchilla z 1947 r.: „mówi się, że demokracja jest najgorszą formą rządów oprócz wszystkich tych, których od czasu do czasu próbowano". Nie tylko dlatego, że powtarzany do znudzenia ma dziś powab suchego żartu rzuconego przez jowialnego wujaszka na imieninach. Kiedy Churchill wypowiadał te słowa u progu zimnej wojny, jego ironiczne stwierdzenie miało moc wezwania do walki o demokratyczne ideały, a jednocześnie było przyznaniem się do niedoskonałości. Oscar Wilde przeciwko Stalinowi, życie ze wszystkimi jego paradoksami przeciw ideologii. Powtarzany dziś, kiedy rozmaite indeksy i badania międzynarodowe odnotowują rozpowszechniony na całym świecie – również w krajach tzw. skonsolidowanych demokracji – spadek zaufania do instytucji demokratycznych, *bon mot* o najgorszej formie rządów nabiera gorzkiego posmaku kapitulacji i samousprawiedliwienia.

Uwiera was fakt, że w wielu demokracjach formalnej równości głosów w wyborach towarzyszą rażące nierówności ekonomiczne? Inne ustroje są jeszcze gorsze, patrzcie, do czego doprowadziła próba wprowadzenia w życie komunistycznej równości. Wkurza was, że w wielu demokratycznych państwach odpowiedź na pandemię była powolna, politycy nie słuchali ekspertów, bagatelizowali zagrożenie koronawirusem, a potem nie potrafili wprowadzić ograniczeń w sposób skuteczny, a zarazem racjonalny, opierając się na danych, a nie na kalkulacjach poparcia? Choćby teraz, kiedy kluczą i zwlekają w sprawie obowiązku szczepień dla niektórych kategorii zawodowych? Tak, zgadliście – w ustrojach niedemokratycznych byłoby jeszcze gorzej. To nic, że jedne państwa niedemokratyczne poradziły sobie z pandemią lepiej (Chiny, Arabia Saudyjska), a inne gorzej lub wręcz fatalnie (Białoruś, Birma).

Zamiast wezwaniem do obrony demokracji jako ustroju, który respektuje i chroni różnorodność stylów życia i jednostkowych aspiracji, a przy tym potrafi skłonić obywateli do zbiorowych wysiłków, cytat z Churchilla staje się dziś, w zmienionym kontekście globalnym, zaklęciem chroniącym *status quo* i zwalniającym z wysiłków na rzecz budowy demokracji bardziej inkluzywnej i trwałej. Demokracja nie cieszy się dziś zaufaniem wielu obywateli państw nie dlatego, że się nią zmęczyli i uciekają od wolności. To rzeczywistość dzisiejszych demokracji przestała nadążać za demokratycznymi aspiracjami ludzi.

Bezradne i opieszałe

Podstawowy zarzut, na jaki narażają się dzisiejsze demokracje, to niemożność sprostania złożonym wyzwaniom współczesności. Wobec zmian klimatu, rosnących nierówności dochodów, naruszeń prywatności zarówno przez rządy, jak i wielkie globalne firmy, wreszcie wobec teorii spiskowych i fake newsów współczesne rządy ludu okazują się rozczarowująco bezradne. Z ich opieszałych odpowiedzi na najważniejsze wyzwania niezadowoleni wydają się być właściwie wszyscy.

Utyskują oświeceni demokraci, dla których demokracja jest po pierwsze narzędziem dochodzenia do najlepszych możliwych decyzji z punktu widzenia wiedzy naukowej. Według nich dyskusje i spory, dla których instytucjonalną ramę zapewniają demokratyczne konstytucje, mają wyłonić decyzje najlepsze z możliwych przy obecnym stanie wiedzy. Takie podejście do demokracji Edwin Bendyk w swoim niedawnym eseju o ekorepublikanizmie, opublikowanym przez Fundację Batorego, nazwał za Marcelem Wissenburgiem „epistemokracją". Wcześniej w literaturze na temat teorii demokracji nazywano ją często „demokracją epistemiczną".

Okazuje się jednak, ku rozczarowaniu „epistemokratów", że demokratyczne spory i dyskusje niekoniecznie przynoszą decyzje odpowiadające stanowi wiedzy naukowej o problemach, przed którymi stoją dziś ludzkie zbiorowości. Dzieje się tak zarówno ze względu na niedoskonałość samych procedur decyzyjnych, w których przeważają bardzo często interesy, a nie argumenty naukowe, ale też ze względu na samych obywateli, którzy bardzo odstają od ideału jednostek podporządkowujących się naukowej racjonalności. Racjonalność decyzji politycznych nie jest racjonalnością znaną z procedur weryfikacji hipotez w świecie nauki. Dobitnie dowodzą tego na przykład odpowiedzi krajów rozwijających się na zarzuty zamożniejszych państw o niedostateczne redukowanie zanieczyszczeń środowiska. „Najpierw zniszczyliście środowisko naturalne podczas gwałtownej industrializacji, a teraz oczekujecie, że obniżymy nasz poziom życia, żeby pomóc sprzątać wasz bałagan?" – replikują przywódcy Indii czy Chin na upomnienia państw Zachodu. ↦

↦ Podobną logikę odpowiedzi daje się słyszeć u niektórych polskich polityków – np. z okolic Solidarnej Polski – naciskających na wyjęcie naszego kraju spod wymogów unijnego Zielonego Ładu. Redukcja zanieczyszczeń jest obiektywnie potrzebna wszystkim, ale kwestie dziejowej sprawiedliwości, narodowej dumy czy aspiracji konsumpcyjnych sprawiają, że nie ma jednej, naukowej odpowiedzi na ten problem, która mogłaby stać się podstawą skoordynowanego działania politycznego w skali globu. Te przeszkody, odbierane przez epistemokratów jako tryumf braku racjonalności, sprawiają, że są oni w coraz większym stopniu rozczarowani demokracją jako taką.

Demokratyczne rządy nie cieszą się jednak przesadną estymą również tych obywateli, dla których demokracja jest przede wszystkim ustrojem gwarantującym ich jednostkową wolność prywatną. Zwalczanie pandemii COVID-19 wiązało się z koniecznością wprowadzenia szeregu mniej lub bardziej uciążliwych ograniczeń i nakazów, od czasowego zakazu przemieszczania się bez istotnych powodów, po noszenie maseczek ochronnych. I nie było chyba takiego środka zapobiegającego rozprzestrzenianiu się choroby, który wśród jakiejś części społeczeństw różnych krajów demokratycznych nie wywołałby sprzeciwu lub wręcz masowych protestów.

Protestowano zarówno przeciw drobnym ustępstwom, jak choćby wymóg noszenia maseczek w zamkniętych przestrzeniach, jak i znaczącym ograniczeniom, w rodzaju zamknięcia niektórych sklepów czy firm. Partie takie jak nasza Konfederacja uczyniły wręcz z tego zasadniczą część swojego programu. Często gwałtowność protestów była niewspółmierna do dotkliwości ograniczeń, co sugerowałoby, że chodziło w nich nie o konkretne swobody, ale raczej danie wyrazu ogólnym niezadowoleniu i nieufności do instytucji publicznych.

Epistemokracja to swoista demokracja maksimum, ustrój, który ma być narzędziem dochodzenia do prawdy. Demokracja minimum zadowala się gwarancjami dla jednostek, jej istotą jest poszanowanie prywatności i autonomii wyborów stylów życia. To znamienne, że rozczarowani są dziś zwolennicy obu wersji ustroju. Demokracja wikła się dziś w sprzeczności zarówno wtedy, kiedy próbuje być narzędziem racjonalności, jak i gdy broni indywidualnych swobód. W tym pierwszym przypadku zaraz staje się areną konfliktu między różnymi racjonalnościami – naukową, polityczną, narodową, gospodarczą; w tym drugim zdaje się nieuchronnie prowadzić do starcia różnych wolności, również tak podstawowych jak wolność w dążeniu do ochrony własnego życia i zdrowia oraz swoboda przemieszczania się.

Obietnica populizmu

Rozczarowanie zwolenników demokracji maksimum i minimum jest paliwem, które napędza populizm. Na pierwszy rzut oka niewiele łączy populistycznych liderów z ich pogardą dla ekspertów i wiedzy naukowej, ze zwolennikami epistemokracji. Populiści jako samozwańczy wyraziciele ucieleśnienia woli ludu zdają się być przede wszystkim heroldami niczym nieskrępowanej wolności osobistej. Zdają się obiecywać przede wszystkim, że „wszystko się zmieni, aby wszystko mogło pozostać takie samo". Miejsca pracy, wyprowadzone do krajów o tańszej sile roboczej, powrócą; nierówności dochodowe i bieda zmaleją lub znikną; kraj odzyska dawną lub wymarzoną pozycję na arenie międzynarodowej – a wszystko to bez konieczności wyrzeczeń czy daleko idących zmian w stylu życia obywateli. Populizm to w gruncie rzeczy ideologia swoistej retroutopii, tyleż wizjonerska, co żerująca na nostalgii za mitycznymi lepszymi czasami.

Retroutopia to jednak również utopia, podobnie jak epistemokracja z jej marzeniem o dochodzeniu do jedynej prawdy na drodze demokratycznej deliberacji. A każda utopia ma to do siebie, że spłyca ludzkie doświadczenie, sprowadza je do jednego wymiaru – ekonomicznego, religijnego, narodowego. Prędzej czy później populiści, podobnie jak epistemokraci, zderzają się z rzeczywistością – złożoną i nieprzewidywalną.

Każdy populista, podobnie jak Donald Trump, musi w pewnym momencie stanąć wobec faktu, że miejsca pracy wcale nie wracają, a gospodarki, które od kilku dekad opierają się na usługach, nie staną się w ciągu jednej kadencji gospodarkami produkującymi przede wszystkim na eksport. Albo jak Jarosław Kaczyński, musi zderzyć się z prawidłowością, że transfery pieniężne do rodzin z dziećmi, choć poprawiają ich sytuację, nie są uniwersalną receptą na biedę czy nierówności.

Z jednowymiarowego światopoglądu populizmu jest jednak wyjść równie trudno, co ze ślepej wiary w jednowymiarową racjonalność naukową. Populista wybiera zatem na ogół to samo, co epistemokrata – obraża się na demokrację. Zaczyna mówić o spiskach, piątych kolumnach, okopanych głęboko branżowych interesach uniemożliwiających prawdziwą zmianę, którą obiecywał. Epistemokrata zaczyna prawić o wrodzonym, niemożliwym do przezwyciężenia braku racjonalności ludu oraz o... okopanych głęboko branżowych interesach.

W tych utyskiwaniach jest oczywiście ziarno prawdy, ale zatrzymanie się na etapie narzekań pogłębia tylko nieufność do demokracji, nie przybliżając jej o krok do stawienia czoła nowym wyzwaniom, jakie stoją przed jej obywatelami.

Jakie interesy możesz poświęcić

Jako receptę na wyjście z tego głębokiego impasu i spirali nieufności do demokracji wskazuje się na ogół „więcej demokracji". Tylko co to oznacza? Jeśli to hasło ma być realną alternatywą dla stwierdzenia, że „demokracja to najgorsza forma rządów oprócz wszystkich tych, których od czasu do czasu próbowano", musi zostać wypełnione konkretnymi sposobami na zwiększenie „demokratyczności" państw i społeczeństw.

Receptami na to są zarówno „demokracja wysiłkowa" postulowana przez Jakuba Wygnańskiego w opublikowanym niedawno „Innym pomyśle na demokrację", jak i ta uzupełniona o „republikańską korektę", o której pisze w cytowanym już eseju Edwin Bendyk.

Demokracja wysiłkowa oznacza ustrój, w którym obywatele sprawują nieustannie funkcję kontrolną nad procesem decyzyjnym poprzez rozmaite narzędzia deliberacji i partycypacji. Ich katalog w ostatnich latach znacząco się poszerzył, od konsultacji społecznych na różnych szczeblach, przez budżety partycypacyjne, po panele obywatelskie. Ostatnim, spektakularnym przykładem demokratycznego wysiłku obywateli było skłonienie rządu do udziału w serii wysłuchań publicznych na temat celów i sposobów wydatkowania pieniędzy z przyznanej Polsce puli środków z Europejskiego Funduszu Odbudowy.

Z kolei republikańska korekta, zastosowana przez Edwina Bendyka przede wszystkim jako sposób, by sprostać wy-

zwaniom zielonej transformacji, oznacza dochodzenie do potrzebnych, lecz wyjątkowo trudnych zmian społecznych z bardzo różnych pozycji ideowych i tożsamościowych. Co do konieczności zwiększenia udziału odnawialnych źródeł energii w miksie energetycznym mogą zgodzić się zarówno demokratyczny socjalista, jak i konserwatysta. W demokracji republikańskiej żaden z tych różnych światopoglądów nie jest bardziej uprawniony czy uprzywilejowany, wszystkie mogą być równie cennymi źródłami propaństwowego myślenia i działania. Te propozycje w gruncie rzeczy uzupełniają się nawzajem – demokracja wysiłkowa zapewnia infrastrukturę instytucjonalną do zderzenia ze sobą różnych światopoglądów, a ekorepublikanizm nadaje temu zderzeniu prawomocność.

Kluczowym problemem, na jaki napotkać musi proces pogłębiania demokratyzacji, są jednak konflikty nie tyle wartości, co interesów. Można popierać zieloną transformację zarówno ze względu na przekonanie, że na niekorzystnych zmianach klimatycznych najbardziej stracą najubożsi, jak i wychodząc z przekonania, że Bóg uczynił ziemię poddaną człowiekowi i jego niezbywalnym obowiązkiem jest się o nią troszczyć. Problem zaczyna się jednak wówczas, kiedy dojście do tego wspólnego celu z całkowicie innych pozycji startowych oznacza konieczność poświęcenia istotnych kwestii we własnej hierarchii interesów. Czy odejście od węgla, choć długoterminowo korzystne dla wszystkich, usprawiedliwia krótko- lub średnioterminowy wzrost bezrobocia? Jak wysoki i na jak długo? Czy w imię ochrony klimatu należy zrezygnować z niektórych tradycyjnych form życia? W jakim zakresie?

I populista, i epistemokrata obrażają się na demokrację. Jeden mówi o spiskach i branżowych interesach uniemożliwiających zmianę. Drugi – o braku racjonalności ludu oraz o... branżowych interesach.

Wracamy tu do problemu wielowymiarowości życia politycznego i tożsamości zbiorowych. Demokratyczne deliberowanie nad tym, jak przeprowadzić zieloną transformację, tak samo jak nad podniesieniem wieku emerytalnego i w gruncie rzeczy każdą kontrowersyjną kwestią istotną dla życia zbiorowego, nie może pomijać całego spektrum – często pozornie niezwiązanych z istotą – wyzwań. Ochrona środowiska może być istotna dla wszystkich, ale z punktu widzenia demokracji istotne jest też to, czy ciężary, jakie należy ponieść na jej rzecz, są sprawiedliwie rozłożone. Czy gdyby elementem Zielonego Ładu było nie tylko redukowanie zatrudnienia w kopalniach, ale też reglamentacja podróży lotniczych, nie mielibyśmy do czynienia z protestami i głośnym oburzeniem zamożniejszych obywatelek i obywateli?

Podobnie kwestia podniesienia wieku emerytalnego może nie budzić wątpliwości z punktu widzenia potrzeb systemu emerytalnego, ale nie można jej rozpatrywać w oderwaniu od problemu warunków pracy czy jakości służby zdrowia. Gdyby Polska miała lepsze wskaźniki długości życia w zdrowiu, późniejsze przechodzenie na emeryturę budziłoby zapewne mniejszy opór.

Dlatego do recept na pogłębienie demokratyzacji w postaci demokracji wysiłkowej i republikańskiej korekty dorzucam jeszcze wezwanie do demokracji wielowymiarowej, uwzględniającej w procesie podejmowania decyzji odmienne priorytety różnych grup społecznych. Decyzje polityczne nigdy nie mają konsekwencji wyłącznie dla jednej sfery życia, a ich uzasadnienia nie tylko wynikają z różnych światopoglądów, ale powinny brać pod uwagę różne hierarchie interesów. Oczywiście nigdy nie uda się zaspokoić i pogodzić ich wszystkich, ale żeby w ogóle wejść na drogę do odświeżenia demokracji, należy je wyartykułować. Inne rozwiązania, które serwowano nam do tej pory, takie jak rządy technokratów czy populizm, już dawno okazały się nieskuteczne.

© PAWEŁ MARCZEWSKI

Autor jest szefem działu Obywatele w forumIdei, think tanku Fundacji Batorego.

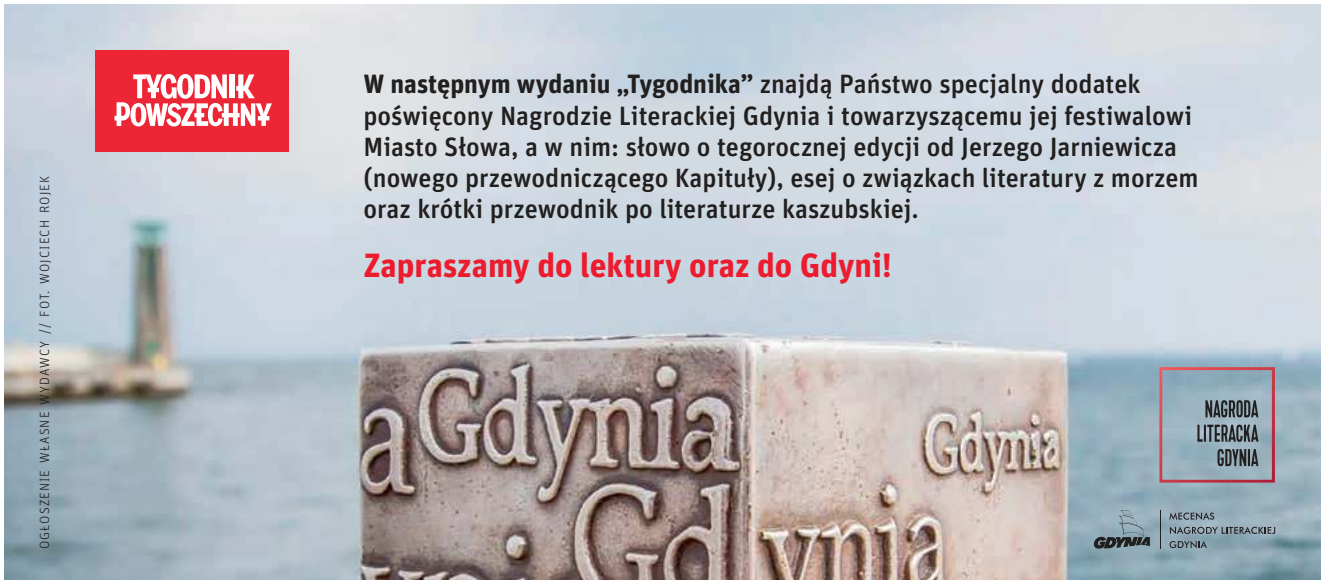

Niespołeczna Rzeczpospolita

PIOTR WÓJCIK

Nowy rzecznik praw obywatelskich będzie miał sporo pracy, jeśli zechce przyjrzeć się prawom socjalnym zapisanym w konstytucji.

Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej" – napisano w drugim artykule konstytucji, po czym zaraz o tym zapomniano. Określona w art. 20 „zasada społecznej gospodarki rynkowej", opartej na solidarności i dialogu partnerów społecznych, także pozostała głównie na papierze. Wolności i prawa ekonomiczne i socjalne zajmują w ustawie zasadniczej poczesne miejsce i są całkiem obszernie opisane, niestety mało kto się nimi przejmuje. Część z nich zwyczajnie się nad Wisłą nie przyjęła. Widnieją w konstytucji raczej jako świadectwo optymizmu jej autorów, a nie twarde reguły, do których powinny się stosować władze publiczne.

W 2018 r. podczas wykładu na Uniwersytecie Warszawskim ówczesny RPO Adam Bodnar przyznał, że dyskusja o prawach socjalnych jest dziś „ważniejsza niż kiedykolwiek". Rozwiązanie nawarstwiających się problemów współczesności, takich jak migracje, starzenie się społeczeństw czy ekspansja ksenofobicznego populizmu, wymagać będzie m.in. jasnego ustalenia, co tak naprawdę konstytucja zapewnia obywatelom Polski. Jeśli następca Bodnara, prof. Marcin Wiącek, będzie chciał podjąć się tego zadania, pracy będzie miał pod dostatkiem, gdyż nieprzestrzeganie zapisów konstytucyjnych w zakresie praw ekonomiczno-społecznych w Polsce jest nie tylko nagminne, ale przede wszystkim systemowe.

Chorobowe nie dla wszystkich

Prawo do zabezpieczenia społecznego opisane jest w art. 67 konstytucji: „obywatel ma prawo do zabezpieczenia społecznego w razie niezdolności do pracy ze względu na chorobę lub inwalidztwo oraz po osiągnięciu wieku emerytalnego". Zaraz po tym oczywiście dodano „zakres i formy ubezpieczenia społecznego określa ustawa", co pojawia się w towarzystwie niemal każdego z konstytucyjnych praw socjalnych. W praktyce służy to rozwadnianiu większości konstytucyjnych uprawnień socjalnych. Wystarczy tylko przywołać magiczne „szczegóły określa ustawa", by skrajnie zawęzić przepisy widniejące w ustawie zasadniczej.

Tak też jest w tym przypadku. O ile pracownicy etatowi dysponują pełnym ubezpieczeniem społecznym, to ludzie zatrudnieni na umowach cywilnoprawnych oraz na samozatrudnieniu zwykle ich nie posiadają. W Polsce ok. 2,5 mln osób pracuje na tzw. pozakodeksowych formach zatrudnienia i formalnie nie są oni uznawani za pracowników, więc nie obejmują ich przepisy Kodeksu Pracy. Pracujący na umowach o dzieło nie mają żadnego zabezpieczenia. Trudno nawet powiedzieć, ile dokładnie osób pracuje tylko na dziełach – żeby w ogóle móc ich policzyć, dopiero w tym roku wprowadzono obowiązek zgłaszania takich umów do ZUS. Na temat ich oskładkowania dyskutujemy od co najmniej dekady, jednak nic się w tej kwestii nie zmienia.

Samozatrudnieni oraz pracujący na zleceniach są w sytuacji niewiele lepszej. Co prawda zgłoszeni są do ubezpieczenia emerytalnego, jednak według ZUS aż 60 proc. z nich nie ma prawa do ubezpieczenia chorobowego, gdyż składki chorobowe w ich przypadku nie są obowiązkowe. Dualizm rynku pracy w Polsce doprowadził do sytuacji, w której ok. 1,5 miliona osób pozbawionych jest prawa do tak zwanego L4. Są więc *de facto* zmuszeni do chodzenia do pracy nawet w czasie choroby, gdyż absencja automatycznie pozbawia ich dochodów. Oczywiście, w takiej sytuacji narażają na chorobę innych.

Także kolejny przepis art. 67 jest regularnie i systemowo łamany. Mówi on, że „obywatel pozostający bez pracy nie z własnej woli i nie mający innych środków utrzymania ma prawo do zabezpieczenia społecznego, którego zakres i formy określa ustawa". Niestety, w rzeczywistości prawo do zasiłku dla bezrobotnych posiada wąska część pozostających bez zatrudnienia. Według GUS na koniec marca 2021 r. w urzędach pracy zarejestrowano 1,08 mln bezrobotnych, z czego aż 922 tys. nie miało prawa do zasiłku. Pobierało go więc zaledwie niecałe 15 proc. bezrobotnych. Nawet jeśli uwzględnić, że 534 tys. osób zarejestrowanych w UP to długotrwale bezrobotni, którzy nie zamierzają podejmować pracy, to wciąż mówimy o prawie 400 tys. osób pozbawionych prawa określonego w konstytucji.

To także jest efekt rozwiązań systemowych. Prawo do zasiłku dla bezrobotnych przysługuje tylko tym, którzy wcześniej przez co najmniej 12 miesięcy w półtorarocznym okresie opłacali składki na Fundusz Pracy od przynajmniej płacy minimalnej. Takie rozwiązanie automatycznie odcina od zasiłku wszystkich pracujących na umowach o dzieło, a także część zatrudnionych na zleceniach, którzy otrzymywali wynagrodzenie niższe od pensji minimalnej. Prawa do zasiłku nie otrzymają także pracujący na część etatu (jeśli ich wynagrodzenie jest niższe od minimalnego) oraz samozatrudnieni w czasie pierwszych dwóch lat prowadzenia działalności gospodarczej, gdy korzystają z obniżonych składek ZUS, które nie obejmują Funduszu Pracy. W takiej sytuacji nic dziwnego, że prawo do zasiłku dla bezrobotnych w Polsce jest niemal najbardziej zawężone w Europie. Gorzej jest jedynie w Rumunii. W całej UE prawo do zasiłku ma 30 proc. bezrobotnych, a w siedmiu państwach członkowskich (m.in. w Czechach i Niemczech) ponad 40 proc.

Także powszechny dostęp do ochrony zdrowia pozostaje niespełnioną obietnicą. Przypomnijmy, że „obywatelom, niezależnie od ich sytuacji materialnej, władze publiczne zapewniają równy dostęp do świadczeń opieki zdrowotnej finansowanej ze środków publicznych". W praktyce jednak dostęp do ochrony zdrowia w Polsce został powiązany ze składkami zdrowotnymi, których nie

ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER

Powitanie Marcina Wiącka, nowego rzecznika praw obywatelskich, pod biurem RPO. Warszawa, 23 lipca 2021 r.

płacą m.in. pracujący na umowach o dzieło – chyba że zgłosili się do dobrowolnego ubezpieczenia zdrowotnego, które jest bardzo drogie. Dobrowolna składka obliczana jest od średniego wynagrodzenia, tymczasem ponad dwie trzecie pracujących na etacie zarabia mniej. Obecnie wynosi ona 520 zł, co przekracza możliwości finansowe wielu zatrudnionych na umowach o dzieło.

Według OECD 6,5 proc. populacji Polski nie ma dostępu do pełnej ochrony zdrowia – to najwyższy odsetek spośród państw Europy. Więcej nieubezpieczonych znajdziemy tylko w państwach obu Ameryk: w Chile, Meksyku czy USA. Mowa więc o ok. 2,5 mln osób. To nie tylko „dziełowcy", ale też zatrudnieni w szarej strefie, bezdomni czy bezrobotni z różnych powodów niezarejestrowani w urzędach pracy. Od 2017 r. otwarto nieubezpieczonym dostęp do usług podstawowej opieki medycznej (POZ), wciąż jednak bezpłatne świadczenia szpitalne oraz wizyty u specjalistów są poza ich zasięgiem.

Zapomniane mieszkalnictwo

Dla wielu to może być zaskoczeniem, ale wśród konstytucyjnych praw socjalnych znalazło się również zaspokojenie potrzeb lokalowych. „Władze publiczne prowadzą politykę sprzyjającą zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych obywateli, w szczególności przeciwdziałają bezdomności, wspierają rozwój budownictwa socjalnego oraz popierają działania obywateli zmierzające do uzyskania własnego mieszkania" – to nie wyimek z konstytucji PRL, jak sądzili użytkownicy Twittera podczas jednej z burzliwych dyskusji, lecz art. 75 obecnie obowiązującej ustawy zasadniczej. W Polsce zaspokajanie potrzeb mieszkaniowych to ustawowe zadanie gmin, które niestety o nim najwyraźniej zapomniały. W latach 1989–2014 zaledwie 2,5 proc. oddanych mieszkań stanowiły nowe lokale komunalne. Równocześnie gminy szybko pozbywały się własnych zasobów: od 1990 r. liczba lokali komunalnych spadła o 60 proc.

W ubiegłym roku mieszkalnictwo komunalne pod lupę wzięła Najwyższa Izba Kontroli. Jej werdykt był dla samorządów druzgocący. Według NIK zasób mieszkaniowy gmin nadal jest sukcesywnie ograniczany. Tylko w latach 2015-2018 liczba lokali w zasobach komunalnych spadła z 887 tys. do 840 tys., przy czym aż 50 tys. stanowią pustostany, które zwykle nie nadają się do zamieszkania. Aż 81 proc. zasobów gmin to mieszkania wybudowane przed 1945 r. Nowych lokali komunalnych trudno uświadczyć.

Brak mieszkań w zasobach gmin oczywiście ogranicza dostęp do lokali komunalnych – najdłuższy czas oczekiwania na niego wynosi nawet 17 lat. Nieco krócej, bo 12 lat, można czekać na mieszkanie socjalne. Nic więc dziwnego, że kolejka oczekujących nieustannie się wydłuża. W kontrolowanym okresie, czyli w latach 2016–2019, liczba gospodarstw domowych oczekujących na lokal od gminy wzrosła o 30 proc. Według NIK „gminy nie analizowały rzeczywistej sytuacji ekonomicznej lokalnej społeczności podczas diagnozowania potrzeb", a przyjęte procedury rozpatrywania wniosków nie zapewniały przejrzystości.

Można by zrozumieć, że gminy odpuściły prowadzenie polityki mieszkaniowej, gdyby potrzeby Polek i Polaków w tym zakresie były spełnione. Niestety jest zupełnie inaczej – według Eurostatu 40 proc. mieszkańców polskich miast żyje w przeludnionych lokalach. Tylko ↦

↦ nieco lepiej jest poza miastami, gdzie wskaźnik przeludnienia wynosi 35 proc. Wśród państw UE bardziej przeludnione mieszkania występują jedynie w Rumunii, Bułgarii, Chorwacji i na Łotwie.

Związkowcy za drzwi

Oczywiście w konstytucji kraju, w którym związek zawodowy walnie przyczynił się do upadku autorytarnej władzy, nie mogło zabraknąć szerokiego fragmentu poświęconego organizacjom pracowników i układom zbiorowym. Dialog społeczny między stronami pracowników, pracodawców oraz władzy jest fundamentem społecznej gospodarki rynkowej, która według ustawy zasadniczej stanowi podstawę ustroju naszego kraju. Niestety w praktyce wolność zrzeszania się w związki zawodowe jest skutecznie torpedowana. Chociażby poprzez usuwanie niewygodnych związkowców pod pretekstem zwolnień dyscyplinarnych. W czasach obecnej władzy specjalizują się w tym spółki Skarbu Państwa. W zeszłym roku postąpiła tak Poczta Polska wobec Piotra Moniuszki, a w 2018 r. LOT, który zwolnił szefową ZZ Personelu Pokładowego i Lotniczego Monikę Żelazik.

Choć konstytucyjnie zapewniono prawo do zawierania układów zbiorowych, dzięki umożliwieniu przedsiębiorstwom ich jednostronnego wypowiadania z każdym rokiem odsetek pracowników objętych układami spada – w 2019 r. wyniósł już tylko 13 proc. Kuleje także dialog. Rada Dialogu Społecznego powstała w czasach obecnej koalicji rządzącej jako alternatywa wobec Komisji Trójstronnej, którą w czasach PO-PSL opuścili związkowcy. Tymczasem w zeszłym roku miała miejsce niemal bliźniacza sytuacja – w proteście wobec nadania premierowi prawa do odwołania każdego członka RDS z rady wyszli związkowcy z Solidarności.

Nowy rzecznik praw obywatelskich będzie miał więc sporo pracy w zakresie ochrony praw socjalnych. A jakby tego było mało, może jeszcze zająć się obowiązkiem władzy publicznej zapewniania „bezpieczeństwa ekologicznego współczesnemu i przyszłym pokoleniom".

© PIOTR WÓJCIK

Szkoła strachu

AGNIESZKA JANKOWIAK-MAIK, NAUCZYCIELKA, ORGANIZATORKA AKCJI #CZARNEKCHALLENGE:

– To nie jest tak, jak wyobraża sobie minister, że narzuci zakres tematów i sposób nauczania, a za dziesięć lat obywatele i obywatelki będą myśleć zgodnie z jego wolą.

JĘDRZEJ DUDKIEWICZ: Bywa Pani pytana, co by chciała powiedzieć ministrowi Czarnkowi. Ja przekornie zapytam, czy z kimś takim w ogóle należy rozmawiać?

AGNIESZKA JANKOWIAK-MAIK: Moją filozofią jest, by nigdy nikogo nie skreślać, bo wierzę w edukację. Dlatego nigdy nie użyję wulgaryzmów, mówiąc o danej partii politycznej, ani nie nazwę kogoś np. „moherowym beretem". Wolę krytykować w inny sposób i pokazywać, że po mojej stronie jest otwartość na dialog. Mam jednak świadomość, że w tym przypadku byłoby to walenie głową w mur. Po pierwsze, biorąc pod uwagę, że minister Czarnek, tłumacząc się ze swoich wypowiedzi, brnie i wychodzi jeszcze gorzej, byłaby to trudna konwersacja. Po drugie, nie sądzę, żeby z jego strony była w ogóle chęć odbycia takiej rozmowy. Twierdzi w końcu, że sprzeciwiają się mu tylko lewackie, niedouczone aktywistki lub neomarksiści. To język dający odczuć, że nie ma gotowości na refleksję czy zmianę.

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA

Demonstracja solidarności z aktywistami LGBT protestującymi przeciwko ministrowi edukacji i nauki Przemysławowi Czarnkowi. Warszawa, 26 lipca 2021 r.

Porozmawiajmy o realnych czynach. Co Panią najbardziej boli lub smuci w związku z działaniami ministra Czarnka?

Chociaż język, którego używa minister edukacji i nauki, może wydawać się mniejszym problemem, to jednak warto go analizować, bo określa tak zwany ukryty program szkoły, wyznacza kierunek, w którym ma podążać oświata. Tym bardziej boli mnie, że nie zna on realiów polskich szkół. One potrzebują autonomii, wolności i zaufania, a minister dąży do edukacji centralnie sterowanej, podporządkowanej ministerstwu poprzez partyjnych kuratorów. Dzięki planowanym zmianom prawa oświatowego dostaną oni bardzo duże uprawnienia, np. większy wpływ na wybór dyrektora w przypadku nierozstrzygniętych konkursów. Będą rozliczani nie na podstawie kompetencji, tylko realizacji linii partii rządzącej.

Najgorsze jest jednak to, że minister chce przejąć kontrolę nad zajęciami dodatkowymi, które dla mnie są kwintesencją szkoły. Od nowego roku szkolnego trzeba będzie zgłosić się po zgodę na ich przeprowadzenie, z dwumiesięcznym wyprzedzeniem, pełnym programem i listą materiałów do wykorzystania. Każdy, kto zna realia, wie, że zamrozi to organizację zajęć pozalekcyjnych. Przy czym nie będzie tej blokady w przypadku inicjatyw proponowanych przez rząd. Warto podkreślić, że początkowo w projekcie nowelizacji widniało sformułowanie „administrację publiczną", ale wliczają się w nią samorządy, więc zostało zmienione na „administrację rządową". Najprościej rzecz ujmując, chodzi o to, by w szkołach nie odbywały się np. zajęcia antydyskryminacyjne.

Czyli będzie o wiele mniejsza autonomia?

I to dla wszystkich, bo wbrew temu, co mówi minister, rodzice stracą wpływ na szkołę. Nie będą mogli negatywnie zaopiniować zajęć przygotowanych przez administrację rządową. Ze względu na specyfikę działania czasem organizowało się też coś spontanicznie, zależnie od potrzeby chwili albo konkretnej grupy. Teraz może to być niemożliwe, a powinno być na to miejsce. Nie chodzi o samowolkę, ale nie było jej do tej pory, więc nie ma też powodu, by zmieniać przepisy. Kiedy minister mówi, że nie ma czegoś takiego jak autonomia szkół, to natychmiast przekreśla go to jako osobę zajmującą się edukacją. Wszystkie raporty i badania mówią, że potrzeba właśnie autonomii. Są oczywiście pewne ramy, ale bazować trzeba na zaufaniu do kompetencji ludzi i daniu im przestrzeni oraz wolności, by jak najlepiej pracowali dla dobra dzieci.

Minister próbuje stworzyć system totalnej kontroli, ale zakusy na to pojawiały się wcześniej. Nauczycielki i nauczyciele trwają w oporze de facto ponad sześć lat – ciągle trzeba o coś walczyć, a jednocześnie trudno wymagać od nich heroizmu w pracy, za którą dostają marne pieniądze. Jak sobie z tym wszystkim radzą?

Rzeczywiście, od kilku lat jest to praca i życie w napięciu, a to nigdy nie wpływa dobrze na ludzką psychikę. Do tego rząd w trakcie ostatniego strajku urządził na nas nagonkę, więc prestiż społeczny nauczycielek i nauczycieli spadł jeszcze bardziej. Trudno wykonywać zawód – nawet jeśli, jak ja, się go kocha – pod ciągłą presją. Przy czym nie użyłabym sformułowania „wymaganie heroizmu", bardziej działamy w partyzantce. Będąc przyzwoitym człowiekiem, chcąc móc patrzeć rano w lustro, tak po prostu trzeba.

Nie obawia się Pani, że coraz więcej osób odpuści, uznając, że walka i tak nie przynosi efektów? Już teraz, np. w Małopolsce, są braki kadrowe, czym zresztą kuratorka Barbara Nowak niespecjalnie zdaje się przejmować...

Tak, przez ten opór ludzie się wypalają i odchodzą. Przynajmniej tam, gdzie jest alternatywa. Z perspektywy dużego miasta, Poznania, łatwo jest mi powiedzieć, że mogę zmienić pracę, ale taką możliwość nie zawsze mają osoby z mniejszych ośrodków.

Protesty były najintensywniejsze, gdy minister Zalewska likwidowała gimnazja, a także w 2019 r. Chociaż teraz jest jeszcze gorzej, sprzeciw jest mniejszy. Ludzie przyzwyczaili się, tracą nadzieję, że uda się cokolwiek zmienić. I będą nadal odpływać, bo zaczyna do nich docierać, że skoro tyle lat poświęcili na coś, co robią naprawdę dobrze, ale nie ma efektów, to może trzeba odpuścić. A to najgorsze, co może się teraz przytrafić polskiej szkole. Zwłaszcza że do zawodu nie garną się młodzi. Widzę to na przykładzie praktyk. Kiedy przyjmuję na nie studentki i studentów, to trafiają się wspaniałe osoby, uwielbiane przez młodzież, mające kreatywne pomysły. Ale jak pytam, czy zostaną w szkole, to tylko uśmiechają się i mówią, że nie. Robią „awaryjnie" uprawnienia nauczycielskie, ale wiedzą, że ze swoimi umiejętnościami znajdą o wiele lepiej płatną pracę, w której będą mieć perspektywy. Już teraz zaczyna brakować nam tych, którzy są naprawdę świetni we współpracowaniu z dziećmi.

Pojawia się argument, że nie ma co się przejmować działaniami ministra, bo i tak wszystko zależy od tego, co robi się podczas lekcji. A w ogóle to ludzie chodzili do szkoły w PRL-u, ↦

↦ **a i tak potem zrobili Solidarność, więc obecna propaganda też niewiele zmieni.**

Na pewno sporo osób da odpór propagandzie, ale niektórzy są na nią bardziej podatni. Sączenie jej młodym ludziom do głów z jednej strony i wymaganie, by się przed tym bronili z drugiej, to robienie im krzywdy. Faktycznie część nauczycielek i nauczycieli zdaje się tym nie przejmować, mówią, że będą robić swoje, tak jak do tej pory. Problem w tym, że skala zastraszenia jest naprawdę duża, dochodzimy do sytuacji, w której minister Czarnek urządza niemal prywatną krucjatę na szkołę w Dobczycach, która wzięła udział w Tour de Konstytucja. Prześladowania za solidaryzowanie się z akcją mającą na celu uczenie o demokracji i konstytucji czy za błyskawicę na zdjęciu profilowym to oczywiście skandal i absurd. Nie zmienia to jednak faktu, że nawet jeśli będzie się pracować jak do tej pory, to stałym towarzyszem będzie strach. Odkąd PiS przejął władzę, bardzo gwałtownie wzrosła liczba donosów. Sama padłam jego ofiarą, w związku z zajęciami antydyskryminacyjnymi. Tłumaczenie się z tego, co, jak i dlaczego się robiło, nie jest niczym przyjemnym, nawet kiedy ma się grubą skórę. Ale rozumiem też tych, którzy z lęku nie będą już się tak starać albo po prostu pewne tematy będą omijać. To nie są warunki, w których powinniśmy funkcjonować, bo edukacji sprzyja dobre samopoczucie oraz mniej stresu.

To istotne szczególnie teraz, w związku z pandemią, która uderzyła we wszystkich, ale zwłaszcza w uczennice i uczniów. Jak młodzież reaguje na to, co się dzieje?

Jestem optymistką i bardzo wierzę w młodych ludzi. Świat jest otwarty, jest przepływ informacji, a zatem są o wiele większe szanse, by wyrobić sobie własną opinię. Pamiętajmy zresztą, że kluczową rolę w wychowaniu odgrywa dom rodzinny, a szkoła pełni funkcję wspierającą. To nie jest tak, jak wyobraża sobie minister Czarnek, że narzuci określony zakres tematów i sposób nauczania, a za dziesięć lat obywatele i obywatelki będą myśleć zgodnie z jego wolą.

Inna sprawa, że niestety młodzież nie zawsze interesuje się polityką. To się jednak zmienia. Po pierwsze, młodzi zaczynają być aktywniejsi, w czym duża zasługa Młodzieżowych Strajków Klimatycznych. Po drugie, zarówno ja, jak i moje koleżanki i koledzy staramy się zachęcić dzieci do tego, by interesowały się tym, co się dookoła nich dzieje. Zgodnie ze znanym powiedzeniem: to, że ty nie interesujesz się polityką, nie znaczy, że ona nie zainteresuje się tobą. Tym, co mnie trochę uspokaja, jest język, którego używa minister Czarnek i jego doradca. On w ogóle nie trafia do młodych osób. Weźmy chociażby „cnoty niewieście". Napisała do mnie uczennica pytając, czy mamy XIX wiek, kto w ogóle używa takich sformułowań? Młodzież jest mądra, trzeba jej ufać i słuchać jej. Jestem przekonana, że młodych ludzi nie da się już zatrzymać i nie poddadzą się propagandzie. Trzeba im tylko czasem pomóc, nauczyć krytycznego myślenia, szukania i weryfikowania informacji, ale na partnerskich zasadach, bo wtedy dzieją się rzeczy cudowne i kreatywne. Skończmy wreszcie ze szkołą, w której nauczycielki i nauczyciele wtłaczają, z wysokości autorytetu, wiedzę do głów dzieci. I będzie dobrze.

Do jakiej szkoły zatem wrócicie we wrześniu?

Zastraszonej i pełnej stresu. Dyrektorki i dyrektorzy już się boją: na forach nauczycielskich pojawiają się informacje o mailach od dyrekcji, w których są prośby, by nie organizować w nowym roku szkolnym zajęć związanych z prawami człowieka. Nauczycielki i nauczyciele też będą się bać, spora część z nich pewnie zrezygnuje z przygotowywania zajęć dodatkowych. Na braku współpracy z organizacjami pozarządowymi lub niemożności zaproszenia ciekawych, inspirujących gości stracą po prostu wszyscy. Rodzice stracą z kolei wpływ na edukację swoich dzieci. A wszystko po to, żeby – jak otwarcie przyznał marszałek Terlecki – spróbować wykształcić przyszłych wyborców PiS.

Samo to, że rządzący tak otwarcie mówią o swoich planach i celach „reformy", jest skandaliczne. Niczego dobrego nie wróży również to, że priorytetem po bardzo trudnym okresie pandemii jest wychowanie do życia w rodzinie. Zamiast intensywnie zajmować się szukaniem dzieci znikających z systemu, wyrównywaniem szans w dostępie do edukacji, na pierwszy miejscu ma być konserwatywna wizja jedynego słusznego modelu rodziny. Do tego dochodzą zmiany w historii, bo minister Czarnek chce sobie wychować nawet nie patriotów, tylko nacjonalistów. Świat się zmienia, przed młodymi ludźmi stoi mnóstwo wyzwań i należy ich wspierać oraz wzmacniać, a nie dążyć do zrealizowania konkretnej wizji tego, jakie mają być obywatelki i obywatele. Jedyne, co mnie pociesza: że oczywiście się to nie uda, bo przymus rodzi jeszcze większy opór.

Czyli wciąż praca i życie w ciągłym napięciu.

Niestety. Wszyscy mamy za sobą bardzo trudny czas i jesteśmy zmęczeni, ale nie możemy odpoczywać, bo minister Czarnek cynicznie z tego korzysta i próbuje wprowadzić swoje zmiany w życie. Trzeba protestować. A przede wszystkim robić to wspólnie. Wcześniej protesty organizowali osobno nauczyciele i nauczycielki, a osobno rodzice. Tymczasem walczyć powinniśmy razem, co przebija się do świadomości, bo pod obywatelskim wotum nieufności dla ministra podpisało się już niemal 100 tys. osób. Mnóstwo z nich wzięło też udział w mojej akcji #CzarnekChallenge. Marzy mi się, żeby minister edukacji został odwołany i byśmy w końcu zaczęli mądrze reformować polską oświatę. Szkoła powinna być otwarta, radosna, wolna. Mamy rozwiązania, wiemy, jak to osiągnąć. I wciąż wierzę, że w końcu się uda.

© Rozmawiał JĘDRZEJ DUDKIEWICZ

ANNA POTURALSKA / ARCHIWUM PRYWATNE

AGNIESZKA JANKOWIAK-MAIK jest nauczycielką, aktywistką edukacyjną. Znana w sieci jako „Babka od histy", laureatka XIV edycji Nagrody im. Ireny Sendlerowej, wyróżniona w konkursie Wielkopolski Nauczyciel Roku 2017, tutorka i trenerka, ekspertka edukacyjna w Instytucie Strategie 2050. Jest liderką programów „Mobilny historyk" i „Mobilny wosowiec" Wydawnictwa Operon. Działaczka na rzecz społeczeństwa obywatelskiego, popularyzatorka herstorii, publicystka. Zainicjowała w mediach społecznościowych akcję #CzarnekChallenge, zachęcając ludzi do podawania argumentów za odwołaniem ministra.

JACEK

Podsiadło:
Połamenta w kalapicie

Nie mam pewności, że ks. Konstanty Damroth, pisząc: „Skoro się wstydzisz swoich ojców gwary, wnet się zawstydzisz i wyprzesz ich wiary”, do mnie się zwracał, ale w moim żywocie proroctwo to spełniło się jak w mało którym. Nie tylko wiary i gwary ojców, ale nawet samych ojców zacząłem się wstydzić już w wieku nastoletnim. Na szczęście dla Wszystkich Zainteresowanych, skupiam się dziś na gwarze. W moim domu rodzinnym mówiło się gwarą, z grubsza biorąc, kielecką, przyniesioną przez rodziców do bram miasta ze wsi. W wiejskiej szkółce też się tak mówiło. Ale kiedy posłano mnie do miasta, do liceum, prawie wszyscy tam mówili polszczyzną literacką. Więc trochę się, proszę księdza, wstydziłem. Nie jakoś bardzo, ale na tyle, żeby się teraz temu dziwić. Bo dzisiaj z dumą używam zapamiętanych z dzieciństwa wyrażeń gwarowych. Jestem zabytkiem.

Slang młodzieży wiejskiej znacznie się różnił od slangu młodzieży miejskiej. Naszpikowany był wyrażeniami świadczącymi o żywym zainteresowaniu mieszkańców wsi światem przyrody, o zmyśle obserwacji tego świata połączonym z umiejętnością ujmowania w słowa i przekuwania w złote myśli rządzących nim praw. Niestety, w środowisku młodzieży miejskiej, w której języku królowały już „szpan”, „skóra”, „syf” i „kapewu”, odzywki typu „jak się kura zsiura” albo „jak pies nie ma co robić, to sobie jajca liże” nie mogły zrobić kariery.

Gdyby gwara kielecka przetrwała w żywej postaci do dzisiejszych czasów, miałaby szansę przeżyć prawdziwy renesans. Feministycznym językoznawczyniom spodobałyby się jej niemęskoosobowe formy typu: chłopy szły, robotniki robiły. Sprawdziłaby się chyba jako mowa nienawiści. Nie tylko dlatego, że ów chłopski dialekt zadziwiająco bogaty był w inwektywy i wszelkie określenia pejoratywne. Wydaje mi się, że mowa ludu świętokrzyskiego ciążyła ku dobitności, której bardziej wyważona polszczyzna literacka nie wykazuje. Neutralne, choć unikane dziś słowo „kaleka”, wymawiane jako „kalika” od razu zyskiwało wydźwięk mocno pogardliwy, w najlepszym razie pełen politowania, nie dawało się wypowiedzieć go z sympatią. W „Lotnej Sandomierskiej” pisarza Gruszczyńskiego spotkałem znajomy przymiotnik w zwrocie „uflagane ubranie”. Znam go w wersji ze ścieśnionym a: „uflogany”. „Uflogany” to zabrudzony, ale jak! Żeby mieć uflogane ubranie, nie wystarczyło się po prostu ubrudzić, jak w Warszawie czy Łodzi. Trzeba było przeczołgać się jako partyzant przez całą Puszczę Jodłową albo przynajmniej przeleżeć noc w stanie upojenia alkoholowego w błocie. Trudno znaleźć jakiś odpowiednik w normatywnej polszczyźnie, ostatecznie pewną szansę dałbym przymiotnikowi „uświniony”.

Osobom Zainteresowanym służę małym słowniczkiem zabytkowych inwektyw. Maruda, malkontent, ale także kapryśne dziecko to „zminda”. Uporczywie na coś narzekać to „zmindzić”. I rzeczywiście, w starych słownikach można znaleźć „żmindę” jako zrzędę. Osobnika nierozgarniętego nazywano „niemokiem”. Czasem wystarczyło mało się odzywać, żeby zostać uznanym za niemoka, bo małomówność zawsze była podejrzana. Ktoś dziwaczny, z pogranicza normy i aberracji, był pod Kielcami „fisiowaty”, natomiast ewidentnie stuknięty był już „fiśnięty”. „Kalmą” nazywano niezdarę ściśle określonego typu, kogoś spowolnionego, gapowatego. Podobnie z „grymułą”: był to ktoś zawsze spóźniony, np. długo zbierający się do wyjścia, gramolący się. Bliscy kalmie i grymule byli „niezguła” i „niedojda”, przy czym niezguła bardziej jest nieporadny, a niedojda niezaradny życiowo. Osobnik z felerami cielesnej natury był „graślawy”. Jeśli był to niezgrabiasz, którego nieporadność widoczna była już w ruchach, mógł usłyszeć pod swoim adresem: „ty połamento” (połamęto)! Połamenta to jak gdyby wyższy stopień połamańca. Występuje nawet trzy razy w internecie, za każdym razem w komentarzach kibiców pod adresem wybitnie nieudolnych, ich zdaniem, piłkarzy.

Podobnie jak ludzcy nieudacznicy, także nieudane przedmioty zasługiwały na osobne pogardliwe nazwy. „Ciarupą” było każde nieprzydatne naczynie – dziurawe wiadro, zbity dzbanek albo stara puszka. W jednym z opowiadań Stanisława Młodożeńca, pochodzącego spod Opatowa, znalazłem „ciarastwo” jako określenie starego, rozpadającego się buta. U nas ciarastwo to był wszelki sprzętowy chłam, bezużyteczne rupiecie, rzeczy nadające się do wyrzucenia. Z kolei „kalapita” to jakiś pojazd w ruinie, rzęch, a już obelgą motoryzacyjną najwyższego stopnia była „kalapita ruska”.

To na stokach Gór Świętokrzyskich „e” i „a” pochyłe tak się pochyliły, że się przewróciły. Tu i tylko tu na żydowski cmentarz mówi się „kierkut”. Nie dysponuję odpowiednim aparatem badawczym, aby móc odtworzyć proces wytworzenia tej formy, ale żywię przekonanie graniczące z pewnością, że kiedy lud tutejszy usłyszał słowo kirkut, uznał, że ma do czynienia z wersją skażoną, gwarową właśnie, jak w słowach „pirogi” czy „ścirka”. I postanowił „przywrócić” kirkutowi brzmienie, które wyobrażał sobie jako prawidłowe. A kiedy oderwany od orki na gołoborzu chłop stara się mówić poprawnie, niczego dobrego to nie wróży. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

fanimani.pl

WIARA

NOWE TORY KOŚCIOŁA

Apostolstwo zastąpiliśmy rządzeniem. W reformie nie ratowanie instytucji powinno być najważniejsze, tylko ukazywanie Królestwa Bożego.

O. WIESŁAW DAWIDOWSKI

Legendarny ksiądz Jan Zieja uważał, że głównym problemem, z którym Kościół boryka się od początku IV w., jest budowanie królestw doczesnych zamiast oddania się budowaniu Królestwa Bożego. W centrum misji Jana Chrzciciela, Jezusa, św. Pawła, apostołów stała Dobra Nowina o Królestwie Bożym i Królestwie Niebieskim. Epoka konstantyńska otworzyła natomiast chrześcijanom możliwość współpracy z państwem ziemskim, pod pozorem budowania Królestwa Bożego, podległego jednak berłu cesarzy, chociaż sami chrześcijańscy władcy ogłaszali się wasalami Boga.

ALBERTO PIZZOLI / AFP / EAST NEWS

Czyszczenie Bazyliki św. Piotra w Watykanie, 15 maja 2020 r.

Rezultatem było związanie następców apostołów z konkretnym ziemskim państwem. I to jemu zaczęli służyć, budując Kościół-instytucję wzorowaną na instytucjach ziemskich. W konsekwencji chrześcijanie zaniedbali budowanie Królestwa Bożego. Zdaniem ks. Ziei ten instytucjonalny model Kościoła tak dalece zawładnął umysłami chrześcijan, że w życiu biskupów bardzo niewiele zostało z apostolskiego sposobu życia. Apostolstwo zastąpiono rządzeniem.

Ks. Zieja wypunktował ten problem następująco: diecezją rządzi biskup, parafią proboszcz, a księża zadowalają się organizacją małych grup apostolskich, traktowanych jako własne poletko doświadczalne pod tytułem „moja młodzież", „moje duszpasterstwo". Od siebie dodam, że znam księży mówiących „moja parafia" zamiast „nasza parafia", biskupów mówiących „moi księża", a nie „my księża", albo „moja diecezja" zamiast „nasza diecezja". Zieja postulował przestawienie zwrotnic z kierunku „władza" na kierunek „odpowiedzialność" wszystkich ochrzczonych za apostolstwo i życie Ewangelią.

Konstantyński gorset

Te uwagi, opublikowane równo trzydzieści lat temu w książce „Żyć Ewangelią", po trzech dekadach właściwie nie tracą nic ze swojej aktualności. Ks. Zieja ufał jednak, że nadchodzi epoka wyzwalania się z konstantyńskiego gorsetu, a swoje nadzieje wiązał z osobą Jana Pawła II. Jest kwestią odrębną, czy na tamtym etapie taki proces był możliwy. Niemniej ten sam Zieja twierdził, że procesu wyzwolenia się Kościoła nie da się wprowadzić żadnym dekretem czy encykliką. Potrzebny jest jakiś ruch opierający się nie tyle na autorytecie instytucji Kościoła związanego z państwem doczesnym, co po prostu na świadomości realizowania przez Kościół Ewangelii, poczynając przede wszystkim od szczebla parafialnego.

Dlaczego o tym piszę? Otóż w kwietniu tego roku Franciszek ogłosił zwołanie XVI Synodu Biskupów, którego inauguracja odbędzie się 9 października równocześnie w Watykanie i we wszystkich diecezjach świata. Nie będzie to jednak jeszcze jedno rzymskie spotkanie wybranych biskupów, na którym wypowiedzą się oni na określony temat, zwieńczone opublikowaniem wzniosłego dokumentu jako podstawy dla papieskiej adhortacji, trafiającej następnie na półki, a w najlepszym wypadku na biurka teologów. Tym razem chodzi o coś wyjątkowego.

W obliczu globalnego kryzysu wiarygodności Kościoła we współczesnym świecie papież zadaje wszystkim diecezjom świata drogę synodalną jako narzędzie namysłu nad zagadnieniem „Ku Kościołowi Synodalnemu: komunia, uczestnictwo, misja". Są to trzy teologiczne pojęcia wypracowane przez Sobór Watykański II, a skutkujące konkretnym wymiarem struktury Kościoła. Droga synodalna ma dzielić się na trzy fazy: diecezjalną, kontynentalną i powszechną. Do każdego z tych etapów zaproszono do współpracy nie tylko biskupów czy księży, zakonników i zakonnice czy przedstawicieli uczelni kościelnych, ale wszystkich ochrzczonych, zarówno praktykujących, jak i niepraktykujących. Ma to być synod słuchania, ponieważ „proces decyzyjny w Kościele – stwierdził sekretarz generalny synodu kard. Mario Grech – rozpoczyna się zawsze od słuchania, bo tylko w ten sposób możemy zrozumieć, jak i gdzie Duch chce prowadzić Kościół".

Szefem jest Bóg

Jeśli dobrze rozumiem idee Franciszka, droga synodalna, jaką nam zadaje, ma w tle dwie fundamentalne kwestie. Czy w Kościele stawiamy na siłę czy na moc? I kwestia druga: czy dla dobra Królestwa Bożego jesteśmy gotowi pójść na całość?

Istnieje wielka różnica pomiędzy siłą i mocą. Można mieć w sobie siłę, aby walczyć z przeciwnościami losu, z demonami rodzącymi się w naszej skołowanej wyobraźni, ze wszystkimi tzw. zagrożeniami wartości chrześcijańskich. Taka siła prowadzi często do agresji, do budowania twierdz i bastionów, walki o swoje, wojowania w imię Boże z krzyżem na płaszczu, ale i z mieczem pod płaszczem. Siła prowadzi do pozbywania się wiarygodnych wartości duchowych przy jednoczesnym zachowaniu ich pozorów. Wiedzie do naruszania człowieczeństwa, utraty szacunku dla siebie i innych, do egoizmu i cynizmu. Siła daje iluzoryczne poczucie szczęścia z osiągnięcia władzy, nawet jeśli będzie to tylko władza sołtysa we wsi. ↦

↦ Moc natomiast jest przede wszystkim mocą Ducha Świętego, uzmysławiającego, że „prawda jest symfoniczna", jak mawiał Hans Urs von Balthasar. Moc Ducha i ludzkiego ducha to wolność wewnętrzna i wymaganie od siebie. To także czynienie pokoju między ludźmi. „Prawdziwa moc to życie, to duch, podczas gdy siła to słabość i śmierć" – jak dowodzi przyjaciel św. Matki Teresy z Kalkuty, prof. David R. Hawkins („Siła czy moc", Warszawa 2016). Papież Franciszek od lat zaprasza Kościół do wejścia w przestrzeń mocy ducha, a nie siły, czyli przemocy na wzór *civitas terrena*.

Aby osiągnąć moc ducha, trzeba jednak pójść na całość. Czyli nie używać podwójnej miary – dostrzegania drzazgi w oku bliźniego, a pomijania belki we własnym. Pójść na całość oznacza też: nie tylko modlić się gorliwie, lecz także nie lekceważyć człowieka słabego. Nie obnosić się publicznie ze swoją pobożnością i troszczyć o uznanie innych, ale liczyć przede wszystkim na uznanie w oczach Boga. Pójść na całość to liczyć się z tym, że Bóg jest większy od wszystkich naszych o Nim koncepcji.

Konsekwencje takiego podejścia uświadomił mi niedawno mój przyjaciel, prof. Yehoyada Amir z Hebrew University w Jerozolimie. Gdy napisałem mu, że dobiegła kresu moja kadencja prowincjała, wróciłem do szeregu i zależę teraz od mojego nowego szefa, odpisał mi krótko: przecież twoim Szefem jest Bóg! Czyż nie jest to sedno duchowej, a nie instytucjonalnej religii? Nasza sprawa jest sprawą z Bogiem, którego głosi Kościół.

Dla Kościoła „pójść na całość" oznacza, że nie można „służyć Bogu i mamonie". Skoro uczeń Chrystusa nie może żyć w rozdwojeniu i przede wszystkim służyć sobie, to także Kościół nie może być na siebie nakierowany. I nie chodzi tutaj wyłącznie o pieniądze czy o wpływy polityczne. Jak pisze wybitny egzegeta i teolog Gerhard Lohfink, „naśladowca Chrystusa będzie również żył w rozdwojeniu, gdy swoich bliźnich dzielił będzie na tych, których trzeba kochać, i tych, których wolno nienawidzić" („Czy Bóg potrzebuje Kościoła?", Poznań 2005).

Dom miejscem Kościoła

Nadchodzący synod wyrasta także z lekcji, jakiej udzieliła pandemia COVID-19. W wywiadzie dla „La Civiltà Cattolica" kard. Mario Grech, cytując ks. Tomáša Halíka, powiedział, że doświadczenie pustych kościołów doby pandemii można przyrównać do doświadczenia Żydów, którzy po zburzeniu świątyni jerozolimskiej musieli wziąć do ręki święte księgi i przy stole rodzinnym na nowo je zreinterpretować. Podobne było też doświadczenie chrześcijan pierwszej wspólnoty jerozolimskiej. Dlatego zdaniem watykańskiego hierarchy Kościół musi przeorientować swój dotychczasowy model duszpasterski i wejść na zupełnie nowe tory.

Stoimy przed zadaniem przemodelowania struktury Kościoła, gdzie dominantą nie będzie kwestia władzy, ale właśnie wymóg współodpowiedzialności.

Znam księży mówiących „moja parafia" zamiast „nasza parafia" i biskupów mówiących „moi księża", a nie „my księża".

Byłoby swoistym samobójstwem sądzić, że po pandemii można wrócić do tych samych modeli duszpasterskich, które praktykowano do tej pory. Poświęcamy wiele energii na próby nawrócenia zsekularyzowanego społeczeństwa, zauważa sekretarz synodu, podczas gdy ważniejsze jest nawrócenie nas samych, „nawrócenie duszpasterskie". To nawrócenie jest potrzebne chociażby dlatego, że wielu katolików to swoiści analfabeci ewangeliczni, a chodzi przecież o to, aby umieścić Ewangelię w centrum życia Kościoła i jego posługi.

W tym samym tekście kard. Grech wskazuje, że Kościół drogi synodalnej ma wyjątkową okazję, aby nawrócić się od modelu instytucji do modelu Kościoła domowego. Dotychczas przyjmowaliśmy niemal bez zastrzeżeń, że rodzina jest zależna od Kościoła, gdy tymczasem Kościół powinien być zależny od rodziny. Skoro rodzina jest Kościołem domowym – *domus ecclesiae*, to należy jej nadać wymiar sakralny i kultowy.

Od siebie dodam, że gdy w pandemii zabrakło możliwości uczestnictwa w coniedzielnej Eucharystii, a świeccy nawet nie mogli wziąć udziału w Triduum Paschalnym i świętować Wielkanocy w tradycyjny sposób, musieli wymyślić sposoby domowej paraliturgii, by chociaż w ten sposób celebrować i przeżywać wiarę w Zmartwychwstałego. Pierwszym miejscem, gdzie celebruje się, rozważa i przeżywa wiarę, jest zawsze rodzina.

Władza czy posługa

Co z tym wszystkim zrobi Kościół w Polsce? W niedawnym wywiadzie dla KAI przewodniczący episkopatu abp Stanisław Gądecki zwrócił uwagę na absolutną bezprecedensowość tego wydarzenia. Cieszy fakt, że zauważył oddolną inicjatywę świeckich, czyli Kongres Katolików i Katoliczek, jeszcze niedawno traktowany przez wielu biskupów z dużą nieufnością. Dostrzega konieczność wysłuchania wszystkich ochrzczonych, zarówno wierzących, jak i niewierzących, a także duchownych, którzy krytycznie wyrażają się o nim samym. Jest to jakieś otwarcie na nowe czasy. Jednakże w tym samym wywiadzie arcybiskup mówi z pewnym dystansem o skuteczności działań świeckich grup synodalnych, przywołując doświadczenia II Synodu Plenarnego w Polsce z lat 1991-99.

Pozwolę sobie zauważyć, że być może wspomniane doświadczenia wynikały z faktu ówczesnej dominacji modelu Kościoła-instytucji, a nie Kościoła-komunii czy Kościoła-herolda Królestwa Bożego. W sytuacji załamania modelu Kościoła, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni, a nawet gremialnego odrzucenia tego modelu przez ludzi młodych, pasterze Kościoła nie mają już prawdopodobnie innego wyjścia, jak tylko wsłuchać się w głos ludu Bożego.

Przewodniczący episkopatu podkreśla rolę biskupów, czyli kolegium następców apostołów posiadającego potrójną władzę pasterzowania, uświęcania i nauczania, w którą wyposażył Kościół jego boski Założyciel. Rozumiem, że jest to zawoalowana sugestia, aby synod w Polsce nie poszedł śladem niemieckiej drogi synodalnej, gdzie biskupi rozmawiają ze

świeckimi „jak równy z równym”. Otóż nie mam żadnych wątpliwości co do wartości sukcesji apostolskiej. Głęboko wierzę św. Ireneuszowi, gdy mówi „*ubi episcopus, ibi ecclesia*” (gdzie biskup, tam Kościół). Mam natomiast wątpliwość, czy słowo „władza” jest tutaj na miejscu, skoro teksty Vaticanum II mówią nie tyle o *potestas*, co o *munus*, czyli urzędzie biskupa.

Dodać należy, że ów *munus* jest pojęciem wieloznacznym, które tłumaczyć można jako „urząd”, „funkcja”, „misja”, „służba”, „zadanie”, „obowiązek”, „posługa”, a nawet „dar”. Patrząc od strony ściśle teologicznej, w Kościele władza i urząd posługi przenikają się wzajemnie. Niemniej władza kojarzy się z siłą i przemocą, czego aż nadto doświadczamy w wymiarze państwa świeckiego. *Munus* zostawia przestrzeń dla mocy ducha, życiowej energii i witalności, którą czerpie się ze służby właśnie.

Wyzwania

Są to oczywiście uwagi na teologicznym poziomie ogólności, podczas gdy istnieją konkretne, poważne wyzwania. Jaką odpowiedź znajduje dziś wspólnota Kościoła wobec coraz liczniejszych apostazji? Myślę tutaj o osobach, których rodzice całe swoje życie poświęcili Kościołowi. Ba! Oni sami byli rzecznikami sprawy Kościoła we współczesnym świecie, a mimo to odchodzą, deklarując nierzadko, że nie chcą pogrzebu katolickiego. Ostentacyjne stwierdzenie „niech sobie idą” – a spotkałem się z takim stwierdzeniem u kilku księży – jest przecież cynicznym zapomnieniem misji Dobrego Pasterza. Wiąże się z tym kwestia szkolnej katechezy, którą porzuca już około 30 proc. młodych. Rozwiązaniem tego problemu na pewno nie będzie wprowadzenie – ramię w ramię z władzą świecką – obowiązkowego wyboru między katechezą szkolną a etyką. Można się spodziewać, że reakcją będzie masowy wybór etyki przez młodzież.

Inną kwestią jest, jak przejść od Kościoła duszpasterskich eventów, celebrowanych na zlotach stadionowych, do pracy w małych grupach apostolskich i coraz mniej licznych parafii. Od dłuższego czasu mówi się o pentekostalizacji Kościoła, skutkującej promowaniem zachowań sekciarskich. Ponurą przestrogą przed brakiem monitorowania tych ruchów jest horror u wrocławskich dominikanów. Oczywiście nie można wykluczyć tych kierunków, ale nowa ewangelizacja nie może się sprowadzać do wzbudzania religijnych emocji.

Kard. George Pell propagował z pewnym powodzeniem w Australii projekt medytacji chrześcijańskiej, opracowany pod patronatem benedyktyna o. Johna Maina w ramach Światowej Wspólnoty Medytacji Chrześcijańskiej. Takie wspólnoty istnieją również w Polsce, a projekt ten wspierał zmarły na covid benedyktyn o. Włodzimierz Zatorski. Wielkie zapotrzebowanie na tego typu formację duchową, która uczy, jak spotkać się z Chrystusem – nauczycielem wewnętrznym – może być szansą dla Kościoła małych wspólnot. Może synody diecezjalne powinny przemyśleć i tę racjonalną drogę duchową, skoro mawia się, że „wiek XXI będzie wiekiem mistyków”?

Z duszpasterskiego doświadczenia wiem też, że w dobie zapaści demograficznej wzrośnie fala migracji zarobkowej do Polski. Potrzebne będą ręce do pracy i będą to ręce ludzi pochodzących z innych kręgów kulturowych. Czy diecezje są przygotowane do pracy z obcokrajowcami, dla których Polska staje się albo drugim domem, albo przystankiem w drodze do innych krajów? W których diecezjach obcokrajowcy cieszą się własnym kościołem, który byłby ich domem pojmowanym nie jako getto, ale miejsce inkulturacji? Czy biskupi wiedzą, że na terenie ich diecezji mieszkają katolicy o innym kolorze skóry, którzy nie mówią po polsku, ale żyją duchem Ewangelii? I co wspólnoty diecezjalne mogą robić dla tych ludzi, nawet jeśli nie są oni katolikami? To tylko kilka kierunków, których przemyślenie wydaje mi się ważne na synodalnej drodze.

Jednym z elementów nowego myślenia Soboru Watykańskiego II o Kościele stała się tzw. eklezjologia *communio*. Mówiąc najogólniej, ta kategoria jest konsekwencją modelu wspólnoty Osób Trójcy, której odzwierciedleniem powinno być życie Kościoła karmiące się sakramentami. Skoro papież Franciszek jako jeden z elementów synodalnego namysłu nad samoświadomością Kościoła zadaje właśnie pojęcia *communio, partitipatio, missio*, można zakładać, że stoimy przed konkretnym zadaniem przemodelowania struktury Kościoła, gdzie dominantą nie będzie kwestia władzy, ale właśnie wymóg współodpowiedzialności, zaangażowania i misji. Całkiem możliwe, że stajemy u progu epoki odchodzenia od modelu konstantyńskiego na rzecz modelu współodpowiedzialności.

© O. WIESŁAW DAWIDOWSKI

Autor (ur. 1964) jest augustianinem, doktorem teologii fundamentalnej, duszpasterzem obcokrajowców w Warszawie. Były współprzewodniczący Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów, konsultor Komitetów KEP ds. Dialogu z Judaizmem i Komisji ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek. W latach 2012-21 prowincjał Zakonu Świętego Augustyna w Polsce.

POŻEGNANIE

Z ogromnym smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

dr Jolanty Tenety-Płotkowiak

pracownika naukowego Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie
(b. Wyższej Szkoły Ekonomicznej i Akademii Ekonomicznej)
przez cały okres aktywności zawodowej.

Wyrazy najszczerszego współczucia
MĘŻOWI ORAZ CÓRKOM I ICH RODZINOM

składają
KOLEŻANKI I KOLEDZY Z B. KATEDRY PLANOWANIA
I POLITYKI EKONOMICZNEJ,

jesteśmy z Wami, Jurku, Bożenko i Lili

BEN CURTIS / AP / EAST NEWS

Kościół katolicki pw. św. Karola w Kano w północnej Nigerii. W 2014 r. doszło tu do zamachu bombowego, o który obwiniano islamskich ekstremistów z Boko Haram. Kano, Nigeria, 17 lutego 2019 r.

Wszystko w rękach Boga

MARTA ZDZIEBORSKA

Porywani dla okupu nigeryjscy księża zdani są niekiedy tylko na siebie. Biskupi za ich uwolnienie nie zapłacą.

Ks. John Bakeni z diecezji Maiduguri wie, co mówi: o doznanej traumie tak łatwo zapomnieć się nie da. Sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, jeśli tych bolesnych wspomnień z przeszłości zebrało się bardzo dużo. Na przykład weźmy to sprzed ośmiu lat, gdy ks. Bakeni przybył do parafii św. Józefa w Gashui. Jako 37-letni duchowny nie mógł trafić gorzej: już pierwszego dnia przeżył sześciogodzinny ostrzał miasta szturmowanego przez islamistów z grupy Boko Haram. Rozpychający się w północno-wschodniej Nigerii terroryści atakowali wówczas okoliczne wioski, a mieszkających w nich chrześcijan zabijali albo porywali dla okupu. Ks. Bakeni wylicza, że w ciągu zaledwie ośmiomiesięcznego pobytu w Gashui pochował czterech spośród dwustu parafian.

Ze spokojniejszych dni duchowny pamięta, jak okoliczni muzułmanie rzucali w stronę kościoła kamieniami, wylewali przez bramę pomyje i pozostawiali ciała martwych zwierząt. Najbardziej zdeterminowani uderzali nocą w żelazną bramę posesji i krzyczeli: „Zabijemy was, niewierni". Ten przeszywający ciszę łoskot ks. Bakeni wspomina do dziś.

Biały człowiek w koronie

Prześladowań ze strony muzułmanów doświadczył też niedawno ks. Elijah Juma Wada, proboszcz parafii św. Pawła w Bumie. Tylko okoliczności były zgoła inne.

Jest 30 czerwca. Duchowny jedzie samochodem do siedziby diecezji w Maiduguri, gdzie ma spotkać się z ks. Bakenim i tymczasowo zastąpić w obowiązkach innego księdza. Gdy wjeżdża na odcinek trasy wiodącej przez Damboę, zostaje zatrzymany przez uzbrojonych członków grupy Boko Haram. Kiedy dżihadyści słyszą, że mają do czynienia z księdzem, zaciągają go siłą do swojego auta, związują ręce, zabierają laptop oraz telefon. Przez pięć godzin wiozą go do słynnego lasu Sambisa, który od lat służy im jako baza i miejsce do przetrzymywania zakładników.

Ks. Wada ma pecha, bo podczas przesłuchania jeden z dżihadystów znajduje w jego telefonie zdjęcie, na którym stoi obok nuncjusza apostolskiego w Nigerii, abp. Antonia Filipazziego. Porywacze uznają, że skoro duchowny ma fotkę z „białym człowiekiem w koronie" (chodzi im o mitrę), to znaczy, że na pewno dostaną za niego duży okup. „Myślisz, że możemy zażądać stu tysięcy dolarów?" – pytają ks. Wadę, który dobrze zna politykę swojej diecezji. Zgodnie ze stanowiskiem nigeryjskiego episkopatu władze diecezji Maiduguri odmawiają płacenia okupów, co ma potencjalnie powstrzymać bandytów przed masowym porywaniem księży w Nigerii.

W obliczu nieugiętej polityki kościelnych władz ks. Wada zdany jest więc tylko na siebie. Po dziewięciu dniach niewoli zdarza się jednak cud: z pomocą współwięźniów duchowny wygina kratę w celi, prześlizguje się przez otwór i przemyka bezpiecznie obok

śpiących strażników. Ks. Wada tamtej nocy ma wyjątkowe szczęście. Jego współtowarzysze z celi to muzułmańscy pasterze z ludu Fulani, którzy bardzo dobrze znają rejony lasu Sambisa. Ucieczka zajmuje im 29 godzin.

Strach

– Gdy ksiądz Wada dotarł wreszcie w bezpieczne miejsce, był skrajnie wycieńczony i miał opuchnięte nogi. Konieczna była hospitalizacja – mówi ks. Bakeni, który podkreśla, że duchowny jest teraz w stanie stabilnym i przebywa w bezpiecznym miejscu. O powrocie do macierzystej parafii nie ma mowy. Gdy drugiej nocy po ucieczce zalogował się na Facebooku, dostał wiadomość od porywaczy: „Gdziekolwiek jesteś, dorwiemy cię".

– Sprawa jest na tyle poważna, że nasz biskup rozważa starania o przeniesienie ks. Wady za granicę – tłumaczy „Tygodnikowi" roztrzęsiony ks. Bakeni, który jako sekretarz w diecezji Maiduguri od początku zaangażowany jest w sprawę porwania duchownego. To on zgłosił jego zaginięcie na policję, kontaktował się w jego sprawie z lokalnymi władzami i zorganizował dla niego pomoc po ucieczce z więzienia.

– Odkąd Boko Haram terroryzuje północno-wschodnią Nigerię, wysłuchałem wielu przerażających historii porwań naszych parafian – wyznaje ks. Bakeni. – Ale nigdy nie mieliśmy w diecezji przypadku pojmania księdza. Przez te dziewięć dni bardzo się bałem, że zadzwonią do mnie porywacze i będę musiał im powiedzieć, iż nie płacimy za naszych księży okupu... Nawet nie mogę sobie wyobrazić, jak bym się po tym pozbierał. Zasady zasadami, ale tutaj przecież chodzi o życie ludzkie – mówi ks. Bakeni, który utrzymuje, że ekstremiści o dziwo ani razu nie skontaktowali się z władzami diecezji w sprawie okupu.

Strzelanina na mszy

Elijah Juma Wada to jeden z co najmniej kilkunastu duchownych, którzy w ciągu ostatniego roku padli ofiarą szerzącej się w Nigerii przemocy. Szerokim echem na świecie odbiło się grudniowe pojmanie biskupa pomocniczego archidiecezji Owerri Mosesa Chikwe, którego samochód i szaty liturgiczne z rozmysłem porzucono na tyłach miejscowej katedry. Dzięki interwencji policji napastnicy uwolnili hierarchę i jego kierowcę po pięciu dniach, o co apelował papież Franciszek i nigeryjscy biskupi.

Niektóre tego rodzaju historie kończą się jednak tragicznie. Tak jak w przypadku ks. Johna Gbakaana z diecezji Minna, który wpadł w ręce napastników, gdy wracał z odwiedzin u matki. Porywacze nie czekali nawet na okup i tego samego wieczoru zamordowali księdza maczetą. Z rąk bandytów w ostatnich miesiącach zginął też 33-letni Alphonsus Bello, którego porwano podczas napadu z bronią na terenie parafii św. Wincentego Ferreriusza w Malunfashi. Ciało proboszcza znaleziono potem na polu uprawnym niedaleko kościoła.

O tym, jak niebezpieczna bywa w Nigerii posługa kapłańska, przypomina również historia z 2018 r., gdy podczas mszy żałobnej w wiosce Mbalom zabito dwóch księży i 16 parafian. Napastnicy należący do ludu Fulani spustoszyli potem okoliczne domy, stodoły i pola uprawne. Zabici tego dnia księża – Joseph Gor i Felix Tyolaha – stali się przypadkowymi ofiarami konfliktu o ziemię i wodę, jaki toczy się między wędrownymi pasterzami i rolnikami.

Pięćdziesiąt kilometrów

Katolicy stanowią zaledwie 11 proc. mieszkańców kraju. Więcej jest protestantów (38 proc.), ale najwięcej muzułmanów (43 proc.). Prześladowania chrześcijan mają w Nigerii charakter systemowy, co dodatkowo wzmocniła rozpoczęta w 2009 r. krwawa rebelia dżihadystów z Boko Haram. Jak wynika z danych organizacji Intersociety, tylko od początku roku do połowy lipca w całej Nigerii zaatakowano 300 kościołów, zabito co najmniej 3,4 tys. chrześcijan, a niemal drugie tyle porwano. Choć do ataków dochodzi głównie na zdominowanej przez muzułmanów północy kraju, coraz niebezpieczniej jest również na południu.

Eksperci alarmują, że w pogrążonej w pandemii Nigerii wyrastają kolejne grupy przestępcze, które organizują napady z bronią, plądrują wioski i porywają cywilów dla okupu. Najbardziej niebezpiecznie jest teraz na drogach i w szkołach, skąd od grudnia 2020 r. porwano ponad tysiąc uczniów i nauczycieli. Jak wynika z wyliczeń Bulamy Bukartiego, cytowanego przez serwis „Vox" analityka z Instytutu Tony'ego Blaira, tylko od początku roku wszelkiej maści bandyci i bojówkarze wyłudzili od Nigeryjczyków około 4,9 mln dol.

Sytuacja stała się na tyle beznadziejna, że o szerzącej się przemocy mówią nawet sojusznicy nieznoszącego krytyki prezydenta Muhammadu Buhariego. „To najgorszy kryzys, z jakim mamy do czynienia. Czy to na północy, czy na południu kraju – nikt nie może czuć się bezpieczny. Wyzwaniem Nigeryjczyków stało się przejechanie nawet 50 kilometrów" – mówił w kwietniu nigeryjski senator Smart Adeyemi.

Biskupi od miesięcy przestrzegają przed rozpadem kraju i apelują do rządzących o stawienie czoła bezprawiu. „Zupełny brak bezpieczeństwa, ciągłe porwania i morderstwa, napady z bronią w ręku oraz wszechobecny bandytyzm – to wszystko doprowadza ludzi do rozpaczy. (...) Nasz naród się rozpada" – alarmowali w lutowym oświadczeniu przedstawiciele nigeryjskiego episkopatu.

Plan podróży

Fala przemocy w Nigerii sprawia, że duchowni katoliccy muszą być wyjątkowo czujni.

Na terenie diecezji Maiduguri, znajdującej się w samym centrum islamistycznej rebelii Boko Haram, już od dawna obowiązują rygorystyczne zasady. Jak tłumaczy ks. Bakeni, ze względu na ryzyko zamachów przed wejściem do większości kościołów zainstalowano bramki do wykrywania metalu.

Dla bezpieczeństwa księży wprowadzono również obowiązek raportowania każdej podróży: ci, którzy wybierają się poza teren swojego dekanatu, muszą o tym poinformować swojego dziekana, a ci, którzy jadą dalej – poza granice diecezji – komunikują się w tej sprawie z biskupem.

– Aby nie zwracać na siebie uwagi, wielu z naszych duchownych nie podróżuje w sutannie – mówi ks. Bakeni, który gdy tylko ma taką możliwość, woli przemieszczać się po Nigerii samolotem. Jeśli wyrusza w dłuższą trasę samochodem, odprawia wcześniej mszę i powierza życie Bogu.

– To nawyk z czasów, gdy Maiduguri było pod regularnym ostrzałem – tłumaczy. – Przez te wszystkie lata na szczęście zawsze czuwała nade mną opatrzność. Jakoś tak się składało, że docierałem do miejsca docelowego w odpowiednim momencie: tuż przed lub po tym, jak dochodziło ↦

↦ do ataku lub wybuchu miny na drodze – dodaje duchowny, który po latach posługi w najbardziej niebezpiecznym regionie Nigerii cierpi na zespół stresu pourazowego. Mówi, że niekiedy śnią mu się koszmary, miewa napady lęku. Porwanie ks. Wady tylko ten problem pogłębiło.

Różaniec na motorze

Wolni od strachu nie są także duchowni z południowo-zachodniej Nigerii.

Ks. Ugochukwu Ugwoke z diecezji Abeokuty najbardziej boi się wyjazdów do wiejskich parafii, gdzie co niedzielę odprawia mszę świętą. Aby zmniejszyć ryzyko porwania, duchowny zdejmuje koloratkę i wybiera się w podróż wyłącznie na motorze.

– Tak jest bezpieczniej, bo lokalni bandyci wychodzą z prostego założenia: jeśli jedziesz samochodem, to znaczy, że jesteś bogaty i sam prosisz się o atak – tłumaczy „Tygodnikowi" ks. Ugwoke, który zanim wyruszy w drogę, zawsze śledzi newsy dotyczące sytuacji w regionie. Jak mówi, do tej pory tylko raz zdarzyło mu się odwołać niedzielną mszę. Wtedy, gdy na trasie do jednego z kościołów pasterze z ludu Fulani porwali studenta z okolicznej wsi.

– Nie trzeba wiele, by wpaść w ręce porywaczy – mówi ks. Ugwoke. – Wystarczy, że pasterze zablokują ci drogę i każą wyjść z auta. Dlatego za każdym razem, gdy muszę wyjechać za miasto, modlę się do Boga i odmawiam po drodze różaniec. Trzymam go ciasno w dłoni, tuż za plecami kierowcy, tak żeby nikt go nie zauważył.

Ks. Ugwoke jest ostrożny, bo nie chce powtórzyć losu swojego przyjaciela z seminarium, który w zeszłym roku wpadł w ręce bandytów we wschodniej części Nigerii.

– Napastnicy przetrzymywali go przez pięć dni w lesie – mówi duchowny. – Dawali mu brudne jedzenie i wodę. Nie wiem, czy ostatecznie to rodzina zapłaciła za niego okup, ale jedno jest pewne: nie zrobiła tego jego macierzysta diecezja.

Zwłoki na ołtarzu

To, jak nieugięci w swojej polityce potrafią być niekiedy nigeryjscy biskupi, pokazuje historia ks. Chijiokego Amoke z południowej Nigerii. Jak donosił jesienią 2011 r. serwis Catholic News Service of Nigeria, ówczesny biskup diecezji Nsukka Francis Okobo nie ugiął się przed żądaniami napastników nawet wtedy,

ARCHIWUM PRYWATNE

Ks. Ugochukwu Ugwoke, gdy musi wyjechać za miasto, odmawia po drodze różaniec.

ARCHIWUM PRYWATNE

Ks. John Bakeni już pierwszego dnia w parafii przeżył sześciogodzinny ostrzał miasta szturmowanego przez islamistów.

gdy ci zabili innego porwanego w tym samym czasie mężczyznę. Jego zwłoki porzucono na ołtarzu miejscowego kościoła anglikańskiego. Niewzruszony tą prowokacją bp Okobo przekonywał na konferencji prasowej, że „porywacze nie mogą przetrzymywać ks. Amoke przez całą wieczność, gdyż albo oddadzą go Kościołowi i parafianom, albo zabiją go i oddadzą Bogu".

Ostatecznie pojmany ksiądz został wypuszczony na wolność po siedmiu dniach. Jak mówi dziś „Tygodnikowi" jego diecezjalny kolega, ks. Donatus Ajibo, duchownemu przez długi czas trudno było poradzić sobie z doznaną traumą.

– O tym się nie mówi, ale ks. Amoke został potraktowany przez porywaczy bardzo brutalnie. Napastnicy więzili go z workiem na głowie, jeden z mężczyzn oddał na niego mocz. Takich sytuacji się nie zapomina – dodaje ks. Ajibo, który podkreśla, że w związku z polityką nigeryjskiego Kościoła w sprawie okupu niekiedy jedyną deską ratunku jest pomoc finansowa ze strony bliskich lub parafian.

Klin klinem

W diecezji Port Harcourt, położonej również w południowej Nigerii, obyło się bez płacenia. Przynajmniej tak twierdzi ks. Francis Meenyimae Tete, który opowiada „Tygodnikowi" historię swojego parafialnego kolegi Michaela Mbariego. Jak tłumaczy, porwany w styczniu duchowny odzyskał wolność za sprawą nieco kontrowersyjnej sztuki negocjacji. Dzięki „koneksjom" jednego z parafian udało się nastraszyć szajkę porywczy: jeśli nie wypuszczą księdza, to wówczas w niebezpieczeństwie znajdą się ich bliscy.

– To już siódmy przypadek porwania w naszej diecezji w ciągu dziesięciu lat – denerwuje się ks. Tete. – Dla lokalnych bandytów wydajemy się idealnym łupem. Po pierwsze, z góry wiadomo, o której godzinie odprawiamy mszę. Po drugie, wielu z nas musi dojechać do odległych, wiejskich parafii, przez co jesteśmy bardziej narażeni na zasadzkę. Po trzecie, stoi za nami Kościół katolicki, czyli zagraniczna instytucja, która zdaniem lokalnych bandytów będzie miała pieniądze, by zapłacić wysoki okup – mówi ks. Tete i narzeka, że niestabilna sytuacja w regionie znacznie utrudniła pracę duszpasterską.

– To nie są już czasy, gdy mogłem zorganizować uliczną mszę dla mieszkańców, którzy nie są w stanie dojechać w niedzielę do kościoła. Coraz trudniej jest też docierać z modlitwą i sakramentami do chorych: jeśli akurat mieszkają w strefie opanowanej przez lokalnych bandytów, nie mogę zaryzykować i odwołuję wizytę – tłumaczy ks. Tete i dodaje, że ze względu na przemoc na ulicach w większości parafii nie odprawia się już wieczornych mszy, a niekiedy nawet odwołuje się te zaplanowane w ciągu dnia.

– Tu nie chodzi tylko o nas, ale także o wiernych. Gdy trzy lata temu służyłem w jednej z parafii w regionie Eleme, zastrzelono parafiankę wracającą wieczorem z kościoła. Zginęła z rąk bandytów, bo stawiała opór, gdy chcieli jej wyrwać torebkę. Jeszcze innym razem porwano kogoś, kto mieszkał tuż naprzeciwko naszej parafii. To nie są normalne warunki, by umacniać więź parafian z Bogiem. Gdy jadę samochodem do kościoła, często powtarzam sobie jedno: wszystko jest w Jego rękach.

© MARTA ZDZIEBORSKA

HINRICH BÄSEMANN / DPA / PAP

Kościół katolicki w Tromsø, Norwegia, 2014 r.

Lekcja geografii i religii

KAROL WILCZYŃSKI

Wysunięte najdalej na północ wspólnoty katolików charakteryzuje niezwykła różnorodność.

Pierwszy rzymskokatolicki kościół na dalekiej północy (68°13'N) powstał na początku XII w. w Kabelvåg w archipelagu Lofotów. Służył wówczas wikingom – rybakom, którzy rozpoczęli tradycję istniejącego do dziś centrum połowu dorsza. Suszone ryby z Morza Północnego już wtedy docierały do wielu katolickich społeczności w Europie, zaspokajając postne zapotrzebowanie wiernych. Kościół i osada przestały jednak istnieć w XV w. (podobnie jak osady wikingów na Grenlandii), a najdalej wysuniętym przyczółkiem katolicyzmu zostało biskupstwo Hólar (65°43'N) na Islandii. Północne misje średniowiecza zakończyły się dość krwawo w okresie reformacji, gdy skandynawscy władcy przyjęli luteranizm. Dziś kojarzący się z pokojem Islandczycy krwawo zakończyli istnienie ostatniej katolickiej diecezji na dalekiej północy – porwali biskupa Jóna Arasona i jego dwóch synów z Hólar i ścięli ich w południowej części wyspy 7 listopada 1550 r.

Zaledwie 26 lat później brytyjscy kolonizatorzy dotarli do ziem, które dziś stanowią kanadyjską prowincję Nunavut. Kolejne 350 lat zajmie jednak Europejczykom ekspansja w tych – znacznie mniej przyjaznych niż Skandynawia, ocieplana ciepłym prądem morskim, Golfsztromem – terytoriach i założenie osady handlowej w Mittimatalik (Pond Inlet, 72°41'N).

To właśnie w tej miejscowości, liczącej obecnie zaledwie ok. 1600 osób (z czego ponad 90 proc. stanowi ludność rdzenna), znajduje się najdalej wysunięta na północ świątynia katolicka pw. Najświętszego Serca Jezusa, funkcjonująca od 1929 r. Być może ze względu na udział Kościoła rzymskokatolickiego w kulturowym ludobójstwie ludności rdzennej Kanady i niechęć ludności rdzennej do katolicyzmu w świątyni nie odbywają się już regularne nabożeństwa (ostatnim z posługujących tam zakonników był Polak, oblat Daniel Szwarc).

Gdzie znajduje się więc „najdalej wysunięta na północ wspólnota katolicka"? Taki napis znajdziemy zarówno na stronie parafii, jak i wielokrotnie usłyszymy z ust parafian z Hammerfest na północnym krańcu Norwegii (70°66'N). Najwyraźniej jest zgodny z prawdą. Choć księża docierają do katolików żyjących w takich miejscach jak Aujuittuq (Wyspa Ellesmere'a Kanada, 76°25'N), Qaanaaq (Grenlandia, 77°28'N) czy Longyearbyen (Svalbard, 78°13'N), to są to i sporadyczne wizyty. Hammerfest to – jak na daleką północ – miasto z prawdziwego zdarzenia, bo liczące ponad 8 tys. mieszkańców.

Osada istnieje od XVII w. i jest również najdalej wysuniętym na północ miastem liczącym ponad 5 tys. mieszkańców. Sąsiednie miasto Alta jest siedzibą jednego z trzech najstarszych kościołów katolickich w Norwegii (1856 r.).

Setki kilometrów

– Przyjechałem tu dopiero w maju 2020 r. – mówi ks. Rafał Ochojski służący w diecezji Tromsø, który podobnie jak większość diecezjan pochodzi z Polski. – Jako Misjonarze Świętej Rodziny pełnimy posługę w północnej Norwegii od 90 lat. Choć wstępując do zakonu myślałem o wyjeździe na misje w bardziej typowym, południowym kierunku, to po krótkim pobycie w Hammerfeście byłem urzeczony.

Praca na dalekiej północy ma zupełnie inny charakter niż na południu Norwegii. Księża muszą pokonywać tygodniowo ↦

setki kilometrów, by odprawić mszę nawet dla piątki osób. Kościół, pomimo że to Norwegia, nie jest bogaty – kapłani są zobowiązani do samodzielnego prowadzenia swojego domu, dbania o naprawy, gotowania itd. – Dla mnie to jest świetne – mówi ks. Ochojski. – To bardzo zbliża do ludzi, osadza nas, księży, wśród nich, pozwala funkcjonować razem z nimi. Ten element samodzielności daje mi wewnętrzną radość.

Również dla Knuta Arnego Grosåsa, Norwega, diecezjanina diecezji Tromsø, różnorodność jest tym, co wyróżnia katolicyzm nordycki: – Trafiłem na północ cztery lata temu, ale tutaj niemal każdy jest skądś. Różnorodność kulturowa w parafii jest bardzo pozytywna. Dobrym przykładem tego, co nam daje, jest fakt, że od kilku lat w parafii mamy uchodźców z Iraku, którzy celebrują mszę w rycie chaldejskim. To jest dla nas coś nowego, bardzo ciekawego, czasem chodzę na ich mszę – zwierza się Grosås.

Podobnie sprawę widzi Agnieszka Dobrowolska, diecezjanka Tromsø od 2007 r.: – Wyjątkowe w naszej wspólnocie jest to, że wszyscy są tutaj bardzo mili, pomocni i zawsze uśmiechnięci. Przed covidem była również kawa i ciasto w salce po mszy co niedzielę, gdzie każdy mógł pójść, wspólnie posiedzieć i miło spędzić czas. Raz do roku jest organizowany grill na świeżym powietrzu oraz w grudniu *juletrefest* – święto choinki.

Dobrowolska zauważa, że choć katolików w Norwegii jest bardzo mało (ogółem stanowią ok. 4-5 proc. społeczeństwa), to właśnie ta wspólnota daje jej bardzo dużo radości i siły.

Ucieczka

O kawie i ciastkach wspomina na pierwszym miejscu również Yosief, uchodźca z Erytrei, który regularnie uczęszcza do kościoła. – To była najlepsza pomoc, jaką mogłem otrzymać – bycie z ludźmi!

Yosief zapytał o adres świątyni katolickiej jeszcze w urzędzie, który zajmował się sprawą jego azylu. – Poszedłem tam od razu, chciałem wypełniać słowa Jezusa o tym, by w jego imię gromadziło się choćby dwóch lub trzech. Bardzo ważna jest dla mnie również komunia – tłumaczy.

Do diecezji Tromsø trafił w maju 2014 r., po bardzo długiej drodze z rodzinnej Erytrei.

Dlaczego wybrał północ? Ponieważ tutaj mieszkała nieżyjąca już ciotka. Jak twierdzi, z Erytrei uciekają wszyscy, którzy ukończą 15 lat – jest to kraj o jednej z najsurowszych dyktatur na świecie.

Yosief bez utraty tchu uciekał na własnych nogach przez pięć dni i pięć nocy, aż dotarł do Sudanu. – Po drodze wielokrotnie widziałem żołnierzy erytrejskich. Gdyby tylko mnie zobaczyli, zastrzeliliby mnie. Życie takich jak ja nie ma tam żadnego znaczenia.

W Sudanie spędził rok, ale nie mógł wytrzymać znęcania i dyskryminacji, jakiej doświadczali chrześcijanie i uchodźcy w tym kraju. Wyruszył w trwającą 16 dni przeprawę przez Saharę, o której nie mówi nic więcej niż tylko: – Skończyła nam się w pewnym momencie woda. Ale na szczęście przeżyliśmy.

Razem z 455 osobami przedostał się na łodzi do Włoch, skąd – potajemnie – udało mu się dostać do Norwegii.

Yosief jest jednym z tysięcy katolickich uchodźców, którzy otrzymali schronienie w Norwegii i dziś tworzą – wspólnie z Polakami, Filipińczykami czy Rwandyjczykami – wspólnoty i kościoły, również na północy. Spośród nieco ponad 5 tys. diecezjan diecezji Tromsø (w tym 11 księży, wszyscy spoza Norwegii) ok. 90 mieszka w parafii Hammerfest, a 400 w Alcie. Stanowią ok. 1 proc. mieszkańców.

Przybysze

Jak przyznaje Knut Arne Grosås, katolicyzm wydaje się Norwegom egzotyczny. Sam jest katolikiem od urodzenia, ponieważ jego matka jest Polką i od małego wysyłała go do kościoła. Mały Knut trafił ostatecznie do duszpasterstwa NUK (Norweskich Młodych Katolików), w którym nadal angażuje się jako lider. Działa również w Caritas, które w Norwegii wspiera osoby z doświadczeniem uchodźczym, przede wszystkim udzielając im lekcji języka czy prowadząc kursy pisania CV. – Wierzę, że w tego typu działalności odnajduję nie tylko Boga, ale również ludzi – tłumaczy Grosås. Takich jak on jest jednak bardzo niewielu.

– W Norwegii raczej jesteśmy niezrozumiani, katolicy są postrzegani jako „sekta", ci, którzy są inni od reszty – twierdzi ks. Ochojski. Wskazuje również, że do Kościoła rzymskokatolickiego należą dwie grupy Norwegów – ci, którzy konwertują (kilka osób rocznie na terenie parafii Tromsø), oraz ci, którzy są katolikami od pokoleń.

Podobnie jak w średniowieczu, Kościół katolicki przybył na daleką północ za tymi, którzy tutaj pracują. W przeciwieństwie do misji w Nunavut katolicyzm nie był elementem misji kolonizacyjnej wśród Samów, ludności rdzennej północnej Skandynawii (co nie oznacza, że rządy Norwegii czy Szwecji nie prowadziły takich misji – do dziś działania władz centralnych Samowie uznają za formę dyskryminacji).

Kościół północy to przede wszystkim Kościół migrantów i uchodźców. Jeszcze w latach 60. XX w. liczba katolików wynosiła zaledwie 6 tys. osób. Dziś, 60 lat później, według różnych szacunków przekracza 200 tys.

– Wielokulturowość jest wyzwaniem – ludzie z różnych grup narodowościowych trzymają się razem (Polacy z Polakami, Filipińczycy z Filipińczykami, Somalijczycy z Somalijczykami), tak jest oczywiście łatwiej. Dlatego zależy nam, by podczas organizowanych przez nas spotkań po mszy ludzie się mieszali. I to się udaje, przynajmniej jeśli chodzi o tych, którzy zostają w Norwegii na stałe. Ci, którzy przyjeżdżają na chwilę, nie znają języka, raczej szukają mszy np. dla Polaków – mówi ks. Ochojski.

Ani Hammerfest, ani nawet świątynia w Mittimatalik nie są jednak najbardziej wysuniętymi na północ kościołami chrześcijańskimi. Dalej znajdziemy bowiem cerkiew w osadzie Dikson u ujścia rzeki Jenisej do Morza Karskiego w Rosji (73°30'N) oraz luterański kościół Svalbardu (78°13'N), gdzie do niedawna od czasu do czasu msze odprawiał proboszcz z Tromsø, ks. Marek Michalski (zmarł pod koniec czerwca).

Wspólnoty budowane wokół katolickich świątyń północy wyróżnia jednak fakt, że są one tak bardzo różnorodne. – Kościół jest tu bogaty w ludzi, mamy aż 76 narodowości. Spotykam tu tych wszystkich, do których chciałem kiedyś pojechać – zauważa ks. Ochojski.

Być może parafie północy są pod tym względem drogowskazem dla innych wspólnot katolickich. – Szczególnie wzbogacające jest dla mnie doświadczenie naszej jedności podczas mszy świętej – mówi misjonarz. – Wszyscy patrzymy i wierzymy w ten sam sposób, pomimo tego, co nas różni.

©℗ KAROL WILCZYŃSKI

WOJCIECH

Bonowicz:
I co teraz?

Bezczelność nie zna granic. Bezczelność przesunie słupek i powie, że zawsze tam stał. Albo oskarży kogoś fałszywie, a gdy oskarżony zacznie protestować, bezczelność powie, że chcą jej zamknąć usta.

Ma ona za nic ludzką godność, ale będzie się na tę godność powoływać, jeśli akurat może coś na tym zyskać. Podobnie z konstytucją, dobrymi obyczajami, cywilizacją chrześcijańską czy wartościami europejskimi. Bezczelność potrafi znakomicie szantażować innych moralnością, sięgać po prawa człowieka, zasłaniać się religią albo zdrowym rozsądkiem. Każdą z tych rzeczy z osobna traktuje instrumentalnie, jako środek do osiągnięcia własnych celów. Może do jednej czy drugiej idei była kiedyś przywiązana, może nawet coś jeszcze z tego przywiązania pozostało, ale kiedy będzie miała wybrać między tym, w co wierzyła lub wierzy, a tym, co w danej sytuacji zadziała na jej korzyść, bezczelność zawsze wybierze najpodlejszy pragmatyzm.

Jej sojusze są zawsze tymczasowe, a więzi, które tworzy, zrywa pod byle pretekstem. Chętnie otacza się tymi, którzy jej przyklasną, dostarczą argumentu, nie powiedzą, że bezczelna, ale że skuteczna. Zawsze może liczyć na jakichś akolitów. Najlepiej jeśli akolici chwalą ją w dobrej wierze, z przekonania, nie dla nagrody – brzmią wówczas autentycznie i potrafią przekonać innych. Kiedy bezczelność występuje przeciwko wolności, znajdzie się dość takich, którzy wyśmieją jej obrońców, mówiąc, że oni też nie tacy święci, a w ogóle to na nic taka mądrość, co przychodzi po wyrządzonej szkodzie. Nawet jeśli bezczelność zacznie być coraz bardziej ostentacyjna, akolici będą uparcie szukać poza nią powodów tej ostentacji. W najgorszym razie – jak w tym słynnym opowiadaniu Mrożka – napiszą, że sytuacja wprawdzie niewesoła, ale przynajmniej wdowie urodziło się dziecko.

Im bardziej zmącona woda, tym dla bezczelności lepiej. Jak powierzchnia jest mętna, nieprzejrzysta, to nikt nie zajrzy w głąb i nie zobaczy, jakie tam ryby pływają. Bezczelność stara się przede wszystkim zmącić znaczenie podstawowych pojęć opisujących rzeczywistość. Ostatnio takim pojęciem stała się wolność słowa. Przypominam więc dla porządku: w wolności słowa nie chodzi o to, żeby każdy mógł w każdym miejscu powiedzieć, co chce. Wolność słowa – i wolność mediów – polega na tym, że jeśli w jakimś miejscu nie chcą tego, co napisałeś, możesz pójść do innego. Problem zaczyna się wtedy, kiedy z tym, co napisałeś, nie masz dokąd pójść, bo wszystkie miejsca należą do jednego właściciela.

Bezczelność lubi występować jako obrończyni cnót. Cnoty się zmieniają, ale retoryka obrony pozostaje. Bezczelność zawsze broni kogoś przed kimś. Ludzie chętnie nadstawiają ucha, kiedy ktoś im mówi, że świat podzielony jest na winnych i niewinnych, a oni sami są ofiarami niesprawiedliwości. Często rzeczywiście są, ale to bezczelności wcale nie interesuje. Dla niej to tylko pożywka. Bezczelność w imię obrony niewinności organizuje kampanie, a nawet wywołuje wojny, wszystko po to jednak, żeby załatwić przy okazji jakiś własny interes. Sama bowiem pielęgnuje tylko jedną cnotę – relatywizmu. Dlatego zresztą w krytyce relatywizmu nikt jej prześcignąć nie może. Bezczelność tropi i piętnuje swoje własne odbicie.

Owszem, zdarza się bezczelności wzruszać, wyznawać miłość albo nawet – choć rzadko – przyznawać do błędu. I wtedy trzeba być naprawdę czujnym. Bo kiedy bezczelność bije się w piersi albo mówi, że kocha, jesteśmy naprawdę w wielkim niebezpieczeństwie. ©

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Brzesku Wydział I Cywilny pod sygn. I Ns 573/20 prowadzi postępowanie z wniosku Getin Noble Bank SA w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Janinie Babiuch, c. Jana i Katarzyny, zmarłej 21 stycznia 2018 r. w Brzesku, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Sterkowcu gm. Brzesko. Zmarła była wdową.

Sąd wzywa spadkobierców Janiny Babiuch do zgłoszenia się do tut. sądu i udowodnienia swych praw do spadku w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim zawiadamia, że pod sygnaturą I Ns 15/21 toczy się postępowanie z wniosku Sławomira Tomasza Falarza o zasiedzenie nieruchomości – zabudowanej działki nr 2973 o powierzchni 678 m^2 przy ul. Letniskowej 2A w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby zgłosili się do tutejszego Sądu w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 307/20 z wniosku Gminy Cieszanów z udziałem Łukasza Antonika o stwierdzenie nabycia spadku po Krystynie Elżbiecie Antonik c. Wacława i Janiny, zamężnej, zmarłej 20 grudnia 2016 r. w Lubaczowie, ostatnio stale zamieszkałej w Nowym Siole 56/2, gm. Cieszanów, po której pozostał majątek spadkowy w postaci nieruchomości położonej w Nowym Siole, wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku, pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ŚWIAT

NA MIŃSKIM SZLAKU

Najłatwiejsza dla migrantów i uchodźców z Bliskiego Wschodu i Azji Centralnej droga do Unii wiedzie przez Białoruś. Alaksandr Łukaszenka ma w rękach potężne narzędzie do destabilizowania całego regionu.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z POGRANICZA LITEWSKO-BIAŁORUSKIEGO

Młody Irakijczyk Kadim Mazin kocha muzykę. Gra na ud, arabskiej lutni. Chciałby grać dalej – i studiować. Najlepiej w Niemczech. Pochodzi z Bagdadu. Tam też studiował architekturę, ale z powodu braku pieniędzy musiał przerwać naukę.

Od dwóch lat nie czuł się bezpiecznie. Jesienią 2019 r. zaangażował się w antyrządowe protesty. Jak wielu młodych ludzi, demonstrował przeciwko bezrobociu, korupcji i wpływie sąsiedniego Iranu na sytuację w jego kraju. W starciach z policją zginęły setki osób, tysiące zostało rannych. Dla wielu był to czas dojrzewania myśli o opuszczeniu Iraku.

Kadim wraz z trójką przyjaciół decyzję o wyjeździe do Niemiec podjął w lipcu. W biurze podróży wykupił za 900 dolarów pakiet, na który w ostatnich miesiącach zdecydowało się tysiące Irakijczyków. 1 sierpnia wsiadł na pokład samolotu lecącego do Mińska. Na lotnisku w stolicy Białorusi czekał na nich pośrednik. Wziął ich paszporty i zatroszczył się o wyrobienie wizy turystycznej. W międzyczasie przeszli test na koronawirusa. Dostali ubezpieczenie i kartę SIM z aktywnym internetem. Po siedmiu godzinach spędzonych na lotnisku mogli ruszyć w dalszą drogę.

Zamiast do opłaconego hotelu w centrum stolicy Białorusi Irakijczycy wynajętą taksówką pojechali w kierunku granicy białorusko-litewskiej. Po ponad dwóch godzinach jazdy wysiedli z samochodu i zaczęli iść w kierunku wskazywanym przez GPS. Telefon pokazywał, że droga pieszo do Wilna potrwa ponad 12 godzin. Do lasu weszli o siódmej wieczorem.

Jednak po upływie tego czasu wciąż byli daleko od stolicy Litwy. Było zimno, cięły komary. Jeden z towarzyszy, skrajnie wyczerpany, nie chciał iść już dalej. W końcu grupka poddała się. Kadim zadzwonił na 112. Litewska policja zabrała ich do obozu we wsi Rudniki, 40 km na południe od Wilna. Są tu do dziś.

Zza siatki

Rudniki są zamieszkane głównie przez polską mniejszość. To spokojna wieś – na ławach przed wejściem do ładnych, drewnianych domów przesiadują starsi mieszkańcy. Na drodze, która ciągnie się przez wieś, leży czarny pies – nieliczne samochody muszą zjechać na pobocze, aby go ominąć.

Droga prowadzi dalej w stronę lasu. Z każdym metrem robi się coraz bardziej wyboista. Po kilometrze jazdy za jednym z zakrętów wyłania się brama największego obozu dla migrantów na Litwie. Przebywają tu sami mężczyźni. Rodziny i nieletni kwaterowani są w innych miejscach. Informacje o wielkości obozu są sprzeczne. Jedni mówią o pół tysiącu, inni nawet o ośmiuset osobach żyjących tu w zamknięciu.

Obóz otoczony jest ogrodzeniem. Za nim jest kilkumetrowy pas ziemi i kolejna stalowa siatka. To teren byłego poligonu wojskowego. Przy ogrodzeniu siedzą ludzie. Rośli uzbrojeni strażnicy nie chcą wpuścić dziennikarzy. Nie pomagają zezwolenia wcześniej udzielone przez litewskie MSW. Nie wolno nawet się zbliżyć. Po dłuższej chwili, pomimo zakazów strażników, dziennikarze decy-

JANIS LAIZANS / REUTERS / FORUM

Litewska straż graniczna zatrzymuje migrantów na granicy z Białorusią, Kalvai, Litwa, 7 lipca 2021 r.

dują się na wykrzykiwanie pierwszych pytań. W odpowiedzi słychać wiele języków. Mężczyzna z Konga odpowiada po francusku, dwóch Syryjczyków odkrzykuje po rosyjsku, inni mówią po arabsku, czasem po angielsku. Po kolejnych telefonach do MSW zmieniają zdanie. Media mogą podejść do wewnętrznego ogrodzenia – na pół godziny.

Nawet stąd czuć odór odchodów. Widać przepełnione kontenery i śmieci walające się po ziemi. Zamknięci po drugiej stronie płotu nie czekają na pytania. Chcą najpierw wyrzucić z siebie frustrację i opowiedzieć o warunkach w obozie.

– Jesteśmy uwięzieni – mówi Ahmed, Syryjczyk. – Jest tu tylko kilka toalet i pryszniców. Tylko kilka gniazdek elektrycznych. Mężczyźni śpią po kilkanaście osób w namiotach. Dzienna racja jedzenia to plastikowa siatka, w której znaleźć można chrupki chleb, biszkopty i konserwy. Ciepłych posiłków brak. Wizyty lekarskie to rzadkość.

Ahmed nie zdradza, dlaczego postanowił uciec z Syrii i jaką drogę przebył. Twierdzi, że jest elektrykiem i że część jego rodziny jest już w Niemczech i Szwajcarii. Właśnie tam chciałby dotrzeć.

– Na pewno nie wrócę do Syrii – podkreśla. – Litewski rząd uważa, że jesteśmy terrorystami, ale to nieprawda. My chcemy lepszego życia – mówi.

Chcemy lepszego życia

Obok stoi Dżamal. Młody Afgańczyk trzyma w ręku drut z zawieszoną na jego końcu puszką. Przystawia ją nad małe ognisko. Aby wątły płomień dalej się tlił, on i jego towarzysze dorzucają chrupkie pieczywo. W puszce gotuje się woda. Śmierdzi aluminium. – To na herbatę – tłumaczy.

Dla Dżamala podróż do Mińska wyglądała inaczej niż dla większości przybyłych, pochodzących z Iraku. Najpierw, z całą grupą, przedostał się z Afganistanu do sąsiedniego Tadżykistanu. Tam zapłacili po tysiąc dolarów przemytnikom, którzy wpakowali ich do ciężarówki. Jechali wiele dni, aż w końcu – po przebyciu 4 tys. kilometrów – dotarli do Mińska. Tam, tak jak pozostali, wykupili kurs taksówki w kierunku Litwy.

Granicę przekroczyli około północy. Po siedmiu godzinach błąkania się po lesie zostali znalezieni przez straż graniczną. Jak zresztą twierdzi, taki był właśnie plan. Dać się złapać i złożyć wniosek o azyl. To pierwsze się udało, ale jak długo potrwa kolejny etap, tego nie wie nikt. Informacji jest w obozie jeszcze mniej niż jedzenia i toalet.

Nasze rozmowy przerywa strażnik. „Proszę udać się poza teren obozu. Będziemy ich teraz karmić" – pada, jakby była mowa o zwierzętach. Jeszcze tego samego dnia w obozie dojdzie do zamieszek. Policja użyje gazu łzawiącego. Kilka osób spróbuje ucieczki, ale szybko zostaną złapane.

Białoruska „turystyka"

Rudniki znalazły się niespodziewanie w centrum kryzysu, który na Litwie narasta od wielu tygodni. Rządzący od 27 lat Białorusią Alaksandr Łukaszenka, po kolejnych sfałszowanych wyborach i sankcjach nałożonych przez Unię Europejską, postanowił odegrać się na Europie. Przekierował uchodźców i migrantów ↦

↦ z Bliskiego Wschodu właśnie na granicę z Litwą. Aparat państwowy uprościł procedury, a jego służby – choć mówi się również o pomocy Rosji – zadbały o rozkręcenie pseudoturystycznego biznesu.

I choć celem wycieczek sprzedawanych przez wiele biur turystycznych z Iraku, Demokratycznej Republiki Konga, a nawet Indii jest formalnie Mińsk, białoruski reżim nie kryje celu całej operacji, jakim jest destabilizacja zewnętrznej granicy Unii Europejskiej. „Wiele krajów żyje z turystyki, dlaczego Białoruś nie miałaby jej rozwijać? – pytał prześmiewczo w publicznym radiu Alaksandr Wolfowicz, bliski współpracownik Łukaszenki i sekretarz białoruskiej Rady Bezpieczeństwa. – Według moich danych w kraju jest dziś ponad sześć tysięcy turystów, a ich liczba rośnie. Oczywiście, mówię też o turystach z Bliskiego Wschodu".

Sam Łukaszenka wspominał wcześniej o planach „zalania Europy terrorystami" i narkotykami.

W efekcie białoruskich działań w ostatnich miesiącach do Litwy dotarło ponad 4 tys. migrantów i uchodźców. W większości przypadków nie było to szczególnie trudne, bo granica białorusko-litewska ma ok. 670 kilometrów i na przeważającym odcinku nie jest oddzielona żadną sztuczną barierą. Aby ukrócić proceder, litewskie władze wprowadziły stan wyjątkowy i uprawniły straż graniczną do cofania z granicy ludzi bez umożliwiania im składania wniosków o azyl. Litwinom udało się zredukować liczbę przekroczeń granicy, ale dochodzi na niej wciąż do dramatycznych scen.

Zachować godność

Vytautas Valentinavičius jest kierownikiem działu praw człowieka w biurze litewskiego rzecznika praw obywatelskich. Po nadaniu służbom nowych uprawnień pojechał na granicę skontrolować jej działania.

– Około czwartej nad ranem dostaliśmy informację z helikopterów o zbliżającej się do granicy grupie – relacjonuje. – Z ponad 40 osób część stała po stronie białoruskiej, a część ruszyła w naszym kierunku. Strażnicy krzyczeli po angielsku: „Wracajcie na Białoruś, tam będziecie bezpieczni". Jedna z kobiet nie dała się jednak zastraszyć. Wraz z dzieckiem na ręku dalej stała po litewskiej stronie, nie zważając na funkcjonariuszy z bronią i psami. Grupa Irakijczyków krzyczała, aby chociaż jej pozwolono przejść. W końcu wzięli ją i przenieśli na białoruską stronę. „Jak możemy przekroczyć granicę?", pytali migranci. „Odejdźcie!", krzyczeli strażnicy. Po drugiej stronie stali białoruscy strażnicy, w kaskach, z tarczami i pałami. I to z tej strony padały strzały w powietrze z broni automatycznej. Litwini bojąc się eskalacji wpakowali migrantów do busa, odjechali na inny fragment granicy i stamtąd kazali wracać ludziom na Białoruś – kończy swoje sprawozdanie Valentinavičius.

CZESŁAWA MARCINKIEWICZ, STAROŚCINA GMINY DZIEWIENISKIEJ:

Tu żyje wiele narodów. Nie potrzebujemy jeszcze narodu muzułmańskiego. Ale po ludzku jest mi ich żal.

Urzędnik nie ma wątpliwości, że cofając w ten sposób ludzi z granicy litewskie służby działają wbrew prawu. – To nie jest moja opinia. Takie jest prawo międzynarodowe. Niestety przepisy wprowadzane przez rząd, żeby chronić się przed kryzysem, ograniczają prawa migrantów. Teraz można zabronić tym ludziom niemal wszystkiego. Jest problem z opieką medyczną, ubraniami, a nawet z kontaktem z rodziną. A to przecież podstawowe prawo każdego człowieka – mówi Valentinavičius.

Za opublikowanie relacji z nocnych działań pograniczników Valentinavičiusa spotkała krytyka rządu. Agnė Bilotaitė, minister spraw wewnętrznych, nazwała jego wpis „antypaństwowym".

– Nawet jeśli Łukaszenka używa tych ludzi do prowadzenia wojny hybrydowej przeciwko Unii, to oni wciąż są migrantami i muszą być traktowani zgodnie z międzynarodowymi standardami. Również w czasie wojny godność ludzka powinna zostać zachowana – odpowiada Valentinavičius, gdy spotykamy się w Wilnie nieopodal budynku litewskiego Sejmu. Urzędnik chciałby, żeby Litwa zgodnie z prawem dała możliwość wszystkim chętnym złożenia wniosku o azyl. Ale jest w zdecydowanej mniejszości.

Duży problem małego kraju

Rząd broni swojej decyzji. – Mamy świadomość problemów, ale mamy też obowiązek chronienia zewnętrznej granicy strefy Schengen, szczególnie w czasie, gdy migracja staje się bronią w rękach Łukaszenki – mówi „Tygodnikowi" Gabrielius Landsbergis, minister spraw zagranicznych Litwy.

Ten 39-letni polityk stał się w ostatnich tygodniach twarzą rządowej strategii walki z kryzysem na granicy. Spotykał się z władzami Iraku i przedstawicielami UE. Ściągnął na Litwę Ylvę Johansson, unijną komisarz ds. wewnętrznych, która na miejscu obiecała pomoc finansową w zabezpieczaniu granicy i koordynacji migrantów na miejscu. Dzięki m.in. jego staraniom Irak czasowo wstrzymał loty do Mińska.

– Gdyby nie udało się zatrzymać tych lotów, musielibyśmy się liczyć z ok. 18 tys. ludzi, którzy nielegalnie przekroczyliby naszą granicę we wrześniu – mówi Landsbergis. Miejscowi politycy często podkreślają, że Litwa to mały kraj. Mieszkają tu niespełna trzy miliony ludzi. Ponad trzysta osób, które dostały się na Litwę tylko 1 sierpnia, daje w przeliczeniu na liczbę mieszkańców skalę migracji podobną do notowanej przez Grecję czy Włochy.

Bunt w Dziewieniszkach

Pojawienie się obcokrajowców zmieniło życie w południowej części Wileńszczyzny, zamieszkałej głównie przez etnicznych Polaków. Miejscem, gdzie na przestrzeni ostatnich miesięcy najczęściej przekraczano granicę, był teren wokół Dziewieniszek. To litewski „cypel" otoczony terytorium białoruskim.

– Sama widziałam rodziny, które przekraczały granicę – mówi Czesława Mar-

ŁUKASZ GRAEJWSKI X2

Obóz w Rudnikach, 10 sierpnia 2021 r.

cinkiewicz, starościna Dziewieniszek. Żeby dotrzeć do niej na rozmowę, trzeba najpierw przejechać przez punkt kontroli przygranicznej. Po przepuszczeniu przez policję po paru minutach jazdy samochodem po prawej stronie widać płot i słupy graniczne. Jeszcze do niedawna rodziny często mieszkające zarówno po litewskiej, jak i białoruskiej stronie odwiedzały się nieniepokojone przez straż. Teraz okolice w dzień i noc patrolują wozy żandarmerii wojskowej. Sprawdzają i spisują każdego, kto zatrzyma się nawet na chwilę przy płocie. Kolejne kilometry drogi to idylliczne obrazy – lasy, łąki, małe wsie z drewnianą zabudową. Największe w okolicy Dziewieniszek liczą zaledwie ok. pół tysiąca osób.

Starościna na początku rozmowy trochę narzeka. W piątek miała siedmiu dziennikarzy, a dziś rano też był już jeden.

– Dajcie mi, ludzie, pracować – mówi z zaśpiewem typowym dla mieszkających tutaj Polaków. To jednak głównie kokieteria. Czesława Marcinkiewicz ma za sobą najbardziej intensywny miesiąc w swoim życiu i chętnie dzieli się tym doświadczeniem z mediami z całego świata.

Już wiosną zaczęli do niej dzwonić mieszkańcy. A to, że w ich ogródku siedzą zmęczeni ludzie, którzy wyszli z lasu, a to, że ktoś zapukał do okna i prosił o wodę. To zmieniło spokojne życie mieszkańców, ale burza rozpętała się 9 lipca, gdy Marcinkiewicz dowiedziała się o planach rządu w Wilnie, że w Dziewieniszkach powstanie obóz dla uchodźców. Mieszkańcy przestraszyli się wizji setek migrantów kwaterowanych w miasteczku. Dodatkowo urzędnicy w stolicy upatrzyli sobie stary budynek szkoły rolniczej. – To 24 metry od polsko-litewskiego gimnazjum – mówi wzburzona. Na to nie chciał się tu nikt zgodzić.

Organizowano protesty, spotkania, w końcu mieszkańcy skrzyknęli się na blokadę budynku. Tak, żeby nikomu nie udało się go wyremontować i dopuścić do otwarcia. W akcję zaangażowali się politycy Akcji Wyborczej Polaków na Litwie, partii, która rządzi niepodzielnie na terenach zamieszkałych przez polską mniejszość. Blokujący wywiesili obok budynku transparent „Stop Nielegalams". Starościna z zachwytem wspomina atmosferę protestu: – Nie było alkoholu ani żadnych przekleństw.

W końcu małe Dziewieniszki odwiedził prezydent Litwy Gitanas Nausėda. – Jak mu mówiłam, że to tylko 24 metry od szkoły, to widziałam, jak podniósł brwi do góry ze zdziwienia – Marcinkiewicz odtwarza mimikę głowy państwa.

Czy przeważyła decyzja samego prezydenta? Trudno powiedzieć, ale ostatecznie w Dziewieniszkach ośrodka nie zbudowano. – Tu żyje wiele narodów: Polacy, Litwini, Białorusini. Nie potrzebujemy jeszcze narodu muzułmańskiego. Ale po ludzku jest mi ich żal – mówi Marcinkiewicz.

Nadchodzi zima

Niechęć i obawy związane z przybyszami to nie tylko domena przygranicznej prowincji. Popularny liberalny dziennikarz i prezenter telewizyjny Andrius Tapinas wyprodukował film, w którym lektor po arabsku zniechęca migrantów do przyjazdu. „Nikt z was nie dostanie się do Niemiec" – brzmi przesłanie. „A u nas wkrótce zacznie się zima, przy której nawet najchłodniejsze noce na pustyni są niczym" – przekonuje głos na tle dramatycznych zdjęć i filmowej muzyki.

Film ma już 8,5 tys. polubień na Facebooku, a na YouTubie wyświetlono go blisko 50 tys. razy. I całkiem możliwe, że trafił do odbiorców w Iraku, Tapinas umieścił bowiem również linki do grup na Facebooku i Telegramie, na których organizowali się w ostatnich tygodniach Irakijczycy. W grupach zaczęły się niecodzienne dyskusje, ponieważ profile o litewskich nazwach zaczęły nie tylko wklejać film, ale również, zapewne przy użyciu translatora, przekonywać po arabsku, dlaczego podróż w kierunku ich kraju jest złym pomysłem.

– Społeczeństwo reaguje w taki sposób, w jaki sytuację pokazuje rząd – tak społeczne odruchy ocenia Vytautas Valentinavičius. Rząd mówi o „współpracownikach Łukaszenki", o niebezpieczeństwie dla Litwy, o milicji Łukaszenki. Jeśli używają takich słów, to trudno winić ludzi – przekonuje Valentinavičius. I dodaje z obawą w głosie: – Będziemy mieli ↦

↦ wielki problem, żeby zmienić nastawienie wobec migrantów.

Rząd w Wilnie wydaje się jednak patrzeć na problem z innej perspektywy. – Przede wszystkim kryzys się jeszcze nie zakończył – mówi Gabrielius Landsbergis. W opinii szefa litewskiej dyplomacji Łukaszenka i białoruskie służby wciąż szukają okazji na sprowadzanie ludzi nie tylko z Iraku, ale i z innych państw Bliskiego Wschodu i Azji. Mowa jest o lotach z Pakistanu, a nawet z Afganistanu. – Jeszcze niedawno próbowaliśmy zatrzymać wodospad przy pomocy wiadra – Landsbergis mówi o dniach przed rozpoczęciem odpychania migrantów od litewskiej granicy. – Teraz, kiedy potok migrantów udało się zatrzymać, możemy skupić się na sytuacji ludzi, którzy już trafili do obozów. Trzeba ich rejestrować, zapewnić im opiekę medyczną, udostępnić wnioski o azyl. To wszystko nie dzieje się szybko, ale zdajemy sobie sprawę z naszych zobowiązań humanitarnych – przekonuje.

Ostatecznym rozwiązaniem ma być ogrodzenie trzymetrowej wysokości, które Litwini chcą postawić na całej długości granicy z Białorusią. Postanowił już o tym litewski Sejm.

Miński szlak jest w tym momencie najtańszym i najłatwiejszym szlakiem migracyjnym z Bliskiego Wschodu i Azji Centralnej w kierunku Unii Europejskiej. Jego zarządca, nieobliczalny i mściwy Alaksandr Łukaszenka, ma w rękach potężne narzędzie do destabilizowania całego regionu. A wiele wskazuje na to, że na granicy litewskiej się nie skończy. W ostatnich dniach coraz więcej przypadków nielegalnego przekroczenia granicy odnotowują straże graniczne na Łotwie (gdzie na pograniczu wprowadzono już stan wyjątkowy) i w Polsce. W naszym przypadku grupy migrantów dojeżdżają z Mińska do Grodna i stamtąd próbują przedostać się na terytorium Polski.

Tylko w dniach 6-8 sierpnia Podlaski Oddział Straży Granicznej zatrzymał 349 osób, głównie Irakijczyków i Afgańczyków. © ŁUKASZ GRAJEWSKI

Artykuł powstał przy wsparciu stypendium dziennikarskiego, które autor otrzymał od Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

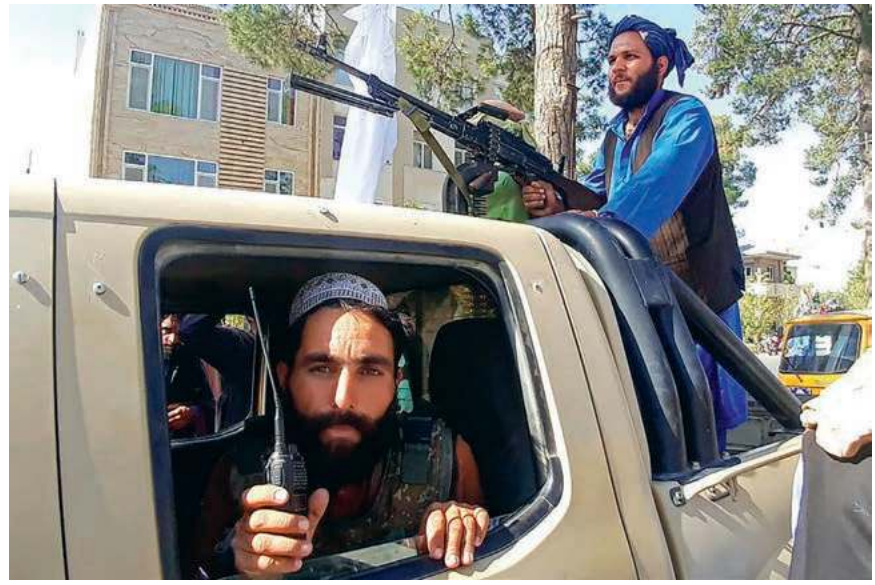

AFP / EAST NEWS

Talibowie na ulicy w Heracie, trzecim co do wielkości mieście Afganistanu. 13 sierpnia 2021 r.

Talibowie podbijają Afganistan

ALISHER SHAHIR Z KABULU, PAWEŁ PIENIĄŻEK

Wojska rządowe poddają kolejne miasta. Wkrótce talibowie mogą stanąć u bram Kabulu.

To już drugi raz w ciągu ostatnich kilku dni, gdy 35-letni Taslem Chan wraz z rodziną musiał uciekać przed nadciągającą wojną, starciami talibów z armią rządową, ostrzałami i nowymi porządkami. Ostatecznie trafili do północnych dzielnic stołecznego Kabulu, gdzie mieszkają w namiocie zrobionym ze starych ubrań.

W tym prowizorycznym obozie dla uchodźców wewnętrznych są zdani sami na siebie. Nie mają pieniędzy ani wsparcia państwa. Jedynie stali mieszkańcy, którzy nie mogą patrzeć obojętnie na szybko rosnącą liczbę osób szukających schronienia w ich mieście, dostarczają im wodę i jedzenie. To jednak za mało, by nakarmić wszystkich. Nieletni synowie Chana muszą wychodzić na żebry. Proszą o pieniądze i jedzenie, by przeżyć.

– Gdybym był sam, nie narzekałbym. Mógłbym spać gdziekolwiek i jeść byle co, warunki nie miałyby znaczenia. Mam jednak żonę i czwórkę dzieci – mówi Chan.

Z północy kraju, która została niemal całkowicie zajęta przez talibów, uciekają dziesiątki tysięcy cywilów. Według danych ONZ w pierwszym półroczu 2021 r. z powodu trwających walk domy musiało opuścić 330 tys. Afgańczyków. Te dane nie uwzględniają jednak ofensywy z ostatnich dni.

Szukający schronienia często wybierają Kabul, bo front wciąż znajduje się względnie daleko od niego. Jeśli jednak natarcie talibów nie zwolni, wkrótce bojownicy mogą dotrzeć także do stolicy.

Bez parasola ochronnego

Wieś Chana w prowincji Badachszan na północy kraju została wzięta przez talibów w zasadzie bez walk. To właśnie szybkość i skuteczność ich ofensywy na północy była najbardziej zaskakująca.

Te tereny stanowiły bastion oporu przeciwko talibom ponad dwie dekady temu.

Wojna nabrała tempa po tym, gdy w maju amerykańskie wojska i ich sojusznicy rozpoczęli wycofywanie się z Afganistanu. Rządowa armia uzależniona od ich wsparcia szybko traciła kolejne tereny. Najbardziej dotkliwe było ograniczenie wsparcia z powietrza do minimum, bo to ono najskuteczniej hamowało ataki talibów.

Ci najpierw skupili się na zajmowaniu terenów wiejskich. Kolejne dystrykty wpadały w ich ręce. Tylko od maja do końca czerwca zdobyli ich przeszło 80 z ponad 400. Obecnie kontrolują więcej niż połowę, choć zgodnie z wyliczeniami portalu Long War Journal jeszcze w maju sprawowali władzę tylko w 87 z nich.

Następnie zmienili strategię i zwrócili się ku miastom. Powodem tego miały być właśnie amerykańskie naloty, które choć ograniczone, nie ustały. Talibowie potraktowali to jako złamanie porozumienia pokojowego zawartego ze Stanami Zjednoczonymi w 2020 r.

Zajmowanie stolic prowincji idzie im tak błyskawicznie, jak wcześniej dystryktów wiejskich. W ciągu ośmiu dni zajęli ponad połowę z nich. Ofensywa nie ograniczyła się do północy, następnie przyszła kolej na zachód i południe.

W mediach społecznościowych krążą kadry z kolumnami rządowymi wyjeżdżającymi z miasta – sugerują, że lokalni dowódcy zawarli porozumienia z talibami. Byli tacy, co zdezerterowali i przeszli na ich stronę. Część żołnierzy uciekła przed nacierającym wrogiem, porzucając przy okazji uzbrojenie i pojazdy. W ręce talibów wpadły nie tylko niezliczone humvee, ale nawet jeden z czterech helikopterów bojowych Mi-24, podarowany Afganistanowi przez Indie w 2019 r.

W dniu oddawania tekstu do druku, afgańskie władze doznały najdotkliwszych jak dotychczas porażek. W ciągu doby talibowie zdobyli drugie i trzecie największe miasta w Afganistanie. To odpowiednio Kandahar na południu i Herat na zachodzie. Po takim wstrząsie władze w Kabulu wydają się być zupełnie bezradne.

Prezydent Joe Biden podkreśla, że Stany Zjednoczone wypełniły swoje zadania i nie ma powodów, by pozostały w Afganistanie. Dlatego decyzja o wycofaniu wszystkich wojsk do końca sierpnia wydaje się nieodwracalna.

„Możemy znieść wszystko, tylko nie hańbę"

Chan ma dwóch synów i dwie córki. To ze względu na nich postanowił, że opuszczą wiejski dom. Chłopcy często są werbowani w szeregi talibów, a córki zmuszane do poślubienia bojowników. Za odmowę oddania dzieci w najlepszym razie otrzymuje się chłostę.

Talibowie przyszli do domu Chana. Wcześniej o tym, że nadchodzą, donieśli mu sąsiedzi. Chan ukrył potomków. Najbardziej obawiał się, by nie zabrali jego szesnastoletniej córki. Gdy bojownicy zobaczyli, że w domu nie ma synów, powiedzieli mu, żeby to on wstąpił w szeregi ugrupowania. Chcieli wydać mu broń, ale wyłgał się chorobą.

– Jesteśmy w stanie znieść wojnę, bo wyrośliśmy w trakcie jej trwania, straciliśmy podczas niej członków rodziny, nasza młodzież odnosiła rany na skutek walk, a mimo to nie opuszczaliśmy naszych domów. Możemy znieść wszystko, ale nie hańbę i napady na nasze domy i córki – mówi Chan.

Ze wsi rodzina udała się do Fajzabadu, stolicy prowincji Badachszan. Wkrótce w mieście wybuchły walki, jakich nie doświadczyli w dystrykcie Awan. W budynek sąsiadujący z domem, w którym się zatrzymali, trafił pocisk. Zginęły dwie kobiety, a jedną raniono. Chan, jego ojciec, żona i dzieci chcieli wyjechać jak najszybciej.

Ostrzał przy drodze

Czekali przy trasie na mikrobus, których kierowcy w ostatnich dniach zwietrzyli interes. Za drogę do Kabulu nie chcieli już tysiąca afgani (równowartość 48 zł) od osoby, tylko pięć tysięcy afgani (242 zł) i nie miało znaczenia, czy pasażerem jest dziecko, czy dorosły. Choć w mikrobusach jest miejsce dla ośmiu osób, to upychali w nich nawet dwa razy tyle. Nim Chan z rodziną doczekali się na transport, zostali ostrzelani. Nagle obok nich jakby znikąd spadł pocisk. Wybuch zabił ojca Chana. Reszta rodziny doznała lekkich obrażeń od odłamków. Fajzabad był na skraju upadku, więc Chan pochował chybcikiem ojca, a rany przewiązali ubraniami, by nie sączyła się krew. Wciąż oszołomieni tym, co się wydarzyło, wsiedli do mikrobusa.

Tylko w pierwszych dziesięciu dniach sierpnia do 15 placówek wspieranych przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża zgłosiło się 4042 pacjentów z ranami powstałymi od różnego rodzaju broni. W lipcu było ich niemal 13 tys.

W ciągu pierwszego półrocza 2021 r. zginęło przynajmniej 1659 cywilów, a 3254 raniono. Według ONZ to o 47 proc. więcej ofiar niż w tym samym okresie roku minionego. Jeśli przemoc nie zostanie wstrzymana, liczba rannych i zabitych może być najwyższa od 2009 r., czyli odkąd ONZ prowadzi statystyki.

Życie nic nie warte

Po drodze Chan mijał posterunki to jednej, to drugiej strony. Gdy pytali go, dokąd się wybierają, mówił, że z Kabulu lecą do Iranu, co na posterunkach przyjmowano ze zrozumieniem. Dla biednej rodziny wymówka na poczekaniu była marzeniem nie do zrealizowania. Otrzymanie wizy jest już praktycznie niemożliwe.

Dopiero po drodze do Kabulu rodzinie Chana udzielono pierwszej pomocy w jednym ze szpitali. To znaczy przemyto im rany i założono opatrunki. Nikt nie miał głowy, by wyciągać odłamki tkwiące w ich ciałach. W stolicy Chan nie wie, gdzie otrzymać bezpłatną pomoc, a na prywatną nie ma pieniędzy.

– Nie stać mnie na wizytę u lekarza. Ledwie nam starcza na jedzenie, więc o operacji nawet nie mam co marzyć – stwierdza.

Dlatego w wychudzonych plecach Chana kawałek metalu znajduje się do dzisiaj.

W dniu, w którym wraz z rodziną wyjechał, Badachszan, podobnie jak stolice dwóch innych prowincji, został zajęty przez talibów. Także Kabul niedługo może znaleźć się w ich zasięgu.

– Jedyne, czego chcą ludzie w tym kraju, to pokoju. I to chyba zbyt wiele, bo pokój nigdy nie nastał. Walki trwają, a w rezultacie giną niewinni ludzie – mówi Chan. – Obie strony siedzą bezpieczne na swoich pozycjach, a tymczasem my, przypadkowe ofiary, umieramy i jesteśmy okaleczani. Nasze życie nie ma wartości dla żadnej ze stron.

Do obozów rozsianych po mieście nieustannie trafiają kolejni ludzie. Mieszkańcy metropolii od dawna mierzą się z ogromną biedą. Ten kryzys tylko pogłębia straszną już sytuację humanitarną. ©

Tekst ukończono 13 sierpnia.

EMIN SANSAR / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Członkinie mniejszości muzułmańskiej w oczekiwaniu na wizytę ówczesnego premiera Turcji Binaliego Yıldırıma, Komotini, Grecja, czerwiec 2017 r.

Każdy w swoim kącie

ULA IDZIKOWSKA Z TRACJI ZACHODNIEJ (GRECJA)

W północno-wschodniej Grecji mieszkają tysiące Turków. Od dziesięcioleci, w cieniu konfliktów w regionie, walczą o swoje prawa i tożsamość.

Śpiew muezzina przebija się przez greckie hity z okolicznych tawern. To kolejne wezwanie do modlitwy dla muzułmańskich mieszkańców Komotini – Turków, którzy w przygranicznej Tracji Zachodniej, graniczącej z Bułgarią i właśnie Turcją, żyją od czasów imperium osmańskiego. Nad niską zabudową tego 60-tysięcznego miasta na północno-wschodnim krańcu Grecji górują minarety aż dziewięciu meczetów.

Tracja Zachodnia jest „przykładem idealnej koegzystencji Greków różnych wyznań", zapewniało ostatnio greckie ministerstwo spraw zagranicznych. Potwierdza to prawnik Stergios Gialaoglou: – Wielu moich klientów i przyjaciół należy do muzułmańskiej mniejszości. Żyjemy tu w harmonii od ponad stu lat.

Grecy robią zakupy w tureckich sklepach i zajadają się najlepszym w mieście – tureckim – kebabem. A Turcy – zamiast do szkół dla mniejszości – coraz częściej posyłają dzieci do placówek państwowych, gdzie nawiązują przyjaźnie z greckojęzycznymi rówieśnikami. W wielu miejscach w Komotini, m.in. zakładzie fryzjerskim pana Ferruha, spotyka się grecko-turecka klientela. Starsi mężczyźni, którzy znają się od lat, rozmawiają w oczekiwaniu na swoją kolej. Grecki miesza się z tureckimi wtrąceniami.

Tożsamość to tabu

Mimo zbliżenia między Grekami a turecką mniejszością, która przez lata żyła w izolacji, o pełnej integracji nie ma mowy – jeszcze dwa lata temu parlamentarzysta tureckiego pochodzenia w rządzie lewicowej Syrizy Mustafa Mustafa stwierdził w przemówieniu, że muzułmańska mniejszość i ich greccy rodacy mieszkają raczej obok siebie: „każdy w swoim kącie".

Jest w tym ziarno prawdy. W Komotini wciąż utrzymuje się podział na tureckie i greckie dzielnice. Na obrzeżach miasta jest też romska osada Alan Koyu, gdzie około 2 tys. Romów – głównie muzułmanów – żyje z ograniczonym dostępem do opieki zdrowotnej i edukacji.

Ale tam nie docieram. Fatih Hüseyinoğlu, młody informatyk, który działa na rzecz muzułmańskiej mniejszości, zabiera mnie na przejażdżkę po tureckiej dzielnicy, gdzie mieszka od urodzenia. Mijamy niskie domy z odrapanymi tynkami, lekko pochylone do przodu lub wtulone w sąsiednie budynki. Hüseyinoğlu jedzie ostrożnie. Samochód co chwilę podskakuje. – To wstyd. Żyjemy w Unii Europejskiej. A drogi jak ze średniowiecza – narzeka.

Hüseyinoğlu ma wielu greckich przyjaciół. Rozmawiają o wszystkim oprócz polityki i jego pochodzenia. – Wolę nie poruszać tego tematu. Nie jestem pewny, jak by zareagowali, gdyby dowiedzieli się, że jestem Turkiem. Po co wywoływać wilka z lasu.

Informatyk nie jest jedyny. Wiele osób, w tym dziennikarz gazety muzułmańskiej mniejszości i polityk Mustafa Sargo, obawia się ujawnić swoją turecką tożsamość. – Modlę się w duchu, żeby greccy znajomi z ekipy kolarskiej nie zapytali mnie wprost, kim się czuję: Turkiem czy Grekiem – mówi. Dwudziestosiedmioletni Sargo to jedyny Turek w tej grupie. I jest z tego dumy, bo przyznałby się, że należy do mniejszości. – Najwyżej będę jeździł na rowerze sam. Ale skoro nawet ja, dziennikarz i polityk, mam takie obawy, co mają powiedzieć ludzie z mniejszym kapitałem społecznym?

Pytanie o przynależność etniczną pada regularnie podczas odbywania obowiązkowej służby wojskowej. Kolega Sarga z redakcji mniejszościowej gazety „Gündem", Ozan Ahmetoğlu, opowiada o tym, co przytrafiło się znajomemu, który służy obecnie w Komotini: – Porucznik zapytał go, kim się bardziej czuje. Odparł, że Turkiem. Następnego dnia porucznik tłumaczył mu podczas apelu, dlaczego żadnym Turkiem nie jest. Upokorzył go przed wszystkimi żołnierzami. Chłopak nabawił się przez to problemów psychicznych, bo to igranie z czyjąś tożsamością.

Otomańskie myślenie

Jeszcze do lat 70. XX w. greckie władze używały pojęć „mniejszość muzułmańska" i „mniejszość turecka" naprzemiennie. Nastawienie polityków zaczęło się zmieniać po pogromie greckiej mniejszości w Stambule i innych tureckich miastach w 1955 r. Przyczyną wybuchu przemocy była fałszywa wiadomość o zdetonowaniu bomby w tureckim konsulacie w Salonikach – domu, w którym w 1881 r. urodził się Mustafa Kemal Atatürk, pierwszy prezydent i twórca koncepcji świeckiej Turcji. W rzeczywistości ładunek wybuchowy podłożył woźny, Turek. Jednak prasa przemilczała jego aresztowanie i fakt, że przyznał się do winy. Sugerowała za to, że to Grecy zdetonowali bombę. Skutki pogromów odczuli Turcy z Tracji – przez kolejne 35 lat nie mogli m.in. kupować ziemi ani posiadać prawa jazdy. Około 60 tys. osób straciło też greckie obywatelstwo.

– Od tego czasu w stosunkach grecko-tureckich panuje zasada wzajemności: to, co spotyka jedną mniejszość, spotka też drugą – wyjaśnia mi Konstantinos Tsitselikis, wykładowca w Katedrze Bałkanów, Slawistyki i Orientalistyki na Uniwersytecie Macedonii w Salonikach. – Mamy też do czynienia z ustawiczną grą kłamstw i oszczerstw. To błędne koło, utknęliśmy w martwym punkcie, bo obie strony przesadzają: Turcja zawzięcie krytykuje sytuację tureckiej mniejszości w Grecji, nie zwracając uwagi na pozytywne zmiany, a Grecja wszystkiemu zaprzecza i odbiera posunięcia tureckich polityków, którzy konsekwentnie używają pojęcia „turecka mniejszość", za największą prowokację – mówi Tsitselikis.

Mniejszości narodowe są od dawna zakładnikami polityki między Grecją a Turcją, a zapewnienie im ochrony – pretekstem do ingerencji, a nawet inwazji. Już po I wojnie światowej ośmielone upadkiem imperium osmańskiego Królestwo Grecji skierowało wojsko do Azji Mniejszej, pod płaszczykiem obrony greckiej mniejszości, która zamieszkiwała Anatolię od czasów antycznych. Przyłączenie tych ziem miało dać początek „Wielkiej Grecji", rozciągającej się po obu stronach Morza Egejskiego. Plan się nie powiódł – Grecy ponieśli klęskę a Anatolia, Tracja Wschodnia i półwysep Gallipoli wróciły do Turcji.

Aby zapobiec ponownym konfliktom na tle etnicznym, doszło do wymiany ludności. Z Turcji wysiedlono wówczas ponad milion wyznawców prawosławia – głównie Greków – a z Grecji ok. 300 tys. muzułmanów różnych narodowości. Wymiana nie obowiązywała Greków z Konstantynopola i Turków z Tracji Zachodniej. Zawarty w Lozannie traktat pokojowy gwarantował tym mniejszościom pełnię praw, w tym wolność wyznania i języka.

Ten traktat z 1923 r. w opowieściach o greckich Turkach wraca jak mantra. Przedstawiciele mniejszości cytują artykuły, które powinny zapewniać im autonomię, a które nie są przestrzegane. Natomiast greckie władze powtarzają, że traktat wspomina jedynie o mniejszości muzułmańskiej. Służy jako wymówka, aby oficjalnie nie uznawać tureckiej mniejszości – wbrew nawoływaniom organizacji praw człowieka. – Nie możemy tego zrobić. Byłoby to niezgodne z postanowieniami traktatu – stwierdza prawnik Gialaoglou.

Konstantinos Tsitselikis podkreśla, że postanowienia niemal stuletniego traktatu nie przystają do obecnej rzeczywistości: – Przyznawanie praw grupom na podstawie religii to ottomański styl myślenia – za czasów dawnego imperium nie było mniejszości narodowościowych, tylko religijne. ↦

URSZULA IDZIKOWSKA

Dziennikarze Mustafa Sargo i Ozan Ahmetoğlu w siedzibie Tureckiego Stowarzyszenia Młodzieży, Komotini, Grecja, 2 czerwca 2021 r.

Cypryjska trauma

↦ „Imperialistyczne zapędy Erdoğana, który ingeruje w sprawy wewnętrzne państw bałkańskich z muzułmańską mniejszością", nie są jedynym powodem do obaw dla Gialaoglou. Prawnik boi się też, że historia się powtórzy. – Nie chcemy zostać drugim Cyprem – powtarza dobitnie, gdy żegnamy się w progu kawiarni w mieście Ksanti, gdzie Gialaoglou mieszka od urodzenia.

Cypr, trzecia co do wielkości wyspa Morza Śródziemnego, jest kluczem do zrozumienia historii dyskryminacji tureckiej mniejszości w Tracji Zachodniej, uczula mnie Tsitselikis. – Wszystkie represje, które spadały na mniejszość w Grecji, to echo wydarzeń na Cyprze. To drażliwy temat, którego się nie porusza – mówi.

Od 1878 r. Cyprem, zamieszkanym przez Greków i Turków, zarządzała Wielka Brytania. Po II wojnie światowej cypryjscy Grecy liczyli na to, że Brytyjczycy zezwolą na *enosis* wyspy, czyli scalenie jej z resztą zamieszkanych przez Greków terenów w celu utworzenia „Wielkiej Grecji". Pomysł ten zaniepokoił cypryjskich Turków – w pamięci mieli przyłączenie Krety do Grecji w 1913 r., które zakończyło się przesiedleniem tureckiej ludności.

Sytuacja zaostrzyła się w latach 50. XX w., wraz z propagowaniem w Turcji nacjonalistycznych idei przez premiera Adnana Menderesa, który został później oskarżony o podżeganie do nienawiści przeciwko greckiej mniejszości i stracony. Menderes postrzegał Cypr jako część Anatolii i opowiadał się za przyłączeniem go do Turcji. W tym czasie Turcy stanowili 20 proc. ludności wyspy, co wykluczało aneksję. Powstał więc slogan „podział albo śmierć", który wybrzmiewał na protestach trwających przez całe lata 60.

Cypryjscy Grecy nie czekali na reakcję Wielkiej Brytanii – Narodowa Organizacja Cypryjskich Bojowników od 1955 r. atakowała kolonialną administrację, by wymusić *enosis*. Cypryjscy Turcy wsparli Brytyjczyków, przez co Grecy uznali ich za wrogów. Greccy narodowcy na wyspie nie dopięli swego – Cypr nie stał się częścią Grecji, ale niepodległym państwem. Brytyjczycy wycofali się w 1960 r. Wówczas 77 proc. mieszkańców wyspy stanowili Grecy. Na nowe konflikty nie trzeba było długo czekać – przemoc wróciła już w 1963 r., a w 1974 r. Turcja zajęła północną część wyspy, powołując się na prawo do interwencji po zamachu stanu przeprowadzonym na Cyprze przez juntę wojskową, która rządziła Grecją w latach 60. i 70.

> Turcy nie są wyjątkiem. Grecja nie uznaje mniejszości etnicznych – także Macedończycy i Albańczycy **w statystykach po prostu nie istnieją.**

Ta rana wciąż się nie zabliźniła. Obawa przed ponowną inwazją Turcji – tym razem na Trację Zachodnią, gdzie mieszka ok. 140 tys. muzułmanów – pozostaje żywa. – Stąd bierze się też niechęć do tureckiej mniejszości: ludzie boją się tureckiego ataku – stwierdza Tsitselikis, choć, zdaniem badacza, Turcja nie stanowi realnego zagrożenia: – To nonsens! Erdoğan nie dokona inwazji na państwo Unii Europejskiej. To normalne, że państwo staje w obronie diaspory. Grecja też broni praw Greków w Albanii. To nie powód, żeby popadać w paranoję.

Wojna z jednym słowem

W wyniku ciągnącego się konfliktu na Cyprze na turecką mniejszość spadały kolejne restrykcje. Junta odebrała im prawo do zarządzania prywatnymi fundacjami charytatywnymi służącymi wspieraniu edukacji, działalności mniejszościowej i pomocy społecznej. Chociaż traktat z Lozanny gwarantował im to prawo.

W 1972 r. z przestrzeni publicznej zaczęły znikać tabliczki z napisem „turecki" – czytam w raporcie organizacji pozarządowej Minority Rights Group. Najpierw przymiotnik usunięto z nazw szkół mniejszościowych. Później, w 1988 r. grecki sąd kasacyjny zakazał również działalności trzem stowarzyszeniom, które miały w swojej nazwie słowo „turecki", w tym Tureckiemu Związkowi z Ksanti, którym obecnie kieruje dziennikarz i aktywista Ozan Ahmetoğlu. Chociaż stowarzyszenie teoretycznie nie istnieje, bo nie jest zarejestrowane.

– Nasz związek to najstarsza organizacja wspierająca rozwój kulturalny mniejszości tureckiej. Walczymy o istnienie od 40 lat. Sądy odrzucają wnioski o ponowną rejestrację, a grecki rząd wciąż nie wdrożył postanowień Europejskiego Trybunału Praw Człowieka z 2007 i 2008 r. – mówi Ahmetoğlu.

Wtedy Trybunał orzekł, że rozwiązując stowarzyszenia Grecja naruszyła artykuł Europejskiej Konwencji Praw Człowieka dotyczący wolności zrzeszania się. Ahmetoğlu jest przekonany, że władze greckie w końcu zaakceptują postanowienia Trybunału.

Aktywista nie czeka jednak z założonymi rękoma. Codziennie pisze o sprawach mniejszości. Bo „media mają moc – kreują nasze wyobrażenie o świecie". Ale mogą też manipulować opinią publiczną. Ahmetoğlu przekonał się o tym nieraz, kiedy do greckich gazet trafiały zdjęcia członków redakcji „Gündema", w której pracuje z Mustafą Sargo.

– Nagłówki typu: tureccy szpiedzy, agenci Ankary to norma. Greckie mainstreamowe media konsekwentnie używają określenia „nielegalne" w odniesieniu do naszego stowarzyszenia. Nasza działalność jest kryminalizowana. W następstwie ludzie myślą, że jesteśmy terrorystami, którzy stanowią zagrożenie porządku publicznego. Takie też jest oficjalne stanowisko sądów i władz – zarzuca się nam, że propagujemy turecką tożsamość w Grecji. W kraju, w którym nie ma Turków! – opowiada Ahmetoğlu.

W batalii sądowej ze stowarzyszeniami nie chodzi o egzekwowanie prawa, tylko o politykę – co do tego Sargo, Ahmetoğlu i Tsitselikis są zgodni. – Grecki rząd popełnia błąd wytaczając grube działa w wojnie o jedno słowo: przymiotnik „turecki" – twierdzi Tsitselikis. – Nie przestrzega w ten sposób podstawowych praw człowieka, łamie własną konstytucję i nie stosuje się do zaleceń Europejskiej Komisji Praw Człowieka. Cała sytuacja jest absurdalna: Grecy nazywają mniejszość turecką Turkami, ale oni sami nie mogą się tak nazywać.

Turcy nie są wyjątkiem. Grecja nie uznaje żadnych mniejszości etnicznych – Macedończycy i Albańczycy, podobnie jak Turcy, w statystykach po prostu nie istnieją. A akademicy, tacy jak Tsitselikis, są tam nazywani wrogami ojczyzny. Bo ośmielają się twierdzić inaczej.

© ULA IDZIKOWSKA

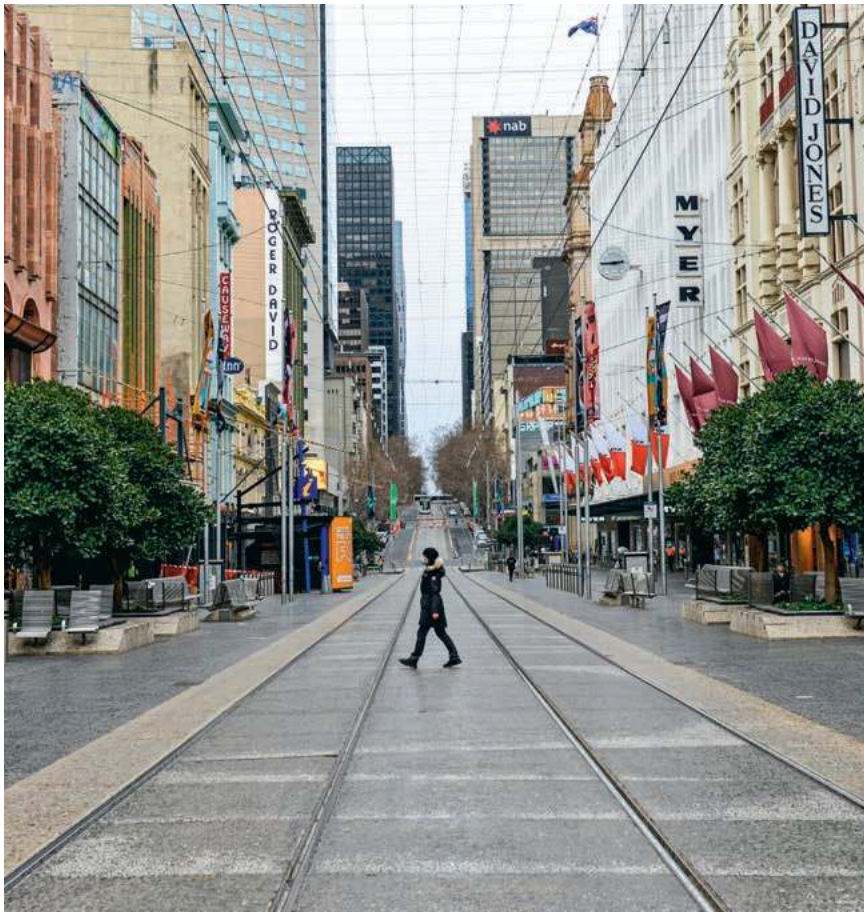

RECEP SAKAR / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Na pustej ulicy Melbourne, 11 sierpnia 2021 r.

Twierdza Australia

PATRYCJA BUKALSKA

Wysoce zakaźny wariant Delta podważa dotychczasowy sukces Australijczyków w walce z covidem oraz obraną przez nich strategię.

Jennifer Mills jest znaną australijską pisarką, właśnie ukazała się jej najnowsza powieść. Na premierze nie było jednak autorki – nie udało się jej wrócić z Włoch. Jej lot odwołano na tydzień przed podróżą, kiedy nadała już część swoich bagaży i wypowiedziała włoskie mieszkanie. „Trochę to dziwne, nie móc pójść do księgarni i zobaczyć swojej książki na półce", podkreślała Mills, zapowiadając czytelnikom, że na premierze będzie tylko online.

Jej książka, „The Airways", traktuje o przekraczaniu granic: ciała, płci, życia i śmierci. Mills, podobnie jak kilkadziesiąt tysięcy innych Australijczyków, nie może jednak przekroczyć granic i wrócić do ojczyzny. I jak wielu zadaje pytanie, jak to się stało, że po pierwszych sukcesach w walce z koronawirusem Australia zaprzepaszcza to, co osiągnęła. „Narysować wokół wyspy linię, trzymać wirus z dala – to kuszące wierzyć, że będzie to działać już zawsze" – pisała w felietonie w brytyjskim dzienniku „The Guardian".

Już wiadomo, że ta strategia nie działa.

Uderzenie Delty

Mimo restrykcji wjazdowych wyjątkowo zaraźliwy wariant Delta przedostał się na kontynent. Wymknął się systemowi śledzenia kontaktów i przyniósł radykalny wzrost zakażeń, a wraz z nim lockdown w trzech stanach. Najpoważniejsza sytuacja panuje w Nowej Południowej Walii i samym Sydney – tu statystyki przekraczają trzysta przypadków dziennie. W porównaniu z doświadczeniami europejskimi może wydawać się to niedużo, ale jeszcze kilka miesięcy temu były dni bez żadnego nowego przypadku – nazywano je „dniami pączka", od charakterystycznego kształtu tego ciastka, przypominającego liczbę zero. Teraz restrykcjami objętych jest 60 proc. Australijczyków.

– Australia to kilka stanów, z których każdy ma własny rząd i parlament. A także własne restrykcje – opowiada Joanna Lang, Polka przebywająca w Melbourne. – Najcięższy lockdown trwa w Sydney, ale u nas też nie wolno oddalać się od domu dalej niż pięć kilometrów. I to tylko na zakupy, do pracy – jeśli nie może być wykonywana zdalnie – lub na godzinę sportu. Nie można się też spotykać, a to dla Australijczyków uwielbiających posiadówki ze znajomymi na świeżym powietrzu duże wyrzeczenie. Codziennie publikowane są listy miejsc, gdzie istnieje największe ryzyko zakażenia. Osoby, które tam przebywały, proszone są o wykonanie darmowego testu i kontakt z władzami.

Zero covid

Cel Australii od początku był jasny – podobnie jak Nowa Zelandia przyjęła ona strategię „zero covid" mającą doprowadzić do całkowitej eliminacji wirusa. Środkiem było zamknięcie granic, również między stanami, ścisły lockdown oraz śledzenie kontaktów osób zakażonych. Podczas pierwszej fali szczególnie trudna sytuacja panowała w stanie Wiktoria, którego główne miasto, Melbourne, objęto jednym z najdłuższych – trwającym aż cztery miesiące – lockdownów.

– Kiedy przyjechałam tu w lutym, było już po wszystkim. Ludzie byli bardzo zmęczeni, mieli jednak poczucie, że zasłużyli na spokój. Ponieśli duże koszty, ich życie w lockdownie radykalnie się zmieniło – mówi Joanna Lang. – Zamknięcie granic między stanami rozdzieliło nawet rodziny, ale nikt nie mógł liczyć na ulgowe traktowanie. Covid wpłynął na zmianę podejścia do człowieka. A właściwie – do problemu. Nie jest się już osobą, tylko problematycznym przypadkiem. ↦

↦ „Zero covid" pozostaje celem australijskich władz, ale w wypowiedziach polityków zaczynają pobrzmiewać inne tony – wskazujące, że być może strategia ta nie jest już możliwa i z koronawirusem trzeba będzie żyć. Ponowne nałożenie ostrych restrykcji jest zdaniem ekspertów konieczne, jednak nie po to, by wyeliminować COVID-19, ale by zyskać na czasie. Ten jest teraz bardzo potrzebny, bo ze szczepieniami Australia została w tyle.

Spóźnione dawki

Szczepić Australijczycy zaczęli się w lutym – później niż Wielka Brytania, UE czy Stany Zjednoczone. Do pierwszej połowy sierpnia dwie dawki szczepionki przyjęło niespełna 19 proc. mieszkańców, co umiejscowiło Australię niemal na końcu listy państw OECD.

Powodów opóźnienia jest kilka. Jednym były kłopoty z samą szczepionką. Na początku Australia postawiła na szczepionkę własnej produkcji, jednak podczas testów okazało się, że może ona dawać fałszywie dodatni wynik testu na HIV, więc zarzucono prace nad nią. Stosowanie szczepionki firmy AstraZeneca naznaczone było sprzecznymi komunikatami i decyzjami władz, co sprawiało, że wielu Australijczyków zdecydowało się czekać na preparat Pfizera lub Moderny. Tu jednak pojawiły się problemy z dostępnością – szczepionek Pfizera do niedawna było mało, a dostawy Moderny zaczną się we wrześniu.

Stabilna sytuacja epidemiczna powodowała wcześniej, że kwestia szczepionek nie była odbierana przez Australijczyków jako bardzo nagląca. Tymczasem podczas poprzednich fal epidemii chorowało bardzo mało osób, nie ma wielu ozdrowieńców, więc odporność nabyta po szczepieniu jest jedyną ochroną, na jaką Australijczycy mogą liczyć.

Teraz Australijczycy widzą, że dzięki szczepieniom reszta świata powoli się otwiera, im tymczasem grożą kolejne lockdowny. Zaczynają więc tracić cierpliwość. Wiosną 2020 r. poparcie dla działań premiera Scotta Morrisona w walce z pandemią wynosiło 85 proc. – aktualnie spadło do 48 proc.

Rząd zapewnia jednak, że akcja szczepień nabiera tempa. Przedstawił też plan wychodzenia z pandemii. Pierwszych poluzowań, w tym dotyczących podróży, można się spodziewać przy osiągnięciu poziomu 70 proc. zaszczepionych dorosłych. Kolejnych – przy 80 proc., być może pod koniec roku. Na razie Australijczycy są ograniczeniami coraz bardziej zmęczeni – na tyle, że do pilnowania przestrzegania nowych przepisów w niektórych dzielnicach Sydney wykorzystano wojsko, plaże patrolują zaś konna policja i helikoptery.

– To wszystko jest bardzo trudne, ale moi australijscy znajomi starają się nie rozmawiać na ciężkie tematy, nie narzekać, tylko raczej podnieść się nawzajem na duchu – mówi Joanna Lang.

> Coraz częstsze są pytania o to, jak covidowa trauma **zmienia mentalność Australijczyków,** uchodzących zwykle za otwartych, przyjacielskich i pogodnych.

Niełatwa droga do domu

Od marca 2020 r. granice pozostają zamknięte – przylecieć mogą tylko Australijczycy lub osoby, które uzyskały zezwolenie (z powodów rodzinnych, medycznych lub bycia niezbędnym fachowcem w jakiejś dziedzinie). Po wjeździe obowiązuje 14-dniowa kwarantanna w specjalnym hotelu czy ośrodku. Australia tak ograniczyła liczbę przyjeżdżających, by nie przekraczała liczby miejsc w ośrodkach kwarantanny. Teraz limit został pomniejszony o połowę, do ok. 3 tys. tygodniowo. W rezultacie kilkadziesiąt tysięcy Australijczyków, jak pisarka Jennifer Mills, nie może wrócić do ojczyzny.

Dotąd nie można było także wyjechać z kraju – chyba że mieszkało się na stałe gdzie indziej. 11 sierpnia nawet to się zmieniło – pozwolenie na wyjazd muszą uzyskać wszyscy. W rezultacie ktoś przybywający do Australii, by np. odwiedzić chorą matkę, musi się liczyć z tym, że nie będzie mógł wrócić. A to sprzeczne z konstytucją – twierdzą prawnicy, i podkreślają, że nowe przepisy uderzają zwłaszcza w Australijczyków z wielokulturowych rodzin, którzy mają krewnych za granicą. Według danych z 2016 r. prawie 50 proc. obywateli urodziło się poza kontynentem lub jedno z ich rodziców pochodzi z innego kraju.

„To prawo każdego człowieka, by podróżować do i z kraju, którego obywatelstwo posiadają – pisała w »Guardianie« prof. Kim Rubenstein z University of Canberra. – Teraz przepisy są jeszcze bardziej drakońskie niż na początku. Bez względu na to, skąd przyjeżdżasz, gdy przyjedziesz tutaj, możesz znaleźć się w pułapce".

Narodowa zmiana

Przymusowy czas na obczyźnie ma wiele konsekwencji. Rozdzieleni, bez nadziei na spotkanie, zostają często najbliżsi. Są decyzje, by już nie wracać, tylko ułożyć sobie życie tam, gdzie się jest. Coraz częściej pojawiają się też pytania o to, jak covidowa trauma zmienia mentalność Australijczyków, uchodzących zwykle za otwartych, przyjacielskich i pogodnych.

Jennifer Mills wskazuje, że zamknięte granice „są spójne z dekadami narastającej ksenofobii, prowadzeniem ośrodków zatrzymań poza Australią i wiekami paranoi kolonii karnej" [w położonych m.in. na Nauru czy Papui-Nowej Gwinei ośrodkach przetrzymywano, często przez wiele lat, osoby ubiegające się o azyl; w XVIII i XIX w. sama Australia była miejscem zsyłki przestępców – red.]. Zdaniem pisarki zamknięta granica jest „filtrem", przez który można przedostać się dzięki wpływom czy pieniądzom. Ostatnio skandal wywołało wpuszczenie do kraju kontrowersyjnej brytyjskiej publicystki Katie Hopkins, która została zresztą wydalona jeszcze przed ukończeniem kwarantanny po tym, gdy zapowiedziała, że zamierza ją złamać.

„Kiedy patrzę na Australię z USA, widzę ograniczony naród, który odwrócił się plecami do swoich rodaków" – gorzko zauważył Jason Wilson, australijski dziennikarz śledczy mieszkający w Stanach. Podkreśla, że jest w pełni zaszczepiony, ale to nie zmienia jego położenia i zanim Australia się otworzy, może się okazać, że nie widział swojej rodziny już trzy lata. „Kraj, w którym mieszkam jako gość, traktuje mnie dużo lepiej niż ten, który wydał mój paszport" – konstatuje.

Premier Morrison zapewnia, że Australia ma szansę na normalne święta Bożego Narodzenia – o ile wszyscy się zaszczepią. Jednak twierdzą, nawet dla własnych obywateli, może pozostać dłużej.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

W **Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli** toczy się postępowanie w sprawie I Ns 294/21 z wniosku Beaty Rozenek-Jędrzejak o stwierdzenie nabycia prawa własności przez zasiedzenie nieruchomości stanowiącej działkę nr ewid. 290/1, położoną w Stalowej Woli w obrębie ewidencyjnym 2-Rozwadów, powiat stalowowolski, województwo podkarpackie, zabudowaną budynkiem mieszkalnym o pow. zabudowy 27 m^2, położonym przy ul. Jagiellońskiej 4 w Stalowej Woli, dla której Sąd Rejonowy w Stalowej Woli V Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą nr TB 1 S/00000600/6.

W/w nieruchomość znajduje się aktualnie w posiadaniu Beaty Rozenek- Jędrzejak.

Sąd wzywa wszystkich właścicieli ww. nieruchomości, a w szczególności Romana Szwakop, s. Ignacego i Elżbiety, Michalinę Szwakopową, c. Franciszka i Julii, bądź ich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od daty zamieszczenia ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Stalowej Woli i wykazali swoje prawa do tejże nieruchomości. O ile w tym terminie nikt się nie zgłosi, albo praw swoich nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono wykazane.

W **Sądzie Rejonowym w Chełmie** I Wydział Cywilny toczy się postępowanie (sygn. Akt I Ns 91/21) z wniosku Andrzeja Koguta o stwierdzenie nabycia spadku po Władysławie Borkowskim ostatnio zamieszkałym w Husynnem 7/6, zmarłym 27 października 2012 r. w Chełmie.

Wzywa się spadkobierców Władysława Borkowskiego, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 143/20 z wniosku Asekuracji Sp. z o.o. z siedzibą w Sopocie z udziałem Romana Czarneckiego i Joanny Konieczny o stwierdzenie nabycia spadku po Halinie Krystynie Czarneckiej, c. Kazimierza i Zofii, zamężnej, zmarłej 21 stycznia 2015 r. w Lubaczowie, ostatnio zamieszkałej w Lubaczowie, ul. Sobieskiego 17/2, wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed **Sądem Rejonowym w Oławie** w Wydziale I Cywilnym pod sygnaturą akt: I Ns 165/20 prowadzone jest postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Pawle Powszek, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Jedlinie-Zdrój, zmarłym 2 grudnia 2017 r. w Jedlinie-Zdrój. Skład spadku nie został ustalony.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Oławie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W **Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim**, w sprawie I Ns 230/21 toczy się postępowanie z wniosku Marleny Wasilczuk z udziałem Katarzyny Pałki o stwierdzenie nabycia spadku po Sergiuszu Gorodniku, s. Stefana i Wiery, ur. 14 października 1924 roku w Bielsku Podlaskim, ostatnio stale zamieszkałym w Poniatowej i zmarłym 1 stycznia 1998 r. w Poniatowej.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy Sergiusza Gorodnika w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed **Sądem Rejonowym w Jarocinie** Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 17/20 postępowanie z wniosku Alior Bank S.A. o stwierdzenie nabycia spadku po Czesławie Sobkowiaku, zmarłym 20.10.2014 r., ostatnio zamieszkałym w Mieszkowie, gmina Jarocin. Skład spadku po zmarłym nie jest znany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W· **Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli** Wydział I Cywilny pod sygn. akt I Ns 365/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Albinie Zbigniewie Pancegrau, s. Wilhelma i Stanisławy zd. Majewskiej, zm. 11 sierpnia 2019 r. w Stalowej Woli, ostatnio stale zamieszkałego ul. Staszica 18A/11 37-450 Stalowa Wola.

Wzywa się spadkobierców po Albinie Zbigniewie Pancegrau, w tym zwłaszcza żonę Zofię Pancegrau zd. Pawłowską, c. Tadeusza i Danuty, oraz zstępnych Lucynę Danutę Pancegrau, c. Albina i Zofii, oraz Wojciecha Maksymiliana Pancegrau, s. Albina i Zofii, aby w terminie trzymiesięcznym zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W **Sądzie Rejonowym w Pińczowie** I Wydział Cywilny toczy się w sprawie I Ns 97/21 postępowanie z wniosku Małgorzaty Kurczyna o zasiedzenie nieruchomości zabudowanej położonej w Pińczowie przy ul. Żwirki i Wigury 24, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka o numerze 132 o pow. 0,0457 ha przez Natalię Agnieszkę Oleksy, c. Piotra i Balbiny, i Alinę Czesławę Jaros, c. Piotra i Balbiny, która to nieruchomość nie ma urządzonej księgi wieczystej ani zbioru dokumentów.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych oraz spadkobierców poprzednich właścicieli, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu i wykazali swoje prawa względem w/w nieruchomości. Jeżeli w powyższym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się praw swoich nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeśli zostanie ono udowodnione.

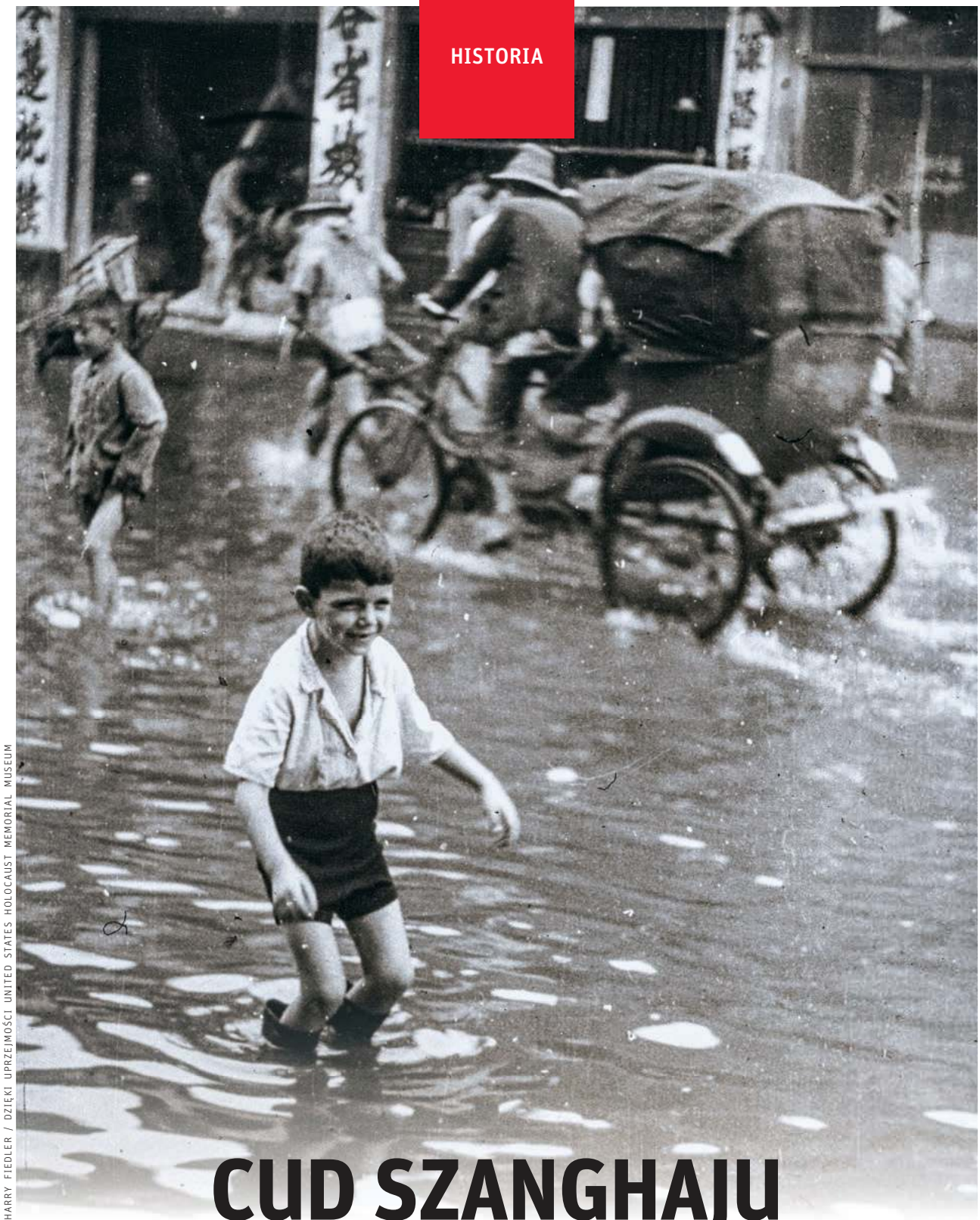

HARRY FIEDLER / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI UNITED STATES HOLOCAUST MEMORIAL MUSEUM

CUD SZANGHAJU

Wśród szczęśliwców, którym ta chińska metropolia zapewniła przetrwanie, byli europejscy Żydzi. To opowieść o nich.

ALEKSANDER R. MICHALAK

Alfred Cohn, który przyjechał tu jako dziecko, wspominał po latach, że jego rodzice najbardziej chcieli uciec do Belgii lub Szwajcarii. Cohnowie, austriaccy Żydzi, próbowali wszystkiego: chodzili do konsulatów, prosili. Na końcu okazało się, że nie ma miejsca na świecie, w którym byliby bezpieczni i które by ich przyjęło – poza Szanghajem.

Historia ta zaczyna się w drugiej połowie lat 30. XX w., gdy coraz więcej Żydów z Niemiec, a potem także z Austrii i Czechosłowacji, zajętych przez III Rzeszę, zdaje sobie sprawę, że nie ma tu już dla nich miejsca. Narodowi socjaliści gotowi są zadowolić się ich przymusową emigracją. Na razie.

Wybór Żydzi mają niełatwy. Pomijając nieliczną grupę syjonistów, którzy chcą dostać się do Palestyny, pozostali usiłują po prostu znaleźć bezpieczne miejsce. Ale większość krajów, które są dla nich pierwszą opcją, jak USA czy Kanada, nie chce ich przyjąć. Eric Reisman z Wiednia pamięta szok, jakiego doznał, gdy będąc z ojcem w konsulacie Chin usłyszał od azjatyckiego dyplomaty, że zostaną wpuszczeni do Szanghaju (konsul ten, Ho Feng-Shan, umożliwił wyjazd tysiącom austriackich Żydów). Wprawdzie po wybuchu wojny chińsko-japońskiej w 1937 r. wojska japońskie oblegały i później okupowały Szanghaj, ale także Japończycy nie blokowali żydowskiej emigracji.

Decyzja nie była łatwa. Wiedza Żyda z Niemiec czy Austrii o Chinach była znikoma. Inge Rosenthal wspominała, że gdy jej ojciec powiedział znajomemu, iż wyjeżdża do Szanghaju, ten uznał go za szalonego. Znajomy zginął potem w Auschwitz.

Miejsce za łapówkę

Podjąwszy już decyzję, uchodźcy musieli zdobyć bilety, aby pokonać trasę do miejsca oddalonego o 7 tys. km. Do września 1939 r. mogli płynąć liniami niemieckimi i japońskimi z Hamburga lub włoskimi i holenderskimi z Genui lub Triestu. Holenderskie linie jako jedyne pozwalały, by uchodźcy nie zostawiali wszystkich swoich pieniędzy na pokładzie.

Sześcioletni Harry Fiedler, urodzony w Szanghaju w lipcu 1940 r. Jego rodzice Oskar i Berta półtora roku wcześniej uciekli z Wiednia. Dzielnica Hongkou, ok. 1946 r.

Emigrowano indywidualnie, rodzinami lub w grupach. Ograbieni z majątku przez III Rzeszę, pasażerowie często byli traktowani przez załogi ekskluzywnych statków z atencją. Tak było w przypadku grupy 187 Żydów, która wyruszyła z Triestu na luksusowym liniowcu. Rejs trwał niemal miesiąc, a w Bombaju zastała ich wieść o nocy kryształowej – pogromach w III Rzeszy. Uświadomiła im, że postąpili słusznie.

Niektórzy, już bez oszczędności, odkrywali, że mogą łatwo spieniężyć zegarki i aparaty fotograficzne. Dzięki temu rodzina Witting mogła wynająć w Singapurze szofera, by zwiedzić miasto i zoo. Ale nie zawsze podróż przebiegała gładko. Niekiedy załoga odnosiła się do żydowskich pasażerów z pogardą, a warunki były fatalne. Jednak nawet wtedy mogli uważać się za szczęściarzy: miejsca na statkach rezerwowano kilka miesięcy wcześniej, a bilety sprzedawano po paskarskich cenach. Czasem trzeba było dać za nie także łapówkę. Jedna z żydowskich pasażerek zdobyła miejsce, wręczając obrazy impresjonistów.

Koleją przez Sowiety

Wybuch wojny zamknął morską drogę dla żydowskich emigrantów, niektórzy podejmowali więc liczącą dziesięć tysięcy kilometrów podróż przez Związek Sowiecki – do Władywostoku lub chińskiego miasta Dalian nad Morzem Żółtym, a dalej statkiem do Szanghaju. Inni decydowali się na statek z Marsylii do Sajgonu, a stąd do Chin.

Świat, z którym stykali się w czasie podróży, był skrajnie odmienny od znanego – o ile dorosłych zwykle przerażał, o tyle dzieciom jawił się jak przygoda. Ralph Hirsch wspominał, że gdy przybył z rodziną koleją do miasta Manzhouli w Mandżukuo (państwie, które Japończycy utworzyli w okupowanej części Chin), poczuł się jak w świecie powieści Karola Maya. Ulicami wędrowały wielbłądy, a Azjaci w futrzanych czapach dosiadali długogrzywych kuców. Jego matka nie podzielała entuzjazmu, przerażał ją nocleg w hotelu pełnym pluskiew.

Drogę przez Związek Sowiecki pokonywali też żydowscy uchodźcy z Polski. Gdy Wehrmacht zajął połowę Polski (druga przypadła Stalinowi), niektórzy zdołali uciec na Litwę, a gdy Sowieci zagarnęli Litwę, zwrócili się o pomoc do konsula Holandii Jana Zwartendijka, od którego otrzymali fikcyjną wizę do karaibskiego Curaçao. Dokument wystawiano tylko po to, by mieli pretekst do przejazdu przez państwo sowieckie i wjazdu do Japonii. Z wizą do Curaçao uchodźcy szli więc do japońskiego konsula w Kownie, Chiunego Sugihary, z prośbą o wizę tranzytową przez Japonię, którą otrzymywali. Umożliwiała ona podróż koleją transsyberyjską do Władywostoku. Stąd jednak nie pływały statki pasażerskie do Japonii i istniało ryzyko utknięcia w mieście lub bycia odesłanym.

Polski ambasador

Niektórym uchodźcom z Polski udało się dostać statkiem do japońskiej Tsuragi i dalej pociągiem do Kobe. Tu pomoc dla nich organizował polski ambasador w Tokio, Tadeusz Romer. Powołał specjalny komitet, który miał zapewniać opiekę uchodźcom. Romerowi udało się też uzyskać dla części z nich wizy do Kanady, USA, Ameryki Południowej i Środkowej oraz certyfikaty do Palestyny. W Kobe uchodźcy traktowani byli dobrze. Żydom ortodoksyjnym udało się nawet otworzyć tu jesziwę, szkołę talmudyczną, którą później przenieśli do Szanghaju, gdzie kontynuowała działalność w sefardyjskiej synagodze Domu Aarona. Jesziwa Mir – tak nazwana, bo pierwotnie działała w miasteczku Mir koło Nowogródka – była jedyną jesziwą z Europy Wschodniej, która nienaruszona przetrwała wojnę.

Romer przeniósł się potem do Szanghaju, gdzie dalej pomagał uchodźcom. Wspominał, że do Tokio przez Władywostok trafiło 2,3 tys. osób z Polski, w większości Żydzi.

Przybysze z Niemiec, Austrii czy Polski traktowali początkowo Szanghaj jako przystanek. Nie byli świadomi, że są w grupie szczęśliwców, która uciekła w ostatniej chwili.

Szanghaj, miasto szczególne

Było to wtedy miejsce niezwykłe: jedyna w swoim rodzaju mieszanka przywiązania do tradycji z gorączkowym podążaniem za nowoczesnością. A także miasto bajecznych fortun i niewyobrażalnej nędzy.

Na mocy traktatów narzuconych Chinom przez obce mocarstwa istniała tu tzw. Strefa Międzynarodowa: mająca pewne uprawnienia samorządowe, pozostawała pod formalną zwierzchnością Chin. ↦

↦ Tuż obok wyrosła tzw. koncesja francuska (Guangzhouwan). Oba dystrykty, zamieszkane głównie przez Europejczyków, stanowiły najbardziej zamożne i nowoczesne dzielnice, które aż do 1941 r. oszczędzała japońska okupacja.

Począwszy od 1927 r., gdy Szanghaj uzyskał własny zarząd miejski, miasto przeżywało szybki rozwój; swoje filie chętnie zakładały tu światowe banki. Od 1865 r. było tu oświetlenie gazowe, od 1881 r. telefony, a od 1908 r. tramwaje. Od lat 70. XIX w. wychodziła tu pierwsza chińska gazeta „Shenbao" („Nowości z Szanghaju").

W latach 30. metropolia liczyła 3,5 mln mieszkańców. Była to obejmująca ponad 50 narodowości mozaika ludzi i języków, wieża Babel lat 30. Ruchem ulicznym kierowali sikhowie, departamentami policji Brytyjczycy, Amerykanie przyjeżdżali sprzedawać tu benzynę, Francuzi dostarczać kosmetyki, a japońskie prostytutki szukać klientów. Ukształtowała się grupa zasiedziałych cudzoziemców zwanych Shanghailander. Mieszkało tu także wielu Japończyków (najwięcej w tzw. Małym Tokio). Po objęciu władzy w Rosji przez bolszewików przybyli tu również liczni rosyjscy uchodźcy.

Miasto miało niepowtarzalny koloryt. Tłoczono się w pijalniach herbaty, oglądano uliczne teatry. Wędrując ulicami nocą, można było wyczuć aromat opium (bogaci palili w domach, biedni w obskurnych palarniach). Królowały riksze, ale po mieście jeździły też limuzyny i autobusy.

Wszystko w nadmiarze

Wbrew trwającej od 1937 r. wojnie liczba rozrywek oferowanych przez Szanghaj była imponująca – obejmowała niezliczone kabarety, teatry, variétés i kluby nocne. Rozwijał się przemysł filmowy: kręcono chińskie filmy, wyświetlano najnowsze hollywoodzkie produkcje. Nie brakowało przedstawień ulicznych: monodramów, teatrów lalek, pokazów małp, połykaczy ognia i mnóstwa innych rozrywek.

Mikrokosmos Szanghaju wydawał się posiadać wszystko w nadmiarze i dotyczyło to również przestępczości. W portowym mieście o władzę walczyły gangi i triady, a grupy komunistów trwały w nieustannej wojnie z nacjonalistami (jedni i drudzy walczyli też, rzecz jasna, z Japończykami). W mieście pełno było nie tylko palarni opium, lecz także domów publicznych (tych ostatnich już w XIX w. było półtora tysiąca) i jaskiń hazardu. Szanghaj był też azjatyckim centrum handlu bronią.

> Niemal dla każdego z uchodźców pobyt w Szanghaju wiązał się z pogorszeniem statusu materialnego. Nikt z nich nie znał chińskiego, mało kto angielski. Przerażały ich warunki higieniczne, **dotykały ich cholera, tyfus i malaria.**

Ulice roiły się od zawodowych żebraków, których wystarczyłoby, aby założyć osobne miasto. Prostytutki o artystycznych przydomkach, określane mianem bażantów, rekrutowały się głównie spośród chińskich wieśniaczek, które przybyły zwabione obietnicą pracy. Największym ich skupiskiem była Huile Li, Aleja Łączonej Przyjemności.

Nawet pomijając prostytucję, miasto cieszyło się złą sławą, jeśli chodzi o obyczaje. Jeden z nastoletnich uchodźców wspominał po latach, iż matka powiedziała, że o ile nie zabrania mu spotykać się z dziewczętami, to jednak powinien pamiętać, aby nazajutrz po każdej randce wziąć zastrzyk przeciw chorobom wenerycznym.

Bagdadczycy chcą pomóc

Gdy żydowscy uciekinierzy zaczęli napływać do Chin, zastali tu innych Żydów.

Pierwsi żydowscy emigranci pojawili się w Szanghaju jeszcze w XIX w. i byli to Żydzi z Imperium Osmańskiego, których określano mianem Baghdadi (bagdadczycy). Przybyli w interesach, praktykowali sefardyjski judaizm. To oni zbudowali okazałą synagogę Ohel Rachel.

Najczęściej powodziło im się dobrze, czasem znakomicie. Rodziny Kadoorie, Sassoon czy Hardoon należały do finansowej elity. Jak Victor Sassoon, wywodzący się z bagdadzkiej rodziny, która w XIX w. dorobiła się fortuny na handlu opium. Sassoon, absolwent Cambridge, wielbiciel koni, aut i najzamożniejszy człowiek w mieście, zainwestował w Szanghaju. Zasłynął jako playboy, a także budowniczy bodaj najbardziej luksusowego hotelu w Azji: jego Cathay Hotel był znany z ekscentrycznych imprez i gościł sławy, w tym Charliego Chaplina.

Jako absolwent angielskich szkół i były żołnierz brytyjski (ranny w służbie imperium), Victor Sassoon czuł się bardziej Brytyjczykiem. Jednak gdy Elly Kadoorie poprosił go o pomoc dla uchodźców, w pełni się w nią zaangażował: poza przekazaniem pieniędzy, udostępnił swoje fabryki jako noclegownie, a dużo uchodźców zatrudnił w swoich firmach. Pomoc Sassoona, Kadooriego i innych Baghdadich umożliwiła wielu uchodźcom przetrwanie w Szanghaju.

Poza „bagdadczykami" w mieście była też spora kolonia żydowskich emigrantów z Rosji, którzy uciekli przed pogromami i prześladowaniami przez komunistów. Niektórzy z nich także okazali się ofiarni dla rodaków z Niemiec, Austrii i Polski.

Europejczyk patrzy na Chiny

Pierwszym, co uderzało, był zapach. Składały się na niego potrawy smażone na oleju, kadzidła, a także to, co wydziela przelewający się ulicą tłum. Na wielu Europejczykach miasto robiło odpychające wrażenie. Ale niektórzy je widzieli tak, jak urodzona w 1917 r. w Wiedniu Annemarie Pordes, mieszkanka koncesji francuskiej, która w pamiętnikach pisała: „Nie dało się nie pokochać tego miasta od pierwszego wejrzenia... Widziałeś główną drogę ze zbudowanymi w stylu zachodnim domami, a tuż za nią małe chińskie chaty, zbudowane z chropowatego kamienia, gliny lub po prostu bambusa... Zapewniały one schronienie pod jednym dachem dla ludzi, ich świń i kurcząt".

Zwykle po przybyciu uchodźcy otrzymywali pewną pomoc od Komitetu Żydowskiego. Niemal dla każdego z nich pobyt tu wiązał się z pogorszeniem statusu materialnego, czasem z życiem w nędzy. Nikt z nich nie znał chińskiego, mało kto angielski. Mogli się zastanawiać, czy podjęli właściwą decyzję. Latem atakował ich wilgotny i upalny klimat, a zimą obfite deszcze. Przerażały ich warunki higieniczne, w jakich żyła większość Chińczyków. Dotykały ich choroby: dyzenteria, cholera, tyfus, malaria, szkarlatyna; niekiedy na nie umierali.

YIVO / UNITED STATES HOLOCAUST MEMORIAL MUSEUM

Sklepy żydowskie w Szanghaju, ok. 1940 r.

Najbogatsi lub najbardziej zaradni byli w stanie szybko przenieść się do Strefy Międzynarodowej, najbiedniejsi trafiali do zaadaptowanych baraków. Większość mieszkała w charakterystycznych dla miasta szeregowych domkach, dwu- i trzypiętrowych. Z reguły nie miały one kanalizacji, dlatego, jak notował pewien Europejczyk zwiedzający miasto, wszędzie przed wejściami do budynków stały przenośne pojemniki na ekskrementy (opróżniali je ubodzy kulisi, aby później sprzedać nieczystości jako nawóz).

Zarabiano na różne sposoby: jedni sprzedawali chleb i konserwy z przydziału na Rynku Żywności Tilanqiao, innym udało się założyć małe biznesy. Ci, których nie stać było na żywność, korzystali z kuchni dobroczynnych (finansowali je m.in. amerykańscy Żydzi). Życie było tu tanie, jeśli tylko miało się dolary amerykańskie, a te niektórzy uchodźcy dostawali od krewnych z zagranicy. Jeden dolar wystarczał na tygodniowe wyżywienie rodziny, a za sto dolarów miesięcznie można było żyć w dostatku.

W mieście widać było trwającą wojnę. W niektórych miejscach na szubienicach wisieli Chińczycy, ofiary Japończyków. Gdzieniegdzie leżały zawiniątka z ciałami dzieci, których ubogich rodziców nie stać było na pogrzeb.

Teksty z pamięci

Mimo wszystkich uciążliwości rozwijało się życie kulturalne. Uciekinierzy żydowscy funkcjonowali we wspólnotach wyodzących się z krajów, z których przybyli. Ci z Niemiec i Austrii organizowali więc życie kulturalne w języku niemieckim, a w otwieranych przez wiedeńskich Żydów kawiarniach można było posmakować tortu Sachera.

Żydowska prasa przeżywała rozwój: ukazywała się po niemiecku, angielsku, rosyjsku, hebrajsku i w jidysz. Po polsku wychodziło „Echo Szanghajskie". Grupa Żydów z Polski, która dotarła tu z Kobe w 1941 r., a w której byli znani aktorzy, jak Shoshana Kahan, ożywiła teatr jidysz. Ponieważ brakowało tekstów sztuk, starano się je odtwarzać z pamięci (tak Kahan uczyniła z tekstem „Dzieje Tewji Mleczarza"), a uchodźcy-pisarze tworzyli nowe. Niektóre, jak „Obca ziemia" („Fremde Erde"), opowiadały o problemach uchodźców i ich relacjach z lokalną ludnością.

Dużym sukcesem, który zawdzięczano „bagdadczykom", było utworzenie Szkoły Szanghajskiego Żydowskiego Stowarzyszenia Młodych. Istniały tu też organizacje syjonistyczne, w tym wyjątkowo silny prawicowy Betar. W 1938 r. oddział 600 betarczyków, pod dowództwem betarowych oficerów, jako milicja pełnił straż przy międzynarodowych obiektach – była to wówczas jedyna na świecie legalnie istniejąca żydowska „siła zbrojna".

Poza sporadycznymi przypadkami kontakty uchodźców z chińską ludnością były ograniczone (Żydzi z reguły nie opanowywali chińskiego, za to Chińczycy posługiwali się często mieszkanką językową umożliwiającą podstawową komunikację). Większość Żydów, walcząc o przetrwanie, nie była skłonna pochylać się nad problemami Chińczyków, zwykle cierpiących niewyobrażalną nędzę. Chlubny wyjątek stanowili tworzący w jidysz poeci, jak Josef (Josl) Mlotek i Jacob H. Fishman, którzy poświęcili wiersze losowi kulisów.

Ponieważ jesteśmy orientalni

Żydowskie życie w Szanghaju miało jedną zasadniczą przewagę nad okupowaną przez III Rzeszę Europą – tutaj było po prostu życie. Nie było tu też antysemityzmu. Religijni Żydzi obchodzili święta. Aż do 1943 r. mogli czuć się zupełnie wolni.

W tym właśnie roku Japończycy utworzyli wydzieloną strefę dla Żydów. Panowały tu ciężkie warunki, ale wciąż nieporównywalne np. z gettami w okupowanej Polsce. Miejsce to nie było zresztą typowym gettem, poza Żydami zamieszkiwała je olbrzymia liczba Chińczyków. Władze japońskie nie zmuszały do mieszkania w nim Żydów sefardyjskich i rosyjskich, teren ten zaś gettem nazwali sami uchodźcy, a nie Japończycy. Nieobecny był w nim też rasistowski wydźwięk, jaki towarzyszył europejskim żydowskim dzielnicom. Japończycy nie represjonowali Żydów (w przeciwieństwie do ludności chińskiej), zdarzało im się przychodzić na uroczystości i imprezy sportowe w strefie żydowskiej.

Natomiast III Rzesza o nich nie zapomniała: jej funkcjonariusze rzekomo nawet usiłowali przekonać japońskich sprzymierzeńców, aby ich wymordować, wywożąc łodziami na morze i zatapiając. Szczęśliwie Japończycy nie wykazali entuzjazmu wobec tej idei. Jedna z anegdot dotycząca relacji żydowsko-japońskich wspomina, że rabin Shimon S. Kalish, zapytany przez japońskiego gubernatora, dlaczego Niemcy tak nienawidzą Żydów, miał odpowiedzieć błyskotliwie: „*Weil mir senen orientalim*" („Ponieważ jesteśmy orientalni"), co miało wywołać uśmiech na kamiennej dotąd twarzy przedstawiciela Dalekiego Wschodu.

Ostatecznie do 1941 r. znalazło tu schronienie ok. 20 tys. żydowskich uchodźców z Europy Środkowej, w tym około tysiąca z Polski. Po wojnie niemal wszyscy opuścili Chiny. Fakt, że przeżyli w tak niezwykły sposób, amerykański historyk David Kranzler nazwał „cudem Szanghaju".

© ALEKSANDER R. MICHALAK

Autor jest pracownikiem naukowym Muzeum Stutthof w Sztutowie, zajmuje się judaizmem i historią Żydów. Autor książki „Angels as Warriors in Late Second Temple Jewish Literature". Pracuje nad książką o emigracji żydowskiej przed II wojną światową. Jest też autorem trillerów metafizycznych, m.in. Denar dla Szczurołapa".

HANNA

Krall: *Daleko*

Przeczytałam, że najpierw pojechał jeden reporter, potem pojechał drugi reporter, po nich dotarłam ja, w latach siedemdziesiątych.

No nie, bardzo przepraszam.

Pierwsza byłam, przed wszystkimi.

Reportaż ukazał się w lipcu, musiałam w czerwcu dotrzeć.

Tak, czerwiec to był. Słonecznie, ciepło, autobus mógł odjechać.

Poprzedniego dnia pytałam na dworcu o polską wieś i któryś z kierowców powiedział, że jest tam dobrze. Nie w ogóle dobrze, tylko słowo „dobrze" tam jest.

Znacie takie słowo? – spytał.

Znam.

To co?

To jadę.

Jeśli pogoda będzie, zastrzegł kierowca.

Świeciło słońce, pojechaliśmy.

Na wyjazd z Moskwy dostałam pozwolenie, Irkuck był już miastem otwartym. Na podróż do „dobrze" zgody nie miałam, ale kierowcy nie przyszło do głowy, by zawiadomić milicję. Pewnie nie wiedział, że jadę nielegalnie.

Sto czterdzieści kilometrów pokonaliśmy w siedem godzin.

Ponieważ zachmurzyło się i zaczęło padać.

Ponieważ padało coraz bardziej i droga w tajdze zrobiła się nieprzejezdna.

Ponieważ kierowca próbował jechać i w autobusie pękł wał.

Ponieważ szukaliśmy wsi ze spawaczem, a potem czekaliśmy, aż spawacz zespawa wał.

Ponieważ deszcz nie przestawał padać...

Zmrok zapadł bez uprzedzenia. Zrobiło się ciemno, chłodno i trochę nieprzyjemnie. Zaczęłam się zastanawiać, co przyszło mi do głowy z tą polską wsią, o której nie wiadomo, czy w ogóle istnieje, i dokładnie wtedy autobus się zatrzymał. Może był to przystanek, a może ktoś po prostu czekał na drodze. Wsiadł mężczyzna niemłody, przygarbiony lekko i zwrócił się do czekających w ciemnościach: – No dziołchy, siadojta, a nie srojta tam.

„Dziołchy" wsiadły, dobry wieczór powiedziałam. Czy państwo jedziecie do Wierszyny?

Wyruszyli w 1910 roku z Dąbrowy Górniczej, tiepłuszką, ogrzewanym pociągiem towarowym. Zabrali pościel, kuchenne sprzęty, piły, pługi, narzędzia kowalskie, warsztaty tkackie, konie, krowy i gołębie.

Po szesnastu dniach dotarli do wschodniej Syberii. Dostali zapomogę, kupili tielegi, wozy dwukołowe i przeprawili się promem przez Angarę.

Wybrali dolinę rzeki Idy, wzgórza wokół i tajgę.

Zrobili ziemianki, wyłożyli je drewnem. Wykarczowali ziemię, posadzili pierwsze ziemniaki i żyto.

Zawdzięczają Wierszynę Piotrowi Stołypinowi, premierowi Rosji. Temu, który kazał wieszać rewolucjonistów 1905 roku – stryczek nazywano krawatem Stołypina. I który reformami otworzył drogę dobrowolnym syberyjskim osadnikom. (Zginął w zamachu, zastrzelił go Dmitrij Bogrow – Żyd, szachista wybitny, członek rewolucyjnych organizacji i agent carskiej ochrany. Strzelił w operze, w antrakcie „Bajki o carze Sałtanie". Nie uciekał. Powieszono go w Kijowie na Łysej Górze).

Mieli swoje sposoby. Jak wąż ukąsił, przystawiali żabę i obwiązywali chustką. Żaba ciągnęła jad, czasem aż puchła od jadu i pękała. Jak wilki szły, wskakiwali na konia i na drzewo. Wilki biegły za koniem, ludzie zeskakiwali z drzew. Łatwo im było wskakiwać i zeskakiwać, bo lekcy byli, tłumaczyła mi Anna Mirek. Mięsem niedźwiedzim się żywili, nie tą dzisiejszą wieprzowiną, od której człowiek ciężki jest i nieruchawy.

Anna Mirek urodziła się w Wierszynie, po rewolucji październikowej wróciła z rodzicami do Polski. Była kucharką u Potockich, a podczas wojny u gubernatora Franka. Potem była dróżnikiem kolejowym. Lubiła pracować w nocy, bo między pociągami patrzyła w gwiazdy. Wiedziała, gdzie powodzie będą, gdzie tornado albo trzęsienie ziemi. Wiedziała, jaka będzie pogoda (nikt w ca-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
TYGODNIK POWSZECHNY
Wolność, równość, siostrzeństwo!
Wydanie specjalne „Moc kobiet" dostępne jako e-book na powszech.net/emockobiet
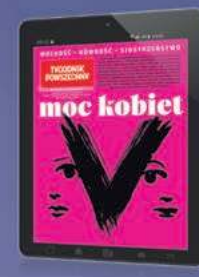

łej okolicy sianokosów nie zaczynał bez rady Anny Mirek) i umiała wodę znaleźć. Różdżką, ściętą podczas pełni i wzmocnioną kawałkiem warkocza. Miała te zdolności po ojcu – to on znalazł wodę w Wierszynie i pierwszą studnię zbudował.

Każdego roku Anna Mirek przysyłała mi prognozę pogody i syrop z szyszek syberyjskich. Prognoza się sprawdzała, a syrop pomagał na wszystko.

Lubię wspominać Wierszynę.

Krople od boleści i od słabości, którymi leczono mnie, wykończoną podróżą, pierwszego wieczoru.

Przyjęcie na moją cześć. („Dla powitania delegacji korespondentów polskich na czele z Hanną Krall udzielam głosu...").

Tańce po przyjęciu.

Nocną rozmowę z Natalią Janaszek i nasze szukanie autobusu po całej wsi. O świcie miał do Irkucka odjechać, ale nie było wiadomo, gdzie dzisiaj się zatrzyma.

Natalia była nauczycielką. Jej rodziców zamordowano w 1938 roku razem z trzydziestoma mieszkańcami wsi. Była dzieckiem „wrogów ludu" i buriaccy sąsiedzi ukradkiem przynosili jej chleb.

Dała mi trochę chleba na drogę do Irkucka. (Zawsze trzeba mieć przy sobie kawałek chleba...).

Dostawałam listy od niej.

Ostrożne listy.

Kołchoźnikom żyje się coraz lepiej, pisała mi. Co piąty ma telewizor, a radio jest już u każdego. Zima chłodna była, minus pięćdziesiąt osiem, ale jest coraz cieplej... Pytała, co przywieźć, jak *wyzow*, zaproszenie dostanie. Sąsiad zabił niedźwiedzia, skórę cenił na pięć rubli, ale czy skóra niedźwiedzia nadaje się na prezent?

Przeczytałam książkę o Wierszynie, dlatego piszę.

Wielu rzeczy się dowiedziałam.

Zazdroszczę autorowi. Rozmawiał z ludźmi, którzy nie boją się mówić. Do archiwów mógł zajrzeć i miał internet. Nic dziwnego, że wytknął rażące błędy w moim reportażu. Na przykład nauczyciel polskiego był we wsi trzy lata dłużej, niż napisałam. A ksiądz wcale na stałe nie był, tylko z Irkucka przyjeżdżał. A portek na siekiery nie musieli u Buriatów wymieniać, bo swoje, polskie mieli. (Z tymi siekierami nie całkiem wiadomo, jak było. Może buriackie lepiej się nadawały do pracy w tajdze?).

W książce jest o mnie parę razy i zawsze – że w latach siedemdziesiątych do Wierszyny przyjechałam.

1968 rok to był.

Czerwiec.

Daleko od Polski i całe trzy miesiące po marcu.

I to było w Wierszynie najpiękniejsze. ©

Władysław Masiarz „Wierszyna. Polska wieś na Syberii Wschodniej 1910-2010", Kraków 2016.
Reportaż pt. „Kawałek chleba" ukazał się w „Polityce" nr 29, 20 lipca 1968, na stronach 8-9.

weź, czytaj!

w prenumeracie:

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: „Tygodnik Powszechny" ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00-14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

TYGODNIK POWSZECHNY

SALESmanago marketing automation

TU HONORUJEMY KARTĘ DUŻEJ RODZINY

OCIEPLENIE NA CHŁODNO

Nowy międzyrządowy raport klimatyczny nie pozostawia złudzeń – negatywne skutki globalnego ocieplenia odczujemy na całym świecie. Ale nie wszędzie będą one równie silne i równie oczywiste.

ŁUKASZ LAMŻA

ULRIK PEDERSEN / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Efekt cieplarniany został opisany już w XIX w., a w latach 30. XX w. zaczęły się pojawiać pierwsze doniesienia o systematycznie rosnących temperaturach. Mogłoby się wydawać: prosta fizyka, prosta diagnoza, czas się rozglądać za terapią. Otóż nie tym razem. Z każdą kolejną dekadą temat się komplikował, a przekaz rozcieńczał. Dlaczego?

Po pierwsze, Ziemia jest bardzo złożonym systemem. Chmury i gleba, rzeki i góry, bakterie i dżdżownice, lasy i pola uprawne, aerozole stratosferyczne i głębokie osady morskie – wszystko wpływa na wszystko, w skalach od milimetrów po megametry i od milisekund po tysiąclecia. Okazuje się, że prosta fizyka w zderzeniu ze złożonością ziemskiej geografii i biologii prowadzi do wyłonienia się licznych subtelnych, często nieintuicyjnych efektów, o których ponadto trudno mówić prostym językiem.

Drugi problem: *Homo sapiens* nie reaguje w prosty, racjonalny sposób na diagnozy, zwłaszcza jeśli terapia zapowiada się nieprzyjemnie, a choroba wydaje się odległa i można przez dłuższy czas ją ignorować. Zbiorowa reakcja ludzkości na wieść o tym, że wpływamy w potencjalnie niebezpieczny sposób na klimat, nie zasługuje na podziw. Zachowujemy się trochę jak 60-letni palacz, który nawet podczas dziesiątej wizyty u pulmonologa wciąż jeszcze się dziwi, że papierosy pozostawiają w płucach rakotwórczy nalot. Przecież jeszcze nie doszło do tragedii, a poranny kaszelek można zwalić na suche powietrze. W przypadku zmian klimatycznych tymczasem występuje dodatkowa motywacja polityczna, by im zaprzeczać lub podawać w wątpliwość: emitowanie dwutlenku węgla to po prostu biznes.

IPCC powstało jako próba poradzenia sobie z tymi problemami.

Z nauką pod strzechy

Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (IPCC) to międzynarodowa organizacja z siedzibą w Genewie, założona w 1988 r. Należy do niej obecnie 195 krajów – praktycznie wszystkie. Jednym z głównych zadań IPCC jest regularne, co mniej więcej pięć-siedem lat, przygotowywanie raportów podsumowujących aktualny stan wiedzy na temat globalnych zmian klimatu. Składają się one z trzech części. Pierwsza wykłada naukowe podstawy badań nad klimatem, wyniki obserwacji i symulacji na przyszłość. Część druga poświęcona jest skutkom zmian klimatu dla Ziemi, w tym konsekwencjom dla ludzi, a część trzecia strategiom zapobiegania tymże zmianom.

Pierwszy taki raport powstał w 1990 r., a w latach 2013-14 opublikowano „piątkę", która przez ostatnie siedem lat pozostawała „klimatologiczną biblią". Teraz, 6 sierpnia, została upubliczniona pierwsza część „szóstki" – czyli syntetyczne podsumowanie wszystkiego, co dziś wiadomo o zmianach klimatu: przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. W kolejnym roku mają się ukazać pozostałe dwie części.

Raporty IPCC zostały wymyślone tak, aby z góry wytrącić z ręki potencjalne argumenty sceptyków w temacie zmian klimatu.

Przede wszystkim są tworzone przez gigantyczne grono uznanych ekspertów. Opublikowany 6 sierpnia dokument („Podstawy nauk fizycznych dotyczące zmian klimatu") ma 234 autorów z 65 krajów świata (którzy z zasady nie pobierają z tego tytułu żadnego wynagrodzenia). Choć sceptycy klimatyczni wyłażą ze skóry, aby zdyskredytować autorów raportów IPCC, na przestrzeni ostatnich 30 lat nie byli w stanie sformułować pod ich adresem żadnego sensownego zarzutu. Liczący 3949 stron dokument to synteza 14 tys. artykułów naukowych, a gdy dane są niepewne lub konkurencyjne modele są ze sobą sprzeczne, tekst rzetelnie o tym informuje. Mówiąc prosto, nie ma innej nauki o klimacie niż ta.

Naukowcy z IPCC posłużyli się dodatkową sprytną sztuczką, aby podnieść wiarygodność swojego raportu. Dla każdej z trzech części publikowana jest zawsze jej silnie skrócona wersja („Streszczenie dla decydentów"). O ile główny raport piszą naukowcy w swoim gronie, o tyle ostateczna wersja „Streszczenia" powstaje na drodze żmudnych negocjacji pomiędzy przedstawicielami każdego kraju członkowskiego IPCC. „Naukowcy decydują, co powiedzieć, a rządy – jak". Pod dokumentem tym podpisują się wszystkie kraje członkowskie IPCC. Kto by więc chciał utrzymywać, że treść raportu wynika ze zmowy naukowców albo interesów którejś z sił politycznych, musiałby też zgodzić się na to, że udało się po cichu porozumieć przedstawicielom wszystkich krajów świata, w tym Chin, Rosji, USA, Izraela, Iranu, Indii, Pakistanu, Polski, Węgier, Niemiec i tak dalej. Owo symboliczne uwikłanie polityczne (które dotyczy, powtórzmy, tylko 40-stronicowego streszczenia) jest niejako gwarantem politycznej neutralności czy też, może nieco lepiej, politycznego uśrednienia.

Spore są też wysiłki IPCC, aby raport trafił pod strzechy. Oprócz „Streszczenia dla decydentów" istnieje też wersja jeszcze krótsza: dwustronicowy dokument („Headline Statements") składający się z 14 „nagłówków" o długości jednego-dwóch zdań. Z nim zapoznać się może nawet najbardziej leniwy lub zabiegany polityk. Na stronie IPCC znajdują się też odpowiedzi na często zadawane pytania, seria filmów edukacyjnych oraz „wirtualny atlas zmian klimatycznych", ↦

Topniejące góry lodowe w pobliżu Ilulissat na Grenlandii. Maj 2021 r.

↦ dzięki któremu można się samemu zapoznać ze stanem i przyszłością klimatu.

Co wiadomo

Zasadnicze wnioski twórców „szóstki" nie różnią się od tych, które znajdziemy w raporcie pierwszym z 1990 r.

∗ Emisja CO_2, metanu i innych gazów cieplarnianych przez ludzi przyczynia się do siły efektu cieplarnianego, co prowadzi ostatecznie do wzrostu temperatury powierzchni Ziemi.

∗ Skutki tego wzrostu będą negatywne dla ludzkości, zwłaszcza z powodu ekstremalnych zjawisk pogodowych.

W tych dwóch punktach zawiera się cały problem globalnych zmian klimatycznych. Po co więc kolejne raporty?

Po pierwsze, rośnie ogólny poziom pewności, dotyczący zarówno najogólniejszych wniosków, jak i detali. Autorzy raportów IPCC obsesyjnie wręcz podkreślają, jak bardzo pewni są poszczególnych tez. Niemal każdy akapit rozpoczyna się od określeń typu: „Jest bardzo prawdopodobne, że..." albo „Jest umiarkowanie prawdopodobne, że...". Są to standaryzowane frazy o określonym znaczeniu ilościowym. Z każdą kolejną edycją wnioski klimatologów są coraz pewniejsze, a pewne kluczowe tezy, jak choćby dwie wymienione wyżej, w raporcie szóstym ogłoszone są „z całkowitą pewnością".

Dokonywane są też ciągłe korekty w kwestiach szczegółowych. Jedną z nielicznych „wpadek" IPCC było opublikowane w czwartym raporcie oszacowanie, że do 2035 r. znikną wszystkie lodowce Himalajów. Autorzy szybko się z niego wycofali, ponieważ tempo topnienia tych lodowców rzeczywiście jest znacznie mniejsze, niż sądzono. W oświadczeniu dotyczącym „kwestii himalajskiej" przedstawiciele IPCC zwrócili jednak trzeźwo uwagę na fakt, że w pierwotnej wersji tekstu uczciwie przedstawiony był niski poziom pewności odnośnie do tego oszacowania – a rzeczywiste tempo topnienia tych lodowców mieści się w szerokich widełkach błędu, które można znaleźć w trzewiach raportu. Ostrożność więc się przydała.

Po drugie, w każdej dziedzinie nauki dochodzi do postępu. Prosta demonstracja: dzięki rozwojowi wulkanologii znacznie lepiej niż przed dekadą rozumiemy emisję gazów cieplarnianych przez wulkany i stopień jej zmienności. Choć już od dawna wiadomo, że nijak mają się one do emisji ludzkich (produkujemy z grubsza sto razy więcej CO_2 niż wszystkie wulkany świata łącznie), to dopiero w raporcie szóstym w praktycznie każdej symulacji wyraźnie zaznaczane są skutki procesów wulkanicznych. To nie tylko kwestia merytoryczna, ale również PR-owa. „Sceptycy klimatyczni" od lat lubują się w przytaczaniu fałszywego argumentu, że emisje wulkaniczne dominują nad ludzkimi. Teraz wszystkim ważniejszym wykresom w nowym raporcie towarzyszą krzywe ilustrujące wpływ zjawisk wulkanicznych, pokazujące wyraźnie, jak niewielki jest on w skali globalnej. Jest szansa, że zapadnie to w pamięć. To samo dotyczy zmian w aktywności Słońca, które dzięki pracy astronomów dziś rozumiemy lepiej niż przed dekadą. Każdy kolejny raport pozostawia więc coraz mniej przestrzeni na spekulacje i ściemnianie.

Po trzecie, błyskawicznie rośnie jakość symulacji komputerowych klimatu. W 1990 r. autorzy IPCC opierali się na modelach, w których stan powierzchni Ziemi obliczany był dla „pudełek" obliczeniowych o boku 500 km. W takim modelu cała Europa składała się z zaledwie kilkudziesięciu „pikseli". Dziś model globalny ma rozdzielczość 100 km, jest jednak uzupełniony o modele lokalne o rozdzielczości 25-50 km. Charakterystyczne dla raportu szóstego jest ciągłe podkreślanie aspektu regionalnego zmian klimatycznych, który dopiero w ostatnich latach zaczynamy poznawać z jako takim stopniem pewności. Okazuje się, że każdy region ma swoją specyfikę.

Złe wieści. Dobre wieści?

Motywem przewodnim nowego raportu są ekstremalne zjawiska pogodowe: wyjątkowo wysokie bądź niskie temperatury, szczególnie intensywne opady i burze, susze, powodzie, sztormy. W ostatniej dekadzie nagromadziły się niezaprzeczalne dowody wskazujące na to, że nawet skromny wzrost temperatury może prowadzić do znacznie częstszego zachodzenia tych niebezpiecznych zdarzeń. Mimo że średnia temperatura powierzchni globu jest dziś wyższa od poziomu XIX-wiecznego o „zaledwie" 1,2 stopnia Celsjusza, skrajnie intensywne upały czy opady zdarzają się nawet kilkukrotnie częściej. Trend ten przybiera też na sile. Przykładowa statystyka: w latach 1981–2010 były w naszym kraju średnio dwa-trzy dni w roku, gdy temperatura przekraczała 35 stopni Celsjusza. W 2050 r. ma być już takich dni cztery-osiem (zależnie od scenariusza klimatycznego).

Ciągłe odwoływanie się do kontekstu regionalnego przez autorów raportu upewnia nas, że zjawiska te nie dzieją się tylko „gdzieś tam daleko". W „Streszczeniu" znajdują się trzy mapy, na których świat został podzielony na 45 regionów.

Pandemia a zmiany klimatu

POZIOM ZŁOŻONOŚCI klimatologii świetnie ilustruje przedstawiona w nowym raporcie IPCC wstępna analiza wpływu pandemii na zmiany klimatu. Autorzy twierdzą bowiem, że ograniczenia naszej aktywności ekonomicznej i ruchliwości doprowadziły do nieznacznego... przyspieszenia globalnego ocieplenia. Jak to możliwe?

EMISJA CO_2 rzeczywiście spadła w czasie pandemii, mniej więcej o 7 proc. – to zaś, jak nakazuje fizyka, nieznacznie przesunęło bilans energetyczny atmosfery w stronę „chłodniejszą". Tego spodziewali się wszyscy. Równolegle jednak spadła także produkcja aerozoli, czyli drobnych cząsteczek unoszących się w powietrzu, których obecność przyczynia się do obniżania temperatury na Ziemi (całkowity bilans naszego wpływu na klimat to „ogrzewający" wpływ gazów cieplarnianych minus „ochładzający" wpływ aerozoli, plus minus parę innych drobniejszych czynników). Z jakiegoś powodu wpływ zmniejszonej produkcji aerozoli (za co odpowiada głównie ograniczenie transportu, zwłaszcza lotniczego) przeważył nad wpływem zmniejszonej produkcji gazów cieplarnianych i ostatecznie doszło do minimalnego przyspieszenia zmian klimatycznych.

NIE JEST JASNE, dlaczego tak się stało. To jednak kolejny powód, by coraz dokładniej badać zjawiska klimatyczne, zamiast próbować je zrozumieć – oraz działać – na chłopski rozum. ©℗ ŁL

Dla każdego z nich z osobna oznaczono, czy w ciągu ostatnich 70 lat zmalała czy wzrosła częstość, kolejno, silnych upałów, intensywnych opadów i epizodów suszy. W dwóch pierwszych przypadkach nie ma żadnych regionów, w których nastąpił spadek liczby upałów i ulewnych deszczy – choć są miejsca, gdzie nie odnotowano wzrostu. Na mapie trzeciej znajduje się natomiast, co ciekawe, pojedyncza pozytywna anomalia: jeden jedyny region, w którym spadła częstość susz (północna Australia).

Coraz bardziej szczegółowe analizy geograficzne dostarczają kolejnych tego typu spostrzeżeń. Przykładowo w części raportu poświęconej prognozom powodziowym dla Europy znajduje się chyba zaskakujące przewidywanie: „Choć Europa jest jednym z regionów, w których występuje największy wzrost ryzyka powodzi, istnieje kilka krajów w Europie Wschodniej, gdzie ryzyko to ma spaść (Polska, Litwa, Białoruś)".

Jeśli szukamy w raporcie uspokojenia, to go tam nie znajdziemy, mimo iż jego wyważony ton – oraz fakt, że jest on wspólnym głosem setek naukowców patrzących sobie nawzajem na ręce – może stanowić antidotum na niekonkretne, a czasem panikarskie doniesienia medialne. Choć bowiem prawda o przyszłości klimatu ziemskiego nie jest różowa, nie zawsze jest też tak dramatyczna, jak głoszą nagłówki. W mediach najlepiej sprzedają się informacje przesadzone: spośród dziesięciu symulacji komputerowych najlepiej klikać się będzie ta o najtragiczniejszym wydźwięku. Raport IPCC to tymczasem agregat wszystkich symulacji.

Świat obiegła ostatnio np. wiadomość, że w najbliższym czasie ma rzekomo zaniknąć, częściowo lub całkowicie, Prąd Zatokowy – ciepły prąd oceaniczny obmywający wybrzeże Europy – z katastrofalnymi skutkami. Doniesienie to opierało się jednak na pojedynczej symulacji, obciążonej dość silnymi założeniami, a stojącej w sprzeczności z większością innych symulacji. Zresztą, co typowe, sam artykuł naukowy, od którego rozpoczęło się to zamieszanie, zawierał uczciwe wyjaśnienie, że stanowi „raport mniejszości". Dziennikarze rzadko jednak sięgają do źródeł, a jeszcze rzadziej potrafią je krytycznie przeanalizować – raport IPCC może więc dostarczać im bezcennego kontekstu. W opublikowanym teraz dokumencie „śmierć Prądu Zatokowego" omówiono w sekcji poświęconej „zdarzeniom mało prawdopodobnym". Autorzy uspokajają tam, że Prąd Zatokowy najprawdopodobniej nie osłabnie znacząco, bez względu na ewolucję prądów oceanicznych Atlantyku, a już na pewno nie ustanie całkowicie.

ULRIK PEDERSEN / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

W ostatniej dekadzie zebraliśmy niezaprzeczalne dowody, że nawet skromny wzrost temperatury może prowadzić do znacznie częstszych **niebezpiecznych zdarzeń pogodowych.**

Taką zresztą funkcję ma spełniać cały raport IPCC: nie tylko przekonywać niedowiarków, ale też uspokajać tych, którzy, nawet stojąc po dobrej stronie, sieją dezinformację opartą na wymogach klikalności albo na lęku – który nie jest dobrym doradcą, gdy trzeba podejmować konkretne decyzje. Wspomniałem, że w Polsce wzrośnie w następnych dekadach częstość upałów. Czy jednak uzasadniony jest lęk, że kraj nasz zamieni się w pustynię, a czterdziestostopniowe upały staną się powszechne, co można czasem przeczytać w mediach? Nie: nawet w najbardziej dramatycznym scenariuszu klimatycznym liczba takich dni rocznie na terenie Polski w latach 2040-60 nie przekroczy dwóch (obecnie jest średnio jeden taki dzień w roku). Raport IPCC pozwala więc racjonalnie przygotować się na zmiany klimatyczne i walczyć z dezinformacją, czy to antyklimatyczną, czy też proklimatyczną.

Zawracanie tankowca

Czy jest nadzieja na wycofanie się z tej niepokojącej ścieżki? Diagnoza IPCC jest połączeniem pesymizmu i ostrożnego optymizmu. Niektóre procesy można odwrócić względnie szybko, inne wykazują bezwładność w skali dziesięcioleci, stuleci, a nawet tysiącleci. Autorzy stwierdzają, przykładowo, że gdyby udało się usuwać z atmosfery więcej dwutlenku węgla, niż go wprowadzać, zmiany globalnej temperatury na Ziemi mogłyby się rozpocząć już po kilku latach. Nawet jednak skromniejszy cel ograniczenia emisji może przynieść korzyści, choć być może dostrzegalne dopiero za 20-30 lat. Inne wywołane przez nas problemy mogą nas prześladować znacznie dłużej.

Wybitną bezwładnością charakteryzuje się zwłaszcza proces podnoszenia się poziomu morza, głównie ze względu na powolne tempo, w jakim na zmiany temperatury reaguje lądolód Antarktydy. Istnieją scenariusze, w których nawet gdybyśmy natychmiast skończyli z emisjami dwutlenku węgla, poziom wody w oceanach zacząłby spadać dopiero za kilkaset, a nawet tysiąc lat. Istnieją też oczywiście zmiany autentycznie nieodwracalne, jak choćby wymieranie gatunków i niszczenie ekosystemów. To nie cyferki, które można po prostu przywrócić do normy jak wskazówkę termometru.

Co więc robić? To temat trzeciej części raportu, która ma się ukazać w marcu 2022 r. Jeśli będzie ona przypominać swój odpowiednik z edycji piątej, to zostaną w niej omówione wszelkie wyobrażalne działania, od poziomu globalnej polityki po indywidualne wybory światopoglądowe – każde cechujące się określonym stopniem skuteczności. Z najnowszych symulacji wydaje się wynikać, że każda tona CO_2 się liczy – wpływ na klimat i częstość zachodzenia ekstremalnych zjawisk pogodowych mają nawet drobne zmiany naszych zachowań emisyjnych.

Co ciekawe, w opublikowanej teraz części, choć niepoświęconej zasadniczo strategiom zaradczym, podejrzanie często mowa o technologiach „odciągania" CO_2 z atmosfery. Są one jeszcze co prawda w zarodku, ale czyżby autorzy nowego raportu to w nich pokładali nadzieję, straciwszy już wiarę w nawoływanie do ograniczenia konsumpcji i odpowiedzialnego prowadzenia biznesu? Byłaby to z pewnością interesująca puenta, gdyby to technologia wyprowadziła z atmosfery gazy cieplarniane, które trafiły tam głównie wskutek jej własnego rozwoju. Nie ma co jednak liczyć na proste, skuteczne rozwiązania.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

Nie jesteśmy bezpieczni

ZBIGNIEW KARACZUN, SOZOLOG:

Do tej pory każda generacja myślała, co zrobić, żeby świat był dla następnych pokoleń lepszy. A my robimy wszystko, żeby im go odebrać i zostawić pustynię.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Sekretarz generalny ONZ António Guterres najnowszy raport Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC) nazwał „czerwonym alarmem" dla ludzkości.

ZBIGNIEW KARACZUN: Już poprzednie raporty z 2007 i 2014 r. ostrzegały, że to ostatnia chwila na działania, które pozwoliłyby zatrzymać zmianę klimatu na bezpiecznym poziomie. W obecnym, szóstym raporcie pojawia się informacja, że nawet jeśli dziś zaczniemy skuteczne działania, to zatrzymać ocieplenia przed przełamaniem granicy 1,5 stopnia Celsjusza już się nie uda. Ale jest też optymizm. Jeśli podejmiemy takie działania, to po tym przebiciu się przez poziom 1,5 st. i osiągnięciu ocieplenia o około 1,7 st. klimat powróci do poziomu 1,5 st., więc powstrzymamy najgorszy scenariusz.

Najgorszy, czyli właściwie jaki?

Powiem tak: nie wiem. System przyrodniczy zmienia się skokowo. Jeżeli temperatura wzrośnie o 2,5 st., to nie będzie tylko trochę gorzej niż przy 1,5 st. Może być po prostu zupełnie inaczej, bo system przejdzie na inny poziom budowania równowagi. Przez kilkadziesiąt czy kilkaset lat będzie trwał okres przejściowy, kiedy będzie coraz gorzej, kiedy ekstremalne zjawiska będą stawały się coraz częstsze i niebezpieczniejsze. Może się okazać, że po zakończeniu tego okresu przejściowego dla nas po prostu nie będzie miejsca – dla naszych wartości, więzi społecznych.

Dlaczego ekstremalne zjawiska pogodowe będą częstsze?

Zmiana klimatu polega na tym, że w atmosferze jest więcej energii. Ciepło jest rodzajem energii. Ta energia musi się częściej i gwałtowniej wyładowywać, bo system dąży do równowagi. Stąd mamy zwiększoną częstotliwość wydarzeń ekstremalnych, np. wiatr, który wieje nie 100 km/h, tylko 180 czy 200 km/h. Ale warto sobie uświadomić też to, że nie do końca jesteśmy w stanie prognozować, jak będzie funkcjonował ten nowy system równowagi klimatycznej.

Czasem porównuję system klimatyczny i zagrożenia powodowane przez jego zmianę do tego, co się stało na Wyspie Wielkanocnej. To była kiedyś zielona, zalesiona wyspa, która dawała możliwość życia 50 tys. ludzi. Zaczęto jednak wycinać drzewa, żeby stawiać kamienne głowy pokazujące potęgę tamtejszych rodów. W którymś momencie wycięto o jedno za dużo i system przestał się regenerować. Dziś to pustynia, gdzie żyje 7 tys. ludzi utrzymujących się dzięki turystyce. Tamtejszy system przyrodniczy nie daje możliwości przetrwania. W podobny sposób może się zmienić system klimatyczny. Na tym nowym poziomie równowagi natura przetrwa. Ale dla nas to będzie katastrofa.

Niedawno padł rekord wszech czasów europejskiej temperatury powietrza. Na Sycylii odnotowano 48,8 stopni Celsjusza. To nowa norma?

Nie ma co się przyzwyczajać do rekordów upału, wielkości opadów, a nawet ekstremalnie niskich temperatur. Co roku będą one bite, w tym czy innym miejscu świata.

Raport wskazuje też, że możemy dotrzeć do punktu, w którym przyszłość już nie będzie w naszych rękach, bo procesy ocieplania będą same się napędzały.

Takim procesem jest np. rozmarzanie lądolodu i uwalnianie się tzw. hydratów metanu. Do atmosfery będą się dostawały ogromne ilości metanu, zwiększając jego stężenie w powietrzu. Im będzie cieplej, tym większe ryzyko, że te mechanizmy dodatniego sprzężenia zwrotnego zostaną uruchomione. Już to widzimy po lodach Arktyki. Ich topnienie powoduje, że na powierzchni lodu pojawia się woda, która gorzej niż lód odbija światło, czyli pochłania więcej energii. A co za tym idzie, szybciej się nagrzewa, co z kolei powoduje jeszcze szybsze topnienie spoczywającego pod warstwą wody lodu.

Z drugiej strony człowiek doskonale poradził sobie w tak urozmaiconych warunkach – żyjemy i na Antarktydzie, i na Saharze, chodziliśmy po Księżycu. Może się przystosujemy?

Warto popatrzeć na zdjęcie, które nazywa się „wschód Ziemi", zrobione 24 grudnia 1968 r. z pokładu pojazdu Apollo 8. To był pierwszy załogowy lot wokół Księżyca. Zdjęcie naszej planety wyłaniającej się zza Księżyca zrobiło dla ochrony przyrody więcej niż wszystkie wcześniejsze i wiele późniejszych raportów. Pokazało ludziom, jak ograniczone zasoby mamy, bo ta maleńka kuleczka jest jedynym miejscem, w którym możemy przetrwać.

Rzeczywiście, żyjemy na Saharze i Antarktydzie, ale tylko dzięki temu, że bardzo szybko zużywamy ogromne ilości zasobów.

Czy jednym z problemów w tłumaczeniu zmian klimatycznych nie jest też to, że każdy z nas ma inne punkty odniesienia? Pamiętam zimy trwające od listopada do marca. Dla dwudziestolatka kilka tygodni śniegu w lutym to już niemal zima stulecia.

Pewnie trochę tak jest, ale z mojego punktu widzenia problem jest gdzie indziej. Chodzi o brak zaufania do nauki, przede wszystkim u polityków. Jeśli doradca prezydenta Paweł Sałek kłamie w radiu – bo to nie jest brak wiedzy, mówimy o byłym wiceministrze środowiska – jakoby nie było pewności, że człowiek jest sprawcą zmian klimatu, to podważa się zaufanie do nauki i do tego, że musimy działać. Drugi element to szukanie wytłumaczenia dla własnej bezczynności. Niech coś robią Chiny, Amerykanie, a my dopiero po nich. Tu chyba leży najważniejszy problem. Nazwałbym go brakiem moralności, etyki, umiejętności przyjęcia odpowiedzialności za to, co będzie,

w imię krótkoterminowych korzyści politycznych.

W analizach IPCC pojawia się potencjalny scenariusz „brudnych nacjonalizmów", gdzie każdy kraj zaczyna działać na własną rękę, sięgając po czyste technologie tam, gdzie to tanie, ale jednocześnie korzystając ze wszystkich dostępnych paliw kopalnych.

Papież Franciszek w encyklice „Laudato si" spytał, po co nam politycy, którzy nie potrafią podjąć niezbędnych decyzji, kiedy są one konieczne. Dla mnie ta encyklika jest czymś, co pokazuje, że ta chciwość, zapatrzenie się w siebie, brak solidarności będą prowadzić właśnie do takiego brudnego nacjonalizmu, w którym każdy będzie robił tylko to, co przyniesie mu szybką korzyść. To strasznie krótkowzroczne, bo kryzys dotknie wszystkich.

Jak się objawi w Polsce? Chyba panuje przekonanie, że cokolwiek się stanie, akurat my będziemy się mieć nieźle.

Rzeczywiście wzrost średniej temperatury, przynajmniej początkowo, nie będzie u nas aż tak katastrofalny. Ale nie jest tak, że nie odczujemy poważnych konsekwencji. Jednym ze skutków zmian klimatycznych jest niestabilność pogody. Proszę zobaczyć, co już się dzieje z polskim rolnictwem. Mamy lata takie jak okres 2018-19, kiedy bardzo poważne susze w ogromnym stopniu wpływają na nasze rolnictwo, a my się potem dziwimy, że ceny warzyw i owoców biją rekordy. Mieliśmy też taki rok, w którym wegetacja zaczęła się wyjątkowo wcześnie, w sadach wyrosło mnóstwo owoców, z czego połowa została zmarnowana, bo nie opłacało się zbierać jabłek, które w skupie kosztowały sześć groszy za kilogram.

Zwiększy się też zagrożenie pożarowe. W tym roku mieliśmy szczęście, bo było sporo opadów. W ubiegłym roku mieliśmy, choć to zabrzmi fatalnie, szczęście ogromne, bo kiedy w marcu i kwietniu wysuszenie lasów biło wszelkie rekordy, nadeszła pandemia i wprowadzono zakaz wstępu do lasów. Inaczej mogliśmy mieć pożary takie, jak dziś w południowej Europie. Ludzie mówią, że Bałtyk będzie cieplejszy, więc będziemy mieli swoje Morze Śródziemne. Ale Bałtyk jest płytki i zanieczyszczony, więc każdy wzrost temperatury oznacza wykwity sinic. A i to nie jest największy problem, bo w Bałtyku występują bakterie *Vibrio vulnificus*, które uaktywniają się w temperaturach powyżej 20 st. Są bardzo agresywne, więc jeśli wejdzie się do takiej wody z zadrapaniem, mogą spowodować sepsę. Mieliśmy w zeszłym roku pierwsze wypadki śmiertelne. Niektóre scenariusze mówią, że np. w Warszawie już w połowie wieku możemy spodziewać się kilkudniowych fal upałów o temperaturach na poziomie 43 st. Nie jesteśmy bezpieczni.

WOJCIECH MOSKAL / EAST NEWS

ZBIGNIEW KARACZUN jest profesorem Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie i ekspertem Koalicji Klimatycznej. Specjalizuje się w ochronie przyrody.

To wszystko będzie miało poważne skutki społeczne, zwłaszcza w krajach najsilniej dotkniętych zmianami.

Mówi się, że w samej Afryce będzie co najmniej 250 do 500 mln uchodźców klimatycznych, którzy nie będą mieli innego wyjścia niż ucieczka z miejsc, gdzie po prostu nie będzie się dało żyć. Myślenie, że będziemy im „pomagać na miejscu", jest bez sensu, bo tam po prostu nie będzie warunków do przetrwania. Wielu z nich ucieknie do Europy. Jak wtedy zareagujemy?

Badania pokazują też, że skutki zmiany klimatu pogłębiają różnice, czyli najbardziej dotykają ubogich. Bogaci będą mogli uciec z terenów zagrożonych, biedni nie. Poszerzy się strefa ubóstwa, głodu, innych problemów społecznych, a w konsekwencji doprowadzi to do zwiększenia poziomu agresji, bo ludzie zdesperowani będą starali się przebić tam, gdzie jest bezpiecznie, ze wszystkimi konsekwencjami. Możemy spodziewać się konfliktów.

Czy po latach światowej bezczynności w obliczu tego kryzysu jest jeszcze miejsce na optymizm?

Mówiliśmy, że w samym raporcie IPCC jest miejsce na optymizm. Jeszcze możemy się cofnąć. To daje mi trochę nadziei, podobnie jak aktywność młodych ludzi, którzy coraz głośniej domagają się działań wiedząc, że to oni poniosą największe ofiary, że dziadkowie i rodzice szykują im świat, w którym przyjdzie im wegetować, a nie żyć i realizować marzenia. Widzę w ich aktywności trochę nadziei, ale mam jej coraz mniej. Robimy za mało, za wolno, wracamy do polityki nacjonalizmów pozbawionej empatii, solidarności, zaczynamy uważać egoizm za coś pozytywnego. To bardzo zły kierunek.

A może nadzieja jest w mechanizmach rynkowych? Coraz częściej to presja rynków i inwestorów zmusza firmy do działania w obliczu spadających zysków. Nawet największe koncerny naftowe wyznaczają sobie cele zerowych emisji netto do 2050 r.

Gdybyśmy to powiedzieli 20 lat temu, to może rzeczywiście doszukiwałbym się w tym nadziei. Wtedy mieliśmy jeszcze czas, żeby myśleć o tym w dłuższej perspektywie. Ale dzisiaj nie możemy myśleć w perspektywie 10-15 lat, bo potrzebujemy działania natychmiast. I to nie tylko w energetyce, ale wszędzie. W transporcie, rolnictwie, leśnictwie, budownictwie, w każdym sektorze musimy pilnie redukować emisje i dojść do neutralności klimatycznej. A nie widzę woli politycznej ani biznesowej.

Dlatego mam świadomość, i mówię to moim studentom, że nasze pokolenie zostawia im świat gorszy, niż myśmy dostali od naszych rodziców. Do tej pory każda generacja myślała, co zrobić, żeby świat był dla następnych pokoleń lepszy. A my robimy wszystko, żeby im go odebrać i zostawić pustynię.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

ANGELOS TZORTZINIS / AFP / EAST NEWS

Na zdjęciu w tle: wolontariusze przy pożarze na Eubei, Grecja, 9 sierpnia 2021 r.

KULTURA

TAKO RZECZE ZORBA

Czy da się żyć radośnie, ale bez nadziei, jaką daje wiara, i bez lęku przed śmiercią? I czy da się żyć w ten sposób z innymi, będąc pożytecznym dla wspólnoty?

RYSZARD KOZIOŁEK

Fabuła „Greka Zorby" jest ostentacyjnie prosta. Anonimowy narrator, trzydziestopięcioletni intelektualista w kryzysie, wraca po latach na rodzinną Kretę. W porcie Pireus spotyka zagadkowego włóczęgę, który proponuje mu swoje towarzystwo i pracę. Nazywa się Alexis Zorba i pochodzi z Macedonii. Popłyną razem na wyspę, aby uruchomić tam małą kopalnię węgla brunatnego. Będą pracować – jeden w kopalni, drugi pisząc; a także jeść, pić, tańczyć, kochać. Spędzą ze sobą siedem miesięcy i rozstaną się na zawsze.

Nie perypetie i zwroty akcji są sednem i siłą powieści Nikosa Kazantzakisa. Jej porywająca moc tkwi w ciągłych starciach dwójki bohaterów – Szefa i Zorby. Nierozstrzygnięty agon toczy się o jedną fundamentalną kwestię: „jak żyć". A precyzyjnie rzecz biorąc: jak żyć z radością i bez nadziei, czyli ze świadomością nieuniknionej śmierci. Tych nauk udziela narratorowi, a w istocie czytelnikom „Zorba, »prawdziwe uosobienie« współczesnego Greka, który kształci zachodniego intelektualistę, wprowadzając go w misterium życia" – pisze Ilias Wrazas we wprowadzeniu.

Całkowicie niepoprawne

Czytam „Greka Zorbę" po raz trzeci, teraz we wspaniałym przekładzie Ireneusza Kani (Znak 2021), ale tym razem mój zachwyt nieco mnie zawstydza. Podobne odczucia wypowiedziała niedawno w „Wysokich Obcasach" Dorota Warakomska, która zapamiętała dawną lekturę jako pochwałę życia, ludzkiego braterstwa, szaleństwa wyzwalającego z rutyny codzienności. Tymczasem... „Uświadomiłam sobie, jak bardzo się zmieniłam w ciągu ostatnich kilkunastu lat. I jak zmienił się świat! Jak dobrze, że wreszcie zaczynamy to zauważać. Jak dobrze, że protestujemy. Że nie zgadzamy się na seksizm, na agresję słowną. Na powielanie »prawd«, »mądrości«, czczych bzdur na temat kobiet".

Zgodny co do konstatacji naszej zmiany, nie mam dość pewności, aby

ART CREDIT EVERETT COLLECTION / EAST NEWS

Anthony Quinn i Alan Bates w filmie „Grek Zorba", reż. Michael Cacoyannis. 20th Century Fox, 1964 r.

„Greka Zorbę" odesłać na kulturowe wygnanie. Przede wszystkim dlatego, że życie i literatura to (na szczęście) różne porządki. Słowa, zdania, obrazy – niedopuszczalne lub piętnowane w życiu publicznym – są możliwe, a nawet potrzebne w sztuce. Jako literatura są bowiem „nie nasze", nawet nie autorskie, ale jako słowa narratora lub postaci zostają wystawione na pokaz. Służą czytaniu, oglądaniu, używaniu dla przyjemności i pożytku; jako ćwiczenie wyobraźni, moralnej wrażliwości, intelektualnej sprawności, pobudzania naszych afektów.

Każda literatura? Nawet otwarcie rasistowska? Homofobiczna? Epatująca przemocą? A co jeśli jest doskonale napisana, jak „Lolita"? Czy to zbawia złą treść od potępienia? Widać, że i autorce felietonu drży ręka ogrodniczki trzymającej nożyce nad niechcianą, choć intrygującą rośliną, więc zostawia nas z pytaniem: „Jak bardzo literatura oswaja przemoc, wykorzystywanie? Jak wiele jawnie seksistowskich zachowań nie jest uważanych za nic złego albo dziwnego dlatego, że czynią tak literaccy bohaterowie?".

Mimo że adresat pytania jest nieznany, nie powinniśmy uchylać się od odpowiedzi. Ani też tłumaczyć pokrętnie, że „Grek Zorba" (1946) został napisany w czasach zupełnie innej polityki wrażliwości i wówczas mało kogo bulwersowały takie zdania o kobietach: „Kobieta to tajemnica, szefie. Tysiąc razy upadnie i tysiąc razy wstaje, znów dziewica. A dlaczego? – zapytasz. Otóż dlatego, że nie pamięta". „Mów, co chcesz, szefie, ale kobieta to nie człowiek, to coś innego. Dlaczego nie jestem zły? Bo kobieta jest czymś niepojętym, mylą się co do niej wszystkie zasady społeczne i religijne. Nie wolno ich stosować do kobiet, absolutnie! Są zbyt okrutne i niesprawiedliwe. Gdyby było w mojej mocy ustanawianie praw, inne odniósłbym do mężczyzn, inne do kobiet".

Czy mimo podobnych zdań nadal należy umieszczać „Greka Zorbę" w kanonie XX-wiecznej klasyki? Upieram się, że tak.

Życie oddane życiu

Jak wiemy dzięki biografom Kazantzakisa, Zorba miał swój pierwowzór w osobie Georgiosa Zorbasa, a epizod z kopalnią także jest prawdziwy. Rozgrywał się nie na Krecie, a na Peloponezie na przełomie 1916 i 1917 r., a Szef (Kazantzakis) chciał w ten sposób uniknąć udziału w I wojnie światowej. Nawet porażka próby uruchomienia zrujnowanej kopalni jest prawdziwa. Po tym epizodzie razem pojechali realizować rządowy plan przesiedlenia kaukaskich Greków do Grecji, czemu w powieści odpowiada wątek przyjaciela.

Wbrew linii fabularnej to nie słynna „piękna katastrofa", czyli zniszczenie kolejki do zwózki pni z góry na plażę, jest kulminacyjnym wydarzeniem powieści, ale śmierć czterech postaci – dwóch kobiet w ramach właściwej akcji powieści oraz Zorby i przyjaciela narratora poza planem przedstawienia.

Najważniejsze są śmierci obu wdów. Pomyślane jako ostry kontrast dwóch faz kobiecości, a szerzej jako obraz niszczącej przemiany ludzkiego życia, postacie Bubuliny (madame Hortensji) i Surmeliny będą dziś budzić najwięcej kontrowersji. Obie bohaterki wydają się zbudowane z seksistowskich i mizoginicznych stereotypów, a ich rymujące się imiona motywują czytanie ich w parze. Pierwsza jest zniszczoną przez życie tancerką, śpiewaczką i kurtyzaną, której groteskowy wygląd i zachowanie skutecznie blokują sympatię, a nawet współczucie czytelnika. Szef i Zorba wynajmą u niej ↦

↦ mieszkanie, a Zorba będzie jej ostatnim kochankiem. Surmelina jest piękną dojrzałą kobietą, komiksową figurą czystej seksualności, banalnym męskim fantazmatem, katalizatorem żądzy.

Kobiecość funkcjonuje jednak w tej powieści w dużo bardziej złożony sposób niż seksizm i mizoginia, a komplikacje kobiecości wciela „wdowa po trzech admirałach" – Bubulina. „Mała pulchna kobiecinka o spłowiałych włosach wynurzyła się spośród topoli, rozwierając ramiona. Szła chwiejnie na pałąkowatych nogach, na podbródku miała pieprzyk z paroma szczeciniastymi włoskami. Szyję owijała jej czerwona aksamitka, zwiędłe zaś policzki kryła gruba warstwa różowego pudru. Na jej czoło opadał filuterny loczek".

Już w przedmowie autora dostajemy sygnał, aby nie dać się zwieść groteskowemu wyglądowi madame Hortensji. To dla niej – obok Zorby i Stavridakisa (przyjaciela narratora) – powstaje na naszych oczach powieściowe requiem: „Cień Zorby splótł się z innym bardzo mi drogim cieniem, za nim zaś dostrzegłem jeszcze jeden – cień ku mojemu zaskoczeniu kobiety, ongiś strojnej i kochanej przez wielu, później dotkniętej nędzą, kobiety, którąśmy razem z Zorbą spotkali na piaszczystym wybrzeżu Krety nad Morzem Libijskim...".

Śmierci Bubuliny, Zorby i Stavridakisa zostają zrównane w swej godności i wymowie powieściowej. Pseudonim, jaki nadaje Zorba madame Hortensji, czyni z nich symbolicznych sojuszników w tej samej walce o życie warte przeżycia. Laskarina Bubulina była grecką bohaterką narodową w walkach z Turkami. Dla Kazantzakisa ta trójka reprezentuje bohaterstwo poświęcenia się życiu aż do zatracenia, bez konwencjonalnych hamulców – życiu jako pięknej katastrofie.

Największe ryzyko podejmują Zorba i Bubulina, ponieważ oddają życie nie idei czy sprawie politycznej, ale życiu samemu. Wiążą się z czymś najbardziej nietrwałym i przemijającym – ludzkim ciałem, zmysłowym doznawaniem rzeczywistości, drobnymi erupcjami zachwytu. Ich opisane w powieści wzajemne pożądanie pozwala Bubulinie po raz ostatni w miłosnej namiętności skupić nieobjętą urodę świata.

Starość jako czas wyczerpania ludzkich pragnień nie istnieje w „Greku Zorbie". Młodsi i starsi ludzie mają w sobie nieustanną gotowość do miłości, namiętności, celebrowania uroków życia. Pragnienia się nie starzeją. Nie należy wierzyć nobliwym panom i statecznym damom; ich zmienione ciała to kostiumy tej samej energii życia, która wybuchła w nas przy poczęciu. Życie trzyma nas w objęciach do samego końca – zdaje się mówić Kazantzakis ustami i czynami Zorby i Bubuliny.

To samo pragnienie, które ich uskrzydla, budzi lęk Szefa. „Wydaje mi się, że walcząc z wdową, posłuszny jestem jakiemuś potężnemu, kosmicznemu rytmowi". Jako intelektualista boi się, że ulegając urodzie świata w ciele Surmeliny, straci suwerenność, stanie się marionetką w grze natury o przetrwanie gatunku. Jest mizoginem, który manifestuje niechęć do kobiet, uznając za Schopenhauerem, Nietzschem i Weiningerem, że są one pułapką zastawioną przez naturę na męski intelekt. Jego wyraźnie homoerotyczna więź z przyjacielem sugeruje wyższość miłości między mężczyznami, wolnej od tyranii prokreacji.

Zorba nie obawia się, że uleganie urodzie świata odbierze mu podmiotowość. Pożądanie jest u niego zarówno popędowe, „zwierzęce", jak i głęboko ludzkie; nosi w sobie wirusa humanizmu. Zorba nie ceni natury, gdyż w jej porządku pojedyncza śmierć nie ma znaczenia, podczas gdy dla niego głównym wrogiem jest każda śmierć pojedynczego ludzkiego istnienia. Wielokrotnie wypowiada fundamentalną niezgodę na śmierć – własną i cudzą. Jego zachłanna seksualność nie ma nic wspólnego z drapieżnością Don Juana. Zorba nie uwodzi, nie poniża, nie gardzi. Afirmuje kobiecość jako ekstrapolację miłości własnej. To, co kocha w sobie, kocha w kobietach. Jest w nim bezwzględność demaskowania nędzy ludzkiej kondycji i bezgraniczna czułość wobec groteskowej łysiejącej śpiewaczki. Większość brutalnych, często obscenicznych określeń kobiet w powieści pochodzi od Zorby.

Dlaczego Zorbie wolno, a nam nie? Ponieważ jest literaturą, a tylko wybitna literatura i czasem miłość potrafią wydobyć słowa z ich społecznych, konwencjonalnych znaczeń. Tak dzieje się czasem w komunikacji zakochanych, że słowa, które dla innych stanowiłyby obelgę, dla nich są najczulszą pieszczotą. Jak to działa, można sprawdzić, czytając Rabelais'go, Bataille'a, Hrabala. Czytajmy, ale nie próbujmy tego powtarzać w domu.

Kazantzakis odkupia mizoginię i seksizm bohaterów wspaniałą opowieścią o wspólnej egzystencjalnej biedzie, z której usiłujemy się wydobyć dzięki religii, sztuce i miłości. Wszystkie je pospołu Zorba wydrwi i doprowadzi do wyjawienia swojej bezradności, aby je zastąpić w nic nieznaczącym epizodzie miłosnym z Bubuliną. Dla niego nie ma sensu wspólnego, jest tylko sens konkretnego słowa, gestu, działania.

To relacje z kobietami najdobitniej ilustrują idee moralne, polityczne i filozoficzne powieści. Szef opiera się materialnej atrakcyjności świata, widząc w nim zagrożenie dla czystości idei. Wyznaje religię zaangażowanego humanizmu – kontemplacyjnego lub politycznego. Zorba nie wierzy w nic. A raczej podejrzewa każdą ideę, że jest maską popędu władzy i chęci ograniczenia cudzej wolności: „Bzdury! – krzyknął ze złością. – Wstyd! Chłopcze, kiedy wreszcie człowiek stanie się człowiekiem? Nosimy spodnie, kołnierzyki, kapelusze, a nadal jesteśmy mułami, wilkami, lisami, świniami. Twarze mamy podobno od Boga! Kto? My? Z tymi naszymi mordami?".

Pozycja kobiety w wiejskiej społeczności Krety najostrzej demaskuje pozorne człowieczeństwo. Panowanie nad kobietą jest w tej powieści przedstawiane na wiele sposobów, ale najbardziej brutalnie ukazuje to śmierć drugiej wdowy, Surmeliny. Cała męska społeczność wsi pożąda jej ciała. Kiedy odtrącony przez nią wnuk Mawrandonisa popełnia samobójstwo, wieś chce wdowę ukamienować. Zorbie nie udaje się jej ocalić: „Stary Mawrandonis spadł na nią jak błyskawica, przewrócił ją, trzykrotnie owinął jej włosy wokół swego nadgarstka i jednym ciosem noża odciął jej głowę. – Biorę tę zbrodnię na siebie! – zawołał, odrzucając głowę na próg kościoła. I przeżegnał się".

Dionizos przeciw Patriocie

Jeśli ktoś czytał „Greka Zorbę" dawno albo widział tylko film Kakojanisa i ma przed oczyma roześmianą twarz Anthony'ego Quinna, proponuję, aby zaczął lekturę od rozdziału XX. Zobaczy tam mroczne tło polityczne powieści o urodzie śródziemnomorskiego życia. Zorba-patriota brał udział w walkach partyzanckich o niepodległość Grecji. Mordował Turków i Bułgarów w sposób niezwykle okrutny. Ma na sumieniu wiele istnień i jego afirmujący życie pesymizm można pojąć dopiero, kiedy znamy jego rodowód.

Zorba współczuje człowiekowi, ale w niego nie wierzy. Jest bliżej natury niż jego uduchowiony Szef, ale w równym stopniu nie wierzy człowiekowi naturalnemu, co cywilizowanemu. Obaj dystansują się od politycznego zaangażowania w służbie Grecji. Dla intelektualisty prowadzenie kopalni ma być częściowym odkupieniem bezproduktywnego życia „gryzipiórka". Zorba wyleczył się z patriotyzmu: „Teraz, gdym nabrał już trochę rozumu, zastanawiam się, jakiż to szał każe nam rzucać się na innych i ich kąsać – ludzi, którzy nic nam nie zrobili – obcinać im uszy, rozpruwać brzuchy i wzywać Boga, żeby nam w tym pomagał, to znaczy, żeby on też obcinał nosy i uszy i rozpruwał brzuchy! (...) W młodości człowiek jest zwierzęciem, dziką bestią pożerającą ludzi! – Potrząsnął głową. – Zjada jagnięta, kury i prosięta, ale nasyci się dopiero, gdy zje człowieka – dodał, zgniatając niedopałek w spodku. – Dopiero wtedy ma dość!".

Zorba nienawidzi polityki i wojny, bo są dla niego maskami śmierci naturalnej, tzn. takiej, która niweluje znaczenie jednostkowego życia w imię racji zbiorowości: partii, narodu, gatunku, rasy. Narrator, pozorny buddysta, pragnie wyzwolenia z jakiejkolwiek iluzji, a zarazem obawia się, że wyzwolenie doprowadzi go do rezygnacji, do jeszcze większej pasywności. Z tego impasu wyzwala go Zorba swoim antydogmatycznym, indywidualistycznym, zbratanym z każdą istotą zaangażowaniem w życie; konkretne, rzeczywiste, bez nadziei na inne.

Łatwo uczynić z Zorby symbol powierzchownego hedonizmu, fetyszystycznego celebrowania każdej drobiny życia. Tymczasem u źródeł powieści leży egzystencja i polityka jako największe wyzwania stojące przed myślącym i czującym człowiekiem. Z tego źródła wyrastają kluczowe zagadnienia, z którymi zmagają się w rozmowach Szef i Zorba: jak żyć radośnie, ale bez nadziei, jaką daje wiara, i bez lęku przed śmiercią? I jak żyć w ten sposób z innymi, będąc pożytecznym dla wspólnoty?

Kazantzakis daje na nie najmocniejszą odpowiedź w postaci Zorby, wywiedzionej z nietzschańskiego człowieka tragicznego, który tańczy na własnym grobie. Największym wyzwaniem dla kogoś, kto głosi pochwałę życia, jest powiedzieć „tak" – radośnie i afirmująco – bytowi całemu, razem z jego obojętnością, naturalnym i wymyślonym przez człowieka okrucieństwem i niesprawiedliwością. Szef jest w stanie to uczynić w osłonie buddyjskiego współczucia, we wspólnocie cierpienia ze wszystkim, co żyje i cierpi. Zorba odrzuca buddyzm. Mówi światu „tak", ale u niego to przysłówek, który wskazuje nie na rozwiązanie, ale na sposób życia, na szalone, miłosne zaangażowanie w byt – tak to należy robić.

> Starość jako czas wyczerpania ludzkich pragnień nie istnieje w „Greku Zorbie". Młodsi i starsi mają w sobie nieustanną gotowość do miłości, namiętności, celebrowania uroków życia. **Pragnienia się nie starzeją.**

Zorba przypomina starożytnego Greka, który w odpowiedzi na aporię Zenona o nieistnieniu ruchu wstał i zrobił kilka kroków. Tak robi Zorba wobec bezradności rozumu i mowy. Artykulacją jego filozofii życia jest taniec. To jego mowa Zaratustry; jego Kazanie na Górze.

Bo też nie chodzi Kazantzakisowi o rozwiązanie własnych dylematów egzystencjalnych, ale o generalną naukę życia. Jak pisze Ilias Wrazas w znakomitej książce „Zbawca Boga. Kuszenia Nikosa Kazantzakisa" (fragment przedrukowano jako wprowadzenie do edycji w Znaku), autor „Greka Zorby" nie chciał być tylko pisarzem, ale dostarczać historii i polityce samorozumienia za pomocą literatury; odsłaniać tajne pismo wielkich przełomów politycznych. Wielcy przywódcy to dla niego maski Boga. Dionizos, Zaratustra, Chrystus, Mojżesz, Budda, a nawet Lenin. „Istota jest ta sama, wieczna istota człowieka, ulepiona z nadziei i lęku; zmieniają się tylko imiona".

Jest w tym coś podejrzanego. Poszukiwanie „autentyczności" życia poza małym egoizmem prywatnego życia domowego, jak również poza polityką systemową wydaje się projektem apolitycznym, a więc wolnym od przemocy. Tymczasem, jak przenikliwie pisze Wrazas: „Nie da się oddzielić pragnienia wewnątrzświatowego zbawienia i dążenia do wolności od pragnienia przebudowy świata". Aktywizm Zorby ma negatywny impet pogardy dla liberalnych cnót życia w demokratycznych wspólnotach. Gotów jest zbratać się z każdą antymieszczańską doktryną, która głosi konieczność odzyskania doświadczenia autentycznej egzystencji, tłamszonej normami i konwencjami. Sam autor miotał się między zaangażowaniem politycznym a poszukiwaniem pozaludzkiej pozycji Boga. II wojna położyła brutalny kres tym dywagacjom, jego rodzinnej Krecie przyniosła ogromne cierpienia i zniszczenia, a z niego zrobiła światowego pisarza. Swoje najważniejsze powieści wydał po wojnie.

Polak Zorba

„Trzymaj dystans, szefie, dobrze ci radzę!" – brzmi jedno z głównych przykazań politycznych Zorby. Myślę o tym dystansie wobec wspólnych ludzkich spraw, czyli polityki, patrząc na zdewastowaną polską scenę publiczną, zwłaszcza zaś na erozję lub niszczenie autorytetu instytucji publicznych. Reżim PRL-owski niszczył ludzi, instytucje były jednak dla komunistów ważne, było więc w nich miejsce nie tylko dla swoich. Obecnie patrzymy na głęboki kryzys instytucji państwa. Niebezpieczny podwójnie. Bo dopiero uczymy się je cenić, jako że na instytucjach w Polsce ciąży brzemię kolejnych obcych reżimów, które nimi władały. Po drugie dlatego, że bez nich jesteśmy słabi wobec bezprawia i niesprawiedliwości, obnażeni w kruchości naszych ciał, którymi musimy – zamiast prawem i procedurami – dochodzić swoich racji w manifestacjach i protestach.

Od wolności politycznej wciąż bardziej cenimy indywidualną. Polak Zorba jest piewcą wolności indywidualnej. Ostatnia lektura „Greka Zorby" uświadamia mi, że dokonaliśmy w Polsce sprywatyzowania wolności politycznej. Wolność słowa, obiektywne media publiczne, wolny rynek, dostęp do kultury i edukacji, swoboda podróżowania zostały przez większość Polaków uznane za atrybuty życia osobistego – własność jednostek i wspólnot rodzinnych – a nie za wspólne dobro, o które państwo powinno dbać. Ten potworny błąd wynika z iluzji życia niepolitycznego, czyli przekonania, że można wieść życie w dystansie do polityki, poza jej granicami, gardząc nią, lekceważąc lub obdarzając zainteresowaniem w dniu wyborów. ↦

↦ Ta powieść sprzyja, wręcz afirmuje taką postawę – projekt życia niepolitycznego. Aby uchwycić sens tego błędu, warto przywołać greckie początki demokracji, w której życie ludzkie, *bios*, oznaczało właśnie życie polityczne, rozumiane jako życie z innymi w sposób wolny, pozbawiony przemocy, którą zastępują prawa i retoryka jako sposób dochodzenia swoich racji i przekonywania do nich innych. Spośród rozmaitych odmian tego życia najbardziej godne uznania zdaniem Arystotelesa jest „życie poświęcone sprawom *polis*, w którym doskonałość prowadzi do pięknych czynów; wreszcie życie filozofa poświęcone badaniu i kontemplacji rzeczy wiecznych" (Hannah Arendt, „Kondycja ludzka", przeł. Anna Łagodzka). Takie życie starają się wieść w powieści Szef – filozof i poeta, oraz jego nieobecny przyjaciel Yannis Stavridakis, który wybrał życie czynne w służbie prześladowanych na obczyźnie Greków.

Zorba je kwestionuje i umieszcza siebie oraz Szefa w miejscu pomiędzy prywatnym i politycznym, na brzegu morza, w przestrzeni rozmowy, przyjaźni, upojenia, praktykowanej bliskości z ludźmi i naturą. Nie dbają o dobra osobiste ani publiczne. Nie ufają ani jednej, ani drugiej formie ludzkiego życia. Przekaz jest jasny. Stając się częścią wspólnoty rodowej, narodowej lub politycznej umierasz za życia, grzebiąc bezpowrotnie najcenniejszy dar, jaki dostajesz na tej ziemi – zdolność odnawialnego co dzień doświadczania przeżywania życia, ekstatycznie, bez hamulców innych niż współczucie dla wszystkiego, co żyje.

Ostatecznie projekt życia niepolitycznego kończy się katastrofą, którą może jedynie opowiedzieć instytucja zwana literaturą. Krzywimy się, kończąc powieść, że Szef okazuje się jednak tchórzliwym – jak my, jak my – gryzipiórkiem, bardziej zatroskanym o kulturę, prawo, demokrację, szkolnictwo niż o odzyskanie poczucia pełni własnego życia. A jednak dziś nie tylko ze smutkiem, ale także ze sporą ulgą żegnam Zorbę, niebezpiecznego nauczyciela.

„Dobranoc Szefie. Wstał, szybkim krokiem odszedł po żwirze, nie obróciwszy się ani razu. Dotarł do linii piany i zniknął mi z oczu w ciemności".

© RYSZARD KOZIOŁEK

Atrakcje i przynęty

DARIUSZ KOSIŃSKI

William Shakespeare jako najważniejszy z klasyków stanowi nieodrzucalny argument za koniecznością istnienia instytucji teatru. Jak go nie będzie, zostanie tylko milczenie. Czy na pewno?

Powiedzenie, że Shakespeare jest teatrem, to nie jakaś przesadna pochwała, ale skrótowy opis realnego procesu historycznego. W jego trakcie i wyniku nowożytny teatr europejski wytworzył siebie przy pomocy Williama Shakespeare'a, jednocześnie ustanawiając go swym najważniejszym twórcą. Ogłuszeni powtarzanymi od ponad dwóch stuleci zachwytami zapominamy, że jego „ponadczasowa wielkość" to produkt historyczny i to całkiem świeżej daty. Jeszcze na początku XIX w. dramaty „barbarzyńskiego geniusza" wprowadzano na sceny wielu krajów (w tym Polski) w przeróbkach korygujących ich artystyczne, obyczajowe i moralne defekty. To dopiero stulecie pary, elektryczności i teatru uczyniło zeń niekwestionowaną wielkość.

Teatr globu

Nowożytny europejski (a wkrótce – na skutek kolonizacji – globalny) teatr dramatyczny, czyli to, co zwykliśmy nazywać po prostu „teatrem" i uważać za „właściwą" formę sztuki scenicznej, ustanowił się dzięki Shakespeare'owi nie jako jedna z form oderwania od codzienności polegająca na atrakcyjnym odgrywaniu wciągających i budzących emocje opowieści, ale jako prawdziwa Sztuka, zarazem przybytek dziedzictwa kulturowego, wymagającego ciągle odnawianego dialogu i fachowców nim właśnie się zajmujących.

DAWID LINKOWSKI / GDAŃSKI TEATR SZEKSPIROWSKI X2

Spektakle „Otello" Oskarasa Koršunovasa i „Billy's Violence" Jana Lauwersa

Oto paradoks: Shakespeare, który pisał dla bardzo konkretnej, wyłącznie współczesnej i znanej sobie bezpośrednio publiczności, stał się filarem instytucji, która na publiczność uogólnioną i nieznaną nakłada kulturalny obowiązek zapoznawania się z „dziedzictwem". Jako najważniejszy z klasyków stanowi nieodrzucalny argument za koniecznością istnienia instytucji teatru. Gdy nie będzie teatru, nie będzie Shakespeare'a na scenie. Pusty balkon Julii, Las Birnamski stoi w miejscu, słodki książę śpi na wieki. Reszta jest już tylko milczeniem.

Podtrzymując cały współczesny system teatru dramatycznego, Shakespeare umożliwił też wytworzenie jego szczególnych instytucji, na czele z bodaj najsłynniejszą – Royal Shakespeare Company. W Polsce przyczynił się do powstania Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego – wymyślonego i stworzonego dzięki uporowi profesora Jerzego Limona. Zmarły przedwcześnie na COVID-19 w marcu tego roku anglista i teatrolog zdołał dokonać rzeczy prawdziwie niezwykłej i godnej zazdrości: przekuł swoją pracę badawczą nad historią szekspirowskich przedstawień w dawnym Gdańsku w ideę „odbudowania" istniejącej niegdyś sceny, na której je pokazywano.

W efekcie powstał nowoczesny gmach, w codziennym użytkowaniu niekoniecznie najwygodniejszy i o dość problematycznym związku z teatrem Shakespeare'a, ale skutecznie funkcjonujący jako wychwalana atrakcja. Artystycznym uzasadnieniem funkcjonowania tej ogromnej sceny bez własnego zespołu artystycznego jest przede wszystkim Festiwal Szekspirowski odbywający się co roku latem, na początku sierpnia.

To właśnie jego tegoroczna, 25. edycja dała możliwość, by w stosunkowo krótkim czasie zobaczyć dwa nowe przedstawienia reżyserów uznawanych za przedstawicieli tego, co w dzisiejszej sztuce teatralnej najlepsze.

W rozkroku

Przedstawienia mistrzów współczesnego teatru: „Otello" Oskarasa Koršunovasa i „Billy's Violence" Jana Lauwersa, przy wszystkich zasadniczych i oczywistych różnicach wiele łączy. Wspólne jest im budowanie napięcia między poetyckim słowem i naładowaną kontrznaczeniami choreografią i muzyką. Wspólna wielofunkcyjna scenografia wydobywająca pełnię możliwości tego, co na scenie zgromadzono. Wspólne wysokie wymagania fizyczne i energetyczne stawiane aktorom. Wspólne wykorzystywanie kreacyjnej dramaturgii teatralnej, przepisywanie Shakespeare'a, dopisywanie mu słów własnych, improwizowanie tekstów i sytuacji na jego motywach.

Z tej dwójki z Shakespeare'em mocniej kojarzony jest Koršunovas – litewski reżyser mocno średniego pokolenia (rocznik 1969), w Polsce dobrze znany zarówno z festiwali, jak i z tworzonych na naszych scenach inscenizacji. Podobnie jak wielu twórców o podobnym statusie, w swoim wileńskim Oskaro Koršuno Teatras (OKT) produkuje we współpracy z europejskimi instytucjami przedstawienia, które od początku mają przeznaczenie festiwalowe i objazdowe. Typowym przedstawieniem tego rodzaju jest właśnie „Otello" zrealizowany we współpracy z festiwalem w Awinionie i z przeznaczeniem na ten festiwal. W PR-owych komentarzach do przedstawienia aż roi się od wmawianych widzom odniesień do współczesności (na przykład Jago to rzekomo influencer, a dla przedstawienia kluczowe ma być osadzenie akcji w bazie wojskowej).

Koršunovas – twórca „Otella" jawi się jako sprawny kreator atrakcyjnych scen, które równie sprawny i atrakcyjny zespół wykonuje z odpowiednim ładunkiem ↦

↦ energii i dynamiką. Ich prawdziwą paradą jest pierwsza część spektaklu obejmująca materiał z trzech pierwszych aktów szekspirowskiego tekstu. Od napakowanych aluzjami do współczesnej popkultury rozmów Jagona (Saulius Ambrozaitis przekonująco tworzący scenicznego sobowtóra serialowego Lokiego) z Roderigiem (Karolis Norvilas, tym razem w wersji latino), przez stek współczesnych wyzwisk rasistowskich wyrzucanych przez wściekłego Brabancja (Aurelijus Pocius) i parodię newage'owego szkolenia rekrutów, po „poetycką" sekwencję miłosną między dwiema kobietami, przesuwają się przez scenę kolejne teatralne memy, które, owszem, przez chwilę frapują lub bawią, ale nie układają się w jakąś sensowną całość.

Wewnętrzne sprzeczności tak skomponowanego przedstawienia dobrze pokazuje decyzja, by w roli Otella obsadzić czarnoskórą kobietę (Oneida Kunsunga-Vildžiūnienė). Oczywiście można założyć, że aktorki mogą grać męskie role, bo mają odpowiedni talent i warsztat, a wcale nie musi z tego nic wynikać dla interpretacji, ale wtedy jednak trzeba się na coś zdecydować i zainscenizować ów brak dodatkowych znaczeń. Tymczasem Koršunovas w większości przedstawienia traktuje Otella jako postać męską „po prostu" graną przez kobietę, ale dodaje „atrakcję specjalną" w postaci homoerotycznego aktu, a w komentarzach opowiada o rasizmie, którego skutków doświadczać miała wychowana na Litwie aktorka.

Gdy w końcu (w drugiej części) usiłuje wytworzyć jakąś sensowną linię działań, okazuje się, że nie bardzo ma na czym budować. Wciśnięte w kieszenie ręce Otella i jego wojskowa postawa nie tłumaczą, czemu doświadczona przez dominujący i wrogi jej system ciemnoskóra lesbijka postanowiła nagle całkowicie zawierzyć swojemu oczywistemu wrogowi – białemu heterykowi. A już zupełnie nie wiadomo, co ma z tym światem wspólnego straszliwie manieryczna i w najgorszym guście wykrzywiająca się i śmiejąca z wyższością postać kobieca uosabiająca jakąś (jaką?) siłę „metafizyczną" ciążącą nad całym tym światem.

Niestety, typowość „Otella" Koršunovasa polega też na tym, że stanowi on przykład bolesnego rozdwojenia, na które cierpi współczesny teatr dramatyczny. Uzasadnieniem dla jego istnienia jest dziedzictwo „wielkiej klasyki", którą musi wystawiać, a którą jednocześnie musi – jako nieuchronnie historyczną – modyfikować i „uatrakcyjniać". Oglądając takie przedstawienia, nie obcujemy ze scenicznym wykonaniem dramatu Shakespeare'a, ale też nie z autorskim przedstawieniem autonomicznego artysty teatru. W najlepszym przypadku obcujemy z nowym wykonaniem cudzego przeboju, rodzajem teatralnego coveru. Nie musi on mieć autonomicznego sensu, bo jego zasadniczą wartością jest – zrobić inaczej, a zasadniczą przyjemnością – rozpoznać odmienność. To specjalna atrakcja dla specjalnej publiczności – festiwalowych bywalców, konsumentów wszelakich dóbr kultury, żyjących w jej obiegu i niekoniecznie martwiących się relacją między nim a innymi warstwami rzeczywistości – przeszłej i obecnej.

Shakespeare bywa kulturową przynętą. Zostaje świadomie wykorzystany nie tylko jako twórca, ale i jako marka. „Chodźcie! Gramy geniusza!".

We krwi

W zestawieniu z tym „Otellem" przedstawienie Jana Lauwersa i jego Needcompany wydaje się reprezentować zupełnie inny nurt współczesnej sztuki scenicznej. Wyrastając bardziej z tańca i *performance art*, twórczość Lauwersa ma nieusuwalne znamię indywidualności jego i jego współpracowników. „Billy's Violence" nie jest inscenizacją żadnej ze sztuk Shakespeare'a, ale autorską wariacją na temat dziesięciu jego dramatów. Shakespeare nie jest nawet autorem tekstu. Napisał go Victor Afung Lauwers, wykorzystując oczywiście fragmenty oryginału, ale konsekwentnie rozbijając je i rozrywając. Gdyby kontynuować analogie muzyczne, można by powiedzieć, że jak „Otello" był coverem, tak „Przemoc Billy'ego" to autorski remiks, w którym fragmenty „ścieżek" wyjęte z dzieł Shakespeare'a zostają umieszczone w innym porządku i zestawione z innymi „ścieżkami" i „beatami".

W kolejnych dziesięciu sekwencjach, których tytuły to imiona wyłącznie kobiecych bohaterek, mierzymy się z kolejnymi obliczami przemocy, w tym z przemocą językową, której nośnikiem jest oryginał. Grając z naszą pamięcią, Lauwersowie wydobywają nie tyle okrucieństwa Shakespeare'a, ile działające w nas mechanizmy związane z oglądaniem przemocy. Stosując ją wobec aktorek i aktorów, wykorzystują sytuację teatralną do umieszczenia nas w bardzo dwuznacznej moralnie pozycji.

Kiedy na przykład oglądamy swoisty skrót męczarni, jakich zaznała bohaterka „Tytusa Andronikusa", nagle orientujemy się, że jesteśmy biernymi świadkami przemocy – i to seksualnej – wobec aktorki, poniżanej i jak najbardziej realnie dręczonej na naszych oczach. Jaki rodzaj umowy powoduje, że brak reakcji wydaje się „właściwy"? Co z kolei wywołuje śmiech w trakcie słuchania piosenki sepleniącej Ofelii – nierozgarniętej pokraki, z której kpi okrutnie, namawiając do samobójstwa, przystojny i pewny siebie Hamlet? A co sprawia, że gdy Romeo i Julia bez zahamowań rozwalają idealistyczne wyobrażenia o czystej miłości, czerpiąc seksualne podniety z czynności fizjologicznych, wzdragamy się z obrzydzenia?

Lauwers nie pyta o Shakespeare'a, ale używa tej najwyższej teatralnej marki, by uruchomić namysł nad mechanizmami fascynacji przemocą, fascynacji oczywistej współcześnie, a prawdopodobnie oczywistej też w czasach elżbietańskich. Więc może ponadhistorycznej? Mówiącej coś o – *horribile dictu* – człowieczeństwie? Tak chyba zdają się sugerować twórcy, ale z tym zastrzeżeniem, że nie o samą przemoc tu chodzi, lecz o to, co się przez nią ujawnia.

Finałem trudnego chwilami do zniesienia przedstawienia jest wspaniały lament Imogeny nad skrwawionym ciałem ukochanego. Skrajna przemoc, która zalała biały postument i ciała aktorów teatralną krwią, okazuje się drogą do zaskakująco wzniosłego wyznania równie skrajnej miłości – jakby to dopiero przemoc i utrata realnego obiektu mogła ją w pełni wyzwolić. Teatralny afekt, jaki budzi ta scena stanowiąca ukoronowanie podróży przez okrucieństwo, jest porażający. Na tyle, że można wybaczyć męczące dłużyzny tekstowe (Victor Afung Lauwers to nie Shakespeare, oj nie), jednostajność dramaturgii dokuczającą

zwłaszcza w pierwszej godzinie i niekoniecznie najwyższą jakość aktorskich energii. Ten afekt wzbudzony przez finał sam w sobie jest zastanawiający, bo skoro miłosny lament nad zamordowanym działa, to może rzeczywiście dochodzi do wydobycia jakichś ukrytych mechanizmów, a teatr staje się narzędziem poznania i miejscem myślenia?

Nawet jeśli tak jest, to owo poznanie nie wydaje się mieć wiele wspólnego z tym, jakie wiąże się zazwyczaj z teatrem i jego największym twórcą. Teatr – nowożytny, europejski, „właściwy" – nie bez powodu wciąż odwoływał się do metafory *theatrum mundi*, zapewniając widzom pozycje niemal boskich obserwatorów, którzy oglądali doprowadzone do końca i odpowiednio skomentowane losy postaci utworzonych na ich obraz i podobieństwo. Lauwers nie pokazuje teatru świata, ale wykorzystuje przedstawienie, by uruchomić w nas procesy, które są właściwym tematem i celem jego działania. Shakespeare jest tu, powiedzmy, kulturową przynętą. Zostaje świadomie wykorzystany nie tylko jako twórca, ale i jako marka. I właśnie użycie go w tej funkcji, niezależnie od skuteczności całej procedury, jest problematyczne.

Podobnie jak cała ta produkcja. Nie wiem, jak wyglądał proces pracy, jak aktorki i aktorzy odnosili się do przemocy, którą zadają i której doświadczają na scenie. Wierzę, że wszystko odbywało się za ich zgodą, ale zarazem nie mogłem uciec od podejrzliwości i wrażenia dwuznaczności. Znamy dobrze te argumenty: to dorośli ludzie i wiedzą, co robią. Ale jak działała na stopień ich przyzwolenia perspektywa prezentacji na wielkich festiwalach i światowego objazdu z zespołem o międzynarodowej sławie? A jeszcze dalej i bardziej bezpośrednio: jak ma się ten tryb prezentacji – w wyróżnionych miejscach, przed wybraną, ekskluzywną publicznością – do procesu, który, jak mniemam, chce się tu uruchomić? Czy proces ten jest wart wszystkich trudów, jakich wymaga?

Nie wiem. Ale gdy festiwalowa publiczność zaczęła bić brawo, a umazani na czerwono, obnażeni, wykończeni fizycznie aktorzy zaczęli się kłaniać, demonstrując swój „profesjonalizm", czym prędzej wyszedłem. Na zewnątrz kończyła się burza. Powietrze było rześkie. © DARIUSZ KOSIŃSKI

STEPHANE CARDINALE / CORBIS / GETTY IMAGES

Leos Carax na festiwalu filmowym w Cannes. Francja, 6 lipca 2021 r.

Czuły barbarzyńca

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Wchodzący właśnie do kin musical „Annette" to ukoronowanie kariery wybitnego francuskiego reżysera, który potrafi ciągle wynajdywać siebie – i kino – na nowo.

↦

Piękny dwudziestoletni: na przełomie lat 70. i 80. Leos Carax żyje tak, jakby za wszelką cenę chciał pójść w ślady twórców francuskiej Nowej Fali. Pisze dla „Cahiers du cinéma" i podobnie jak Jean-Luc Godard oraz Claude Chabrol silnie inspiruje się amerykańskim kinem.

Pierwszy tekst, jaki publikuje na łamach legendarnego miesięcznika, to entuzjastyczna recenzja „Paradise Alley" (1978), zapomnianego dziś debiutu reżyserskiego Sylvestra Stallone'a. Zachwyca się też „Barwami ochronnymi" (1976) Krzysztofa Zanussiego, których przegadanie uważa za świetny chwyt, nieco paradoksalnie przypominający o naczelnej roli obrazu w filmach. Teksty nastoletniego Caraxa, niepozbawione poetyckiego naddatku, stanowią wyznanie wiary w kino, ale mają też posmak manifestów. Młodziutki autor czuł, że to on wie najlepiej, czym powinna być dziesiąta muza. To szalone, buńczuczne i godne podziwu przekonanie nigdy go nie opuści.

Krok drugi w karierze aspirującego nowofalowca to realizacja krótkiego filmu („Strangulation Blues" z 1980 r.), krok trzeci – wymarzona pełnometrażowa fabuła. Najchętniej dziejąca się w Paryżu i przypominająca nam w co drugiej scenie, że wyszła spod ręki prawdziwego kinofila. „Chłopak spotyka dziewczynę" (1984), czarno-biały uwodzicielski debiut Caraxa, wpisuje się w tę tradycję z nawiązką. Ale przecież w latach 80., przeszło dwie dekady po debiucie François Truffauta, to już trochę za mało. Trzeba zrobić coś jeszcze, na przykład stworzyć bohatera, który będzie odbiciem człowieka stojącego za kamerą – idealnie, gdyby i on był początkującym artystą.

Alex grany przez Denisa Lavanta, raczej marzący o robieniu filmów, aniżeli zabierający się do działania, wprowadza do twórczości reżysera rys autobiograficzny. „Chłopak spotyka dziewczynę" zostaje dostrzeżony przez francuskich estetów. W połowie lat 80. wiele wskazywało na to, że Carax znajdzie sobie odpowiednią niszę, będzie dopracowywał swój charakter pisma i zajmie ważne miejsce wśród pogrobowców Nowej Fali. Kino miało jednak na niego inny pomysł.

Leos Carax kręci filmy rzadko – średnio jeden na dziesięć lat. Stroni od mediów, prawie nie udziela wywiadów. Pojawia się na chwilę i szybko znika, jak kometa, na powrót której szykujemy się przez długi czas. Wyjdzie do ludzi z okazji premiery swojego nowego dzieła, powie kilka zdań, znowu się schowa. Jest zagwozdką dla badaczy i dokumentalistów, którzy chcieliby rozszyfrować jego opowieści.

MATERIAŁY PRASOWE

Denis Lavant w filmie „Holy Motors" Leosa Caraxa z 2012 r.

Małomówność Caraxa nie wynika chyba z nieśmiałości, choć patrząc na szczupłą, kruchą sylwetkę twórcy, można odnieść wrażenie, że wycofanie i okulary przeciwsłoneczne chronią go przed ciosami, które mogliby zadać mu gruboskórni krytykanci. Duże ego i chorobliwa ambicja z jednej strony, a z drugiej – profilaktyczne chowanie się do nory, zaszywanie się w świecie, w którym rządzą tylko prawa jego wyobraźni. To pierwsza z brzegu sprzeczność charakteryzująca Caraxa, jednego z najbardziej zagadkowych współczesnych reżyserów.

Wynaleźć kino na nowo

Carax (ur. 1960) pojawił się zarazem zbyt późno i zbyt wcześnie. Nie załapał się na epokę żarliwej kinofilii lat 50., kiedy dla grupy bystrych i utalentowanych młodzieńców z Paryża filmy naprawdę były esencją i celem życia. W latach 80., kiedy wszedł szturmem do świata francuskiego kina, nastała już inna epoka. Emblematyczne stały się dla niej wideo, teledyski, postmodernistyczny eklektyzm i brak zaufania wobec obrazu, który przestał być bramą do wyższej rzeczywistości, a stał się specyfikiem uzależniającym i ogłupiającym pasywne społeczeństwo. Kinofilia podkuliła ogon. Adorację srebrnego ekranu zastąpiły pesymizm i wątpliwości co do natury spektaklu, wirtualności i nowych mediów. W tym zaśmieconym bodźcami krajobrazie Carax będzie próbował przywrócić kinu godność i moc oddziaływania.

Okaże się, że z wieloma pomysłami pojawi się za wcześnie, niejednokrotnie konfudując widzów, ale zdobywając także po drodze grupę wyznawców, dla których od lat pozostaje postacią kultową. Niezrozumiane w momencie premiery filmy reżysera, na czele z „Kochankami na moście", nie tyle świetnie się zestarzały, ile wydają się przeżywać drugą młodość, trafiając do nas bardziej bezpośrednio niż przed ćwierćwieczem, kiedy hybrydyczną, nabrzmiałą od cytatów narrację zaczynaliśmy dopiero po omacku rozpoznawać. To, co wyglądało wówczas na fanaberię Caraxa, inscenizującego rapsodię o bezdomnych śpiących na moście, po latach okazało się celną diagnozą nomadycznej ponowoczesności.

W przypadku tego twórcy możemy wesprzeć się tylko pokrętną logiką. A zatem: wyprzedzanie swoich czasów wychodzi Caraxowi tak dobrze, ponieważ obsesyjnie powraca on do przeszłości i początków kina. Migające światło projektora, nieme obrazy, monochromatyczne kształty układające się w balet ciał i przedmiotów – to składniki fetyszystycznej i głęboko przenikającej francuską kulturę filmowej mitologii.

Nie wiem, czy Carax zna słynną definicję kina ukutą przez Karola Irzykowskiego („jest to widzialność obcowania człowieka z materią"), ale jego twórczość wypływa wprost z tej filozofii. Odpowiedzią na kryzys obrazu i medialną dezorientację końcówki XX wieku stał się

dla Francuza powrót do korzeni, czyli do wczesnych, ludycznych lat kinematografu, kiedy dla braci Lumière i Georges'a Mélièsa był on cudowną zabawką. Carax także włączył się do zabawy, z oddaniem i poczuciem humoru szukając nowych estetyk i sposobów opowiadania.

Szybko znalazł swoje medium. Stał się nim Denis Lavant, aktor obdarzony nietuzinkową fizjonomią, dostosowujący się do nawet najdziwniejszych ekranowych sytuacji i grający całym ciałem: pierwotny zwierz, który zapomniał o latach socjalizacji. Krępy, z dzikim wzrokiem i ostrymi rysami twarzy, Lavant przemierza „Złą krew" (1986) – drugi film reżysera, m.in. o wirusie atakującym ludzi, którzy uprawiają seks bez miłości – jak czuły barbarzyńca, który umie przekazać swoje myśli i emocje tylko poprzez ruch, gest oraz bieg. Lavant biega zresztą we wszystkim filmach twórcy, rozpychając ramy kadru swoją energią i nieoczekiwaną delikatnością.

Aktor połączył role kaskadera, kochanka i burleskowego klowna, kreując w pierwszych trzech filmach reżysera postać Alexa, interpretowanego często jako jego *alter ego*. W „Holy Motors" (2012), swoim ostatnim jak dotąd występie u Caraxa, Lavant gra Pana Oscara, tajemniczego bogacza, który podróżuje po Paryżu limuzyną i wciela się w rozmaite postaci: żebraczkę, gangstera, ojca nastolatki, umierającego mężczyznę. Potrzeba nieustannej metamorfozy zostaje tu podniesiona do rangi zasady twórczej. Zmienność i fikcja okazują się nam potrzebne do życia tak samo, jak woda i powietrze.

Filmy przeklęte

W latach 80. reżyser próbował wynaleźć kino na nowo, odzyskać jego zapomnianą intensywność i prostotę. Lavant był u niego wspaniałym monstrum, performerem i magikiem, który swoją mimiką oraz akrobatycznymi wyczynami przypominał o filmie niemym, tej najbardziej onirycznej przygodzie wielkiego ekranu. To właśnie twarze i ciała są u Caraxa najważniejsze. W „Złej krwi" (1986) przeciwwagę dla żywiołowego Aleksa stanowią Juliette Binoche i Julie Delpy, obdarzone alabastrową cerą i jaśniejące w świetle kamery jak diwy ze starych melodramatów.

Choć filmy reżysera krążą w obiegu autorskim i festiwalowym oraz operują wyrafinowaną estetyką, Carax tworzy tak, jakby chciał dotrzeć do każdego, a w szczególności do dzieci, marzycieli, dziwaków i nostalgików. Intelektualiści będą rozbierać jego dzieła na części pierwsze, ale to widzowie pochłaniający te filmy z szybko bijącym sercem zrozumieją i pokochają ich pierwotną siłę. W „Holy Motors" dostajemy senną wersję tej deklaracji: na początku filmu Leos Carax we własnej osobie budzi się, wstaje z łóżka i wędruje ze swojego pokoju do kina, gdzie zastygła widownia wpatruje się w ekran. Dali się zahipnotyzować cieniom na ścianie? A może śpią naprawdę, obojętni i znudzeni?

> Choć filmy Caraxa operują wyrafinowaną estetyką, to reżyser tworzy tak, jakby chciał dotrzeć do każdego, a w szczególności **do dzieci, marzycieli, dziwaków i nostalgików.**

Wiara w kino raz zaprowadziła Caraxa na manowce. Młody, obiecujący autor z lat 80. stał się jeszcze przed premierą „Kochanków na moście" w 1991 r. artystą przeklętym. Na fali sukcesu „Złej krwi", wpisanej parę lat później wraz filmami Jean-Jacques'a Beineixa i Luca Bessona w efemeryczny nurt filmowego neobaroku, reżyser porwał się na ekstrawaganckie przedsięwzięcie. „Kochankowie na moście" zaczynają się jak dokument o paryskich włóczęgach, by przemienić się w inspirowaną Charliem Chaplinem i Jeanem Renoirem opowieść o romansie dwojga bezdomnych (Lavant i Binoche). Sekwana i najstarszy w mieście, XVII-wieczny most Pont Neuf tworzą olśniewające miejsce akcji, w którym odnajdziemy i chropowatą poezję rynsztoków, i wielkomiejską sztuczność: w kluczowej scenie czarne niebo zostaje przykryte feerią fajerwerków.

Niskobudżetowy Paryż z „Chłopak spotyka dziewczynę" (1984) i futurystyczne, zbudowane w studiu miasto ze „Złej krwi" w trzeciej fabule Caraxa ustępują miejsca gigantycznemu planowi filmowemu. W wyniku trudności organizacyjnych i kontuzji Lavanta budżet „Kochanków na moście" rozrósł się do gargantuicznych rozmiarów: z 32 mln franków do, według niektórych szacunków, 160 mln. Na prawdziwym Pont Neuf udało się zrealizować tylko część zdjęć. Resztę nakręcono na południu Francji, gdzie nieopodal Montpellier wybudowano replikę mostu i otaczający go fragment Paryża. Realizacja rozciągnęła się na lata, zdjęcia parę razy zawieszano. Czas akcji filmu zbiega się z obchodami dwusetnej rocznicy rewolucji francuskiej; udało się go ukończyć dwa lata później. Gehenna produkcyjna doprowadziła na skraj wytrzymałości ekipę i obsadę, a kariera Caraxa załamała się, mimo że premiera filmu była dużym wydarzeniem. Reżyser dołączył do twórców pokroju Francisa Forda Coppoli („Czas apokalipsy") i Wernera Herzoga („Fitzcarraldo"), dla których robienie filmu to raczej straceńcza, absurdalna misja aniżeli zwykła praca.

Może nie mogło być inaczej, może Carax i tak nie uniknąłby łatki *enfant terrible*. Reżyser inspirujący się Arthurem Rimbaudem (od niego pożyczył tytuł „Zła krew"), Edgarem Allanem Poem oraz „przeklętymi" filmowcami, na czele z Jeanem Vigo (zmarłym na gruźlicę po nakręceniu debiutanckiej „Atalanty" z 1934 r.), pozostał dla wielu twórcą manierycznym i lubującym się w wizualnej przesadzie. Sztuka Caraxa płynie ponadto mrocznym nurtem. Wszystkie jego filmy opowiadają o kochankach i miłości, czasem podnoszącej na duchu, częściej jednak zatrutej, gorzkiej, niespełnionej. Jak sam kiedyś powiedział: „Robimy filmy dla zmarłych lub dla upiorów". Dialog z duchami odbywa się u Caraxa tam, gdzie stykają się ze sobą romans, kreacja i, kluczowy w tym imaginarium, Paryż. W stolicy Francji historia kina odbija się echem w każdej uliczce. To miasto nowofalowców, ale też Paryż kryminalistów i kombinatorów znany z „Fantomasa" i „Wampirów", wpływowych seriali Louisa Feuillade'a sprzed ponad stu lat.

Piękno tego aktu

Od czasu „Kochanków na moście" Carax ciągle wynajduje siebie na nowo i przesuwa granice tego, co jest jeszcze w kinie możliwe. Ponura i mniej wystylizowana „Pola X" (1998) sugerowała, że reżyser zerwał z barokowością i rozbuchanymi, oszałamiającymi obrazami. Jak się okaże, niesłusznie. Na jego kolejne dzieło, nie licząc kilku klipów i segmentu w filmie „Tokyo!" (2008) podpisanym przez trzech reżyserów, czekaliśmy 14 lat. „Holy Motors" był sensacją festiwalu w Cannes, ↦

↦ powrotem Caraxa do pierwszej ligi i bodaj jego największym dotychczasowym osiągnięciem.

Jeżdżący białą limuzyną, ekscentryczny Pan Oscar przebiera się, maluje, gra i udaje kogoś, kim nie jest, napędzany przez – jak mówi w często przywoływanej linijce dialogu – „piękno tego aktu". Urok sztuczności, kłamstwa i oszustwa łączy się w „Holy Motors" z namysłem nad dominacją cyfrowych technologii i śmiercią kina kręconego na taśmie, a tym samym – z pożegnaniem ruchomych obrazów rozumianych jako wierne, fotochemiczne odbicie rzeczywistości.

Mija kolejna dekada – i Cannes znowu wstrzymuje oddech. „Annette", spektakularny musical z gwiazdorską obsadą i muzyką braci Rona i Russella Maelów z zespołu Sparks, tylko pozornie stanowi dla reżysera zupełnie nowe otwarcie. Owszem, to jego pierwszy film w języku angielskim, pierwszy oparty na piosenkach i pierwszy umiejscowiony w USA. Ale jako syn amerykańskiej krytyczki filmowej Joan Dupont i francuskiego dziennikarza George'a Duponta, balansowanie między Paryżem a Los Angeles Carax powinien przecież wyssać z mlekiem matki. Muzyka natomiast od początku gra u niego rolę pierwszoplanową.

W pamiętnej scenie ze „Złej krwi" Denis Lavant biegnie w koncertowo zrealizowanym długim ujęciu w rytm „Modern Love" Davida Bowiego. Utwór braci Maelów z zespołu Sparks, którzy zaprosili Caraxa do współpracy nad „Annette", pojawia się już w „Holy Motors". Musical jest też idealną konwencją dla niepoprawnego i chmurnego romantyka, który w historię idealnej miłości potrafi wbić trujące żądło. Carax wciąż robi swoje, choć zawsze inaczej: wypływa z głębin jak wieloryb i sięga w przeszłość kina, by przewidzieć kształt tego, co nas czeka.

© SEBASTIAN SMOLIŃSKI

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Załaskotać na śmierć

ANITA PIOTROWSKA

Zapnijcie pasy. Czeka nas filmowy lot międzygalaktyczny, acz chwilami wcale nie tak odległy od ziemskiej stratosfery.

Kiedy w filmie nakręconym przez kogoś takiego jak Leos Carax zapala się nagle latarnia magiczna, nie może to być jedynie błahy ornament czy rozmyślnie kiczowaty rekwizyt. „Annette" jest bowiem przewrotnym filmem o cudzie kina i sztuki w ogóle, ale także o ich syrenim śpiewie, który tyleż uwodzi, co wodzi na manowce. Który podszyty bywa twórczą udręką i ekstazą, lecz równocześnie sam nie bierze jeńców. Wreszcie – to film, który z operowym patosem konstruuje iluzję i w musicalowym stylu dekonstruuje ją na naszych oczach.

Od początku historia zostaje wzięta w cudzysłów. Niczym podczas seansu pierwszych filmów pojawia się napis proszący widzów o zachowanie ciszy – najlepiej, żeby w ogóle nie oddychali, o co nietrudno w obecnym maseczkowym reżymie. Następnie ze śpiewem na ustach („czy możemy zaczynać?") zmierza ku nam barwny korowód: reżyser, jego córka Nastya, zaangażowani w film muzycy oraz główni aktorzy, którym ktoś podrzuca okrycia wierzchnie, w których za chwilę dla nas wystąpią. To bezpośrednie zaproszenie na seans staje się czymś więcej w czasach pandemicznych – przypomina, czym jest kino w swoim pierwotnym, jarmarcznym, wspólnotowym wymiarze. Dlatego zapnijcie pasy. Będzie to wprawdzie lot międzygalaktyczny, acz chwilami wcale nie tak odległy od ziemskiej stratosfery.

Jak przystało na twórcę kojarzonego z francuskim neobarokiem filmowym, melodramatyczno-sensacyjna fabuła szeleści raczej jak śmieci. On (Adam Driver) jest komikiem estradowym „światowej niesławy" o narcystycznych personaliach Henry McHenry, podczas gdy jego ukochana Ann (Marion Cotillard) śpiewa w operze. Kiedy Henry w swoim *show* pod nazwą „Małpa Boska" zabija publikę niewybrednym śmiechem, Ann każdej nocy umiera w świetle reflektorów, niosąc swoim widzom zbawcze katharsis. Jedno wypina gołe pośladki, drugie spektakularnie krwawi – trudno o bardziej niedobraną i zarazem ekscytującą medialnie parę. Przed nami wściekły byk, który w życiu i na scenie coraz bardziej jedzie po bandzie, a u jego boku krucha, eteryczna diwa. Potężny mężczyzna i słaba kobieta, demon i anioł, niskie i wysokie, przemoc i miłość, biblijne znamię na jego twarzy i takież jabłko w jej ręku – to nie mogło się skończyć po bożemu.

Do tego jeszcze włącza się pamięć o wcześniejszych wcieleniach dwójki głównych aktorów: Cotillard jako tragiczna Édith Piaf w „Niczego nie żałuję" Oliviera Dahana (2007) czy Driver jako sfrustrowany mąż i ojciec w „Historii małżeńskiej" Noaha Baumbacha (2019). Miksuje z tego Carax jedyny w swoim rodzaju koktajl. Niby po prostu kręci musical, kolejny „La La Land", w którym zgodnie z regułą gatunku wszystko jest możliwe i wszystko da się lepiej lub gorzej wyśpiewać: miłość, seks oralny, poród, kłótnię małżeńską, rozprawę sądową, reakcje widowni i pokrzykiwania paparazzich. Ale wznoszą się tu kolejne piętra lub odsłaniają kolejne piwnice; wystawna opera co i raz przenika się z niskobudżetowym horrorem. Zaś pośród przepysznych dekoracji i przeskalowanych emocji, pośród arii i recytatywów (patrz: Simon Helberg jako nieszczęśliwy akompaniator Ann), a zarazem w cudownym świecie mściwych topielic i nocnych nawiedzeń rozgrywa się cichutka opowieść o małej Annette. Niby z przymrużeniem oka, bo przecież dziecko Ann i Henry'ego to mechaniczna lalka o fizjonomii trolla. Sztuczna niczym wszystko wokół, włącznie z celofanowym oceanem, który kojarzy się z wiadomym filmem Felliniego. No właśnie – czy wszystko to Carax uruchamia jedynie dla czczej zabawy w kino?

GUTEK FILM

Marion Cotillard w filmie „Annette" Leosa Caraxa

Zapewne bez tych cytatów i autocytatów perypetie całej tej trójki byłyby czymś na kształt taniej sensacji komentowanej w filmie przez plotkarską telewizję – wszechwiedzącą i opiniotwórczą niczym skarlała wersja antycznego chóru. Pojawia się także osobisty kontekst. Reżyser zadedykował „Annette" swojej nastoletniej córce, której matką była zmarła przedwcześnie rosyjska aktorka Jekaterina Gołubiewa, jakby chciał z pomocą kamery przepracować swoje prywatne sprawy. Niezależnie jednak od osobistych intencji oglądaniu tego filmu ma towarzyszyć silny dysonans.

I tak się dzieje. Bo kiedy Carax bezwstydnie gra na naszych emocjach i, co gorsza, w ogóle się z tym nie kryje, iluzja mimo wszystko działa. Nie chodzi o te dosłowne przebłyski realnego, gdy w telewizyjnych newsach płoną lasy Kalifornii, a bohaterka śni o sześciu kobietach, które na fali ruchu #MeToo oskarżają jej małżonka o stosowanie przemocy. Więcej tutaj waży (auto)terapeutyczna „zła baśń", bowiem przy całej swej umowności potrafi rozdrapać parę naprawdę bolących miejsc. Jest wśród nich dzisiejszy show-biznes jako pole ekonomicznego wyzysku i różnych innych nadużyć. A postać Henry'ego, który przekroczywszy na scenie wszelkie granice, przestaje być śmieszny i targa nim coraz większa zazdrość o ubóstwianą przez publikę Ann, daje najprostszą diagnozę męskości w kryzysie. Takiej, która spogląda w otchłań i dąży do samounicestwienia, a zarazem tworzy sobie z tego własną legendę.

Oskarżenie dotyczy jednak kondycji współczesnego artysty jako takiego – niezależnie, czy swoją niepoprawnością chciałby nas załaskotać na śmierć, czy zbawić w akcie „prawdziwej sztuki", spalając wszystko wokół. Tym oskarżeniem okazuje się właśnie tytułowa Baby Annette, pozbawiona zrazu podmiotowości i własnego głosu, będąca projekcją swoich rodziców (wszak jej imię jest pochodną imienia Ann), to znów siedliskiem wokalnego dybuka. Choć równocześnie pozostaje postacią nie mniej realną niż żywi aktorzy.

Przez prawie dwie i pół godziny Carax opowiada więc historię, która śpiewem komentuje samą siebie i zarazem emocjonalnie rozrywa. Zbliża się reżyser po trosze do Ann, próbując z wysokiego C wzbić się wyżej i wyżej, po trosze zaś do Henry'ego, który na pytanie publiczności, dlaczego został komikiem, odpowiada enigmatycznie, że to „jedyna opcja, by mówić prawdę i przy tym nie zginąć". Współscenarzyści filmu, bracia Ron i Russell Maelowie z amerykańskiego zespołu Sparks wnieśli tu nie tylko ścieżkę dźwiękową – są *spiritus movens* całego przedsięwzięcia. Swymi art popowymi utworami i teledyskami przez osiem lat współpracy zapładniali wyobraźnię Caraxa, przesuwając „Annette" od klasycznego musicalu w stronę autotematycznej rock opery. Brechtowski efekt obcości przenika się zatem z tabloidową pulpą, a intymne wyznanie z reżyserską pychą, co może wzbudzać podejrzliwość albo tumanić, lecz jednocześnie tworzy spektakl o kinie, jakiego dawno w kinie nie było. ©

„ANNETTE" – reż. Leos Carax. Prod. Francja/Meksyk/USA/Szwajcaria/Belgia/Japonia/Niemcy 2021. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 20 sierpnia.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Pierwsza krowa

Western, reż. Kelly Reichardt, USA 2019, MOJEeKINO.pl, przedpremierowo 18 VIII, premiera na VOD 26 VIII

Jakże inaczej wyglądałaby dzisiejsza Ameryka, gdyby XIX-wieczni pionierzy zamiast podbijać kontynent, zajęli się smażeniem racuchów! W ogranej filmowo scenerii dominuje rozczulające tkliwe spojrzenie na szorstką rzeczywistość, bo najważniejsze są tu nieśmiałe marzenia, szacunek wobec natury i piękna męska przyjaźń. Takich westernów dzisiaj potrzebujemy.

2. Savall w Grenadzie

Koncert, reż. Arnaud Lalanne, Francja 2020, Mezzo, 19 VIII, 23.20, 22 VIII, 23.28, 23 VIII, 19.36

Kolejna muzyczna podróż katalońskiego gambisty prowadzi do średniowiecznej Andaluzji. Podczas występu nagranego w twierdzy Alhambra mieszają się brzmienia chrześcijańskie, żydowskie, muzułmańskie, ale także berberyjskie, przywołując wielokulturowy klimat tamtego miejsca i czasu.

3. Rentgen rodzinny

Dokumentalny, reż. Firouzeh Khosrovani, Szwajcaria/Iran/Norwegia 2020, Canal+ Dokument, 21 VIII, 20.00

Jak się dorasta w domu podzielonym światopoglądową barykadą? Mieszkająca na emigracji irańska reżyserka opowiada o przeszłości swoich rodziców – o kosmopolitycznym ojcu naukowcu i matce zafascynowanej Rewolucją Islamską. Z materiałów archiwalnych odtwarza nie tylko skomplikowany obraz rodziny, ale i burzliwą historię swego kraju.

4. Drukowanymi literami

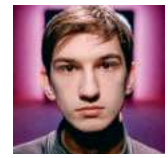

Dramat, reż. Radu Jude, Rumunia 2020, HBO GO

Przenosząc na ekran sztukę Gianiny Cărbonariu opartą na aktach Securitate rumuński reżyser cofa się do wczesnych lat 80. XX w. Bohaterem filmu jest nastolatek piszący na murach wolnościowe hasła, co przynosi tragiczne dla niego konsekwencje. W paradokumentalnej i zarazem teatralnej konwencji film przybliża absurd i grozę tamtych wydarzeń.

JAN

Klata:
Większość z nas

Władza bardzo nie lubi rozstawać się z władzą. Zapewne jest to prawda uniwersalna i ponadczasowa, jednakowoż czasem w jednych krajach prawdziwsza niż w innych, zważywszy sprzyjające okoliczności. Akurat obecnie coraz bardziej wygląda na to, że w Polsce mamy do czynienia z władcą z gatunku dożywotnich. Elżbieta Reasumpcja Witek jest oczywiście ślepym narzędziem do przyklepywania bezprawia, podobnie jak członkowie Bielankommando, kupczący w pokątnych sejmowych kuluarach korupcyjnymi posadkami. Cała Polska widziała, jak wygląda demokracja parlamentarna AD 2021, nawet się pięknie ukłoniła z poselskiej ławy. Będą bisy? Prawdopodobieństwo zaczęło graniczyć z pewnością.

Co jest w tym wszystkim najsmutniejsze? Ciężko wybrać, ale wydaje mi się, że odpowiedzi udzielił Igor Czerniawski, były kolega obecnego polityka Kukiza z legendarnej formacji Aya RL. Artysta nie owija w bawełnę: „Na jego miejscu większość z nas postąpiłaby identycznie". Hmm, śmiała teza, jak przystało na weterana Jarocina, ale może racja? Może opisuje stan naszego społeczeństwa po sześciu latach władztwa tzw. obozu prawicy? Większość wystarczy do rządzenia, reszty nie trzeba. Czym Polki i Polacy kierują się w swoich własnych wyborach codziennych, jakie postawy pochwalają i tolerują, co „jest normalne"? Czy granice tego, co „się godzi", zostały od roku 2015 przesunięte? Jak daleko? Może ktoś to zbada, rezultaty byłyby ciekawe, choć zapewne niewesołe. Co kilka lat ludzie dostają narzędzia, żeby ich codzienna postawa i system wartości odcisnęły piętno na wyborczej kartce. Z tego się biorą „szable" w parlamencie, ministrowie i cała śmietanka elity narodu polskiego. Czym zwiera się zwartą większość? Czego polityk musi się dopuścić, żeby ludziom było wstyd go popierać, żeby nie myśleć, że na jego miejscu zachowaliby się tak samo? Na co nie ma powszechnego przyzwolenia? Kiedy wstyd ich powstrzyma?

Igor Czerniawski twierdzi, że to dopiero początek kukizacji demokracji w Polsce. „Niech to oceni historia, Bóg i jego własne sumienie". Amen. ©

Lektor:
Wyprawa

▪ *Jerzy Szperkowicz*
WRÓCĘ PRZED NOCĄ.
REPORTAŻ O PRZEMILCZANYM
Znak Literanova,
Kraków 2021, ss. 222.

Takie opowieści nosi się w sobie przez całe życie. I niewielu udaje się je spisać. A nielicznym – znaleźć dla nich formę. Tak jak to zrobił Jerzy Szperkowicz. „Dojrzewanie do tej podróży zajęło mi ponad pół wieku – pisze. – Przez wiele lat myśl o powrocie do miejsc dzieciństwa była jak włożenie ręki w ogień. Do dzisiaj każde otarcie się o Dubowe sprowadza skurcz bólu". Majątek Dubowe przed wojną znajdował się na wschodzie województwa wileńskiego, dziś to północna Białoruś. Podróż, o której mowa, i z której relacja trafiła do książki, odbyła się w roku 2000. Więc reportaż? Tak, ale przede wszystkim z wyprawy do własnej, bolesnej przeszłości. Wyprawy trwającej wiele lat.

„Ta moja książka to jest nie tylko rodzaj autobiografii – mówił autor Michałowi Nogasiowi w „Magazynie Gazety Wyborczej".

– To jest w ogóle opowieść o kresowej Polsce, o rodzinach takich jak moja... To też opowieść o tym, do czego doprowadziło nasze kolonialne podejście, nawet gdybyśmy się chcieli dopatrywać w nim rzeczy dobrych czy użytecznych". Mocne słowa, zważywszy, że wypowiada je człowiek, któremu w roku 1943 dawni białoruscy sąsiedzi zabili rodziców – „Białopolaków". Ponad pół wieku od tamtych wydarzeń Jerzy Szperkowicz szuka śladów, rozmawia z ostatnimi świadkami, zbiera okruchy relacji, które niekoniecznie układają się w całość. Próbuje odtworzyć ostatnią drogę matki, zdradzonej przez ludzi, którym ufała, i zamordowanej w sposób niezwykle okrutny. Chce wiedzieć, gdzie mogą leżeć prochy Wiery i Albina Szperkowiczów, by postawić choćby prosty krzyż – okazuje się, że o tablicy pamiątkowej w kościele nie może być mowy. A równocześnie własną pamięcią wraca do czasów wojny widzianych oczami chłopca, do okupacji sowieckiej, niemieckiej i znów sowieckiej. Także do dziecięcych spisków, do marzeń o bezludnej wyspie i życiu Robinsona, do witania latem 1941 wkraczających oddziałów Wehrmachtu bukietami polnych kwiatów („Noga polskiego dziecka nie powinna tam była postać" – powie ojciec). Wojenna epopeja skończy się dopiero w 1947 roku, kiedy Jurek i jego dwie siostry – najmłodsza Irenka miała trzy miesiące, gdy zginęła ich matka – wyjadą w wagonie towarowym do Polski.

Ta historia zapiera chwilami dech, ale podczas lektury czujemy, że m u s i a ł a zostać opowiedziana. Nie po to, by uwolnić się od bólu, bo to niemożliwe, ale by się z nim skonfrontować. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Proust w misce

Dwie. Tyle gwiazdek przewodnik Michelina wcisnął na siłę restauracji Sebastiena Brasa położonej pośród bezkresnej pustki, którą zawiera w swoim sercu Francja i która nosi znamienną nazwę Masywu Centralnego. W istocie jest on bardzo centralny i bardzo masywny, jak dziura ziejąca pośrodku heksagonu, obszar monotonnych, łaskawych dla oka płaskowyżów, gdzieniegdzie pociętych skałą lub upstrzonych kraterem, w zasadzie bezludnych. Prawdziwa miejscowa populacja to najszczęśliwsze na świecie krowy, snujące się w sporych stadach w stanie niczym niezakłóconego spokoju, dopóki ktoś ich nie zamieni w befsztyk, pieczeń, siekany kotlet czy zacnie przyprawioną głowiznę w słoju.

Mimo pracy na odludziu szef Bras nie narzekał nigdy na brak klientów, rezerwujących stolik z półrocznym wyprzedzeniem. Mając dosyć presji utrzymania się na podium i ciągłego strachu przed inspektorami prestiżowego przewodnika, cztery lata temu napisał do redakcji, żeby łaskawie go wykreśliła z katalogu i schowała sobie jego trzy gwiazdki do szuflady. Pisałem wtedy o tym z dużą sympatią. Michelin go wysłuchał i w wydaniu 2018 Bras się nie pojawił, po czym w kolejnym roku – bez informowania go – znów został wciągnięty na listę. Ale za krnąbrność dostał zaledwie dwie gwiazdki (i tak zostało do dziś).

Brasowi nie wypadało zrobić nic innego jak wzruszyć ramionami i oświadczyć, że dalej robi swoje bez oglądania się na inspekcje i kryteria. Jego knajpa stała się jedynym przybytkiem, w którym gwiazdki mają status kwantowy – są, a jakby ich nie było. Dziennikarski instynkt długo pchał mnie do bliższego zbadania tego zjawiska, aż niezmierna szczodrość przyjaciół pozwoliła mi na jedno popołudnie wcielić się w gościa restauracji. Zazwyczaj unikam ceregieli i celebracji, a czas wysiedziany przy stole cenię za rozmowę i ciepło relacji z biesiadnikami. Tym razem jednak musiałem przyznać, że liczba bodźców, na które zostałem wystawiony, wymagała znacznego rozciągnięcia w czasie.

Wybór padł na zestaw utworów – bo „danie" to za mało powiedziane – warzywnych. Wyszedłem bowiem z założenia, że zamienić szczęśliwą krowę z sąsiedztwa w przysmak może każdy, kto dysponuje dobrym rusztem, kociołkiem czy blachą – za to nie zanudzić gościa roślinami to prawdziwa sztuka. Restauracja korzysta ze swojej lokalizacji pośród łąk i prowadzi rozległe uprawy wszystkiego, co ma jakiś istotnie różny od trawiastego smak, a przy tym cieszy oko. Dostawszy na dzień dobry sałatkę z ok. 20 liści, pędów, kiełków i kwiatów, doceniłem, jaka potęga tkwi w kontrolowanym chaosie, w pozornie bezładnym, a jednak przemyślanym wrzuceniu do jednej miski bardzo różnych smaków, które potem muszą tworzyć dobre dopasowania w rozmaitych permutacjach. Są oczywiście tacy, którzy ową wielowątkową konstrukcję rozbierają warstwami, wedle tego, jak pan architekt rozłożył – ja jednak rzucam się zawsze z barbarzyńskim zamachem widelca, żeby mieszać i jeść na oślep.

Ależ to był rozkoszny oślep. Każdy kęs jak zderzenie osobowości, jak nowa historia miłosna dwojga ludzi, którzy całują się – bo jakżeby inaczej – tak samo jak wszystkie pary przed nimi i po nich, ale na ten jeden moment iskrzy między nimi coś jedynego w kosmosie. Miałem górę zielska w misce, a jakbym Prousta czytał, smaki oswojone poznając w kontekstach zaskakująco nowych – choć późniejszy risercz ujawniał, że większość tego, co jadłem, rośnie byle gdzie. Jak szczaw z przysłowiowego nasypu, w kilku wersjach barwnych, niektórych podobnych do botwiny. Łatwo przy tym było wybaczyć wtręty z kuchni molekularnej – te musy, pianki i dekonstrukcje sosów. Na co dzień jestem ich szyderczym wrogiem, ale są chwile, kiedy idee idą do kąta.

Po sałatce wiele się jeszcze działo, zamilczmy już, żeby słowami nie przygważdżać przyjemności. Dość wspomnieć, że sprytny Francuz zadziwił nawet utworem z buraków. W ustach Polaka, sami rozumiecie, to jest bolesna pochwała. Najbardziej mnie zdumiał żółty burak w dziwnym słodkawym sosie i nie spocznę, dopóki nie uda mi się go zreplikować. Na małosolnego ogórka patrzyłem ze spokojną wyższością narodu, który zna fermentację, ale jednak pomysł, aby go wydrążyć i nadziać bulgurem aromatyzowanym cytrusami – to już lekcja, którą trzeba sobie zapisać.

Wracając nasycony (choć trudno powiedzieć, że najedzony), patrzyłem przez okno samochodu na krowy skubiące rozliczne trawy, z których część na pewno miałem na talerzu. I cieszyłem się, że tym razem nie zjadłem żadnego zwierzęcia. Ale to, co dostałem, było i tak wielkim gwałtem na naturze – poddaniem jej manipulacyjnej woli człowieka i to kosztem pracy zastępu ludzi. Szacunek dla rytmów natury i lokalnej gleby, deklarowany przez Brasa, jest tylko kostiumem totalnej wolności twórczej, w której wszystko może być zmienne, ale ludzki geniusz pozostaje ten sam. ©℗

BAO / B&EW

Sięgnąwszy po książkę-przewodnik po zielnych ogrodach Brasa (pełen sugestywnych opisów, ale rzecz jasna bez żadnego konkretu dającego się przekuć w przepis) poodkrywałem część z tego, co mnie tak zadziwiło w sałatce. Wiele z tych składników to rzadkości albo efemerydy wymagające długotrwałych poszukiwań lub pielęgnacji. Ale krwiściąg lekarski (na zdjęciu) ma świetne, z lekka ostrawe listki. Jeśli wierzyć Wikipedii, mieszkańcy Sudetów mogą zaś znaleźć na swych łąkach wszewłogę górską – trochę przypomina z daleka koperek, ale ma niezapomniany, ostro korzenny smak, który będzie za mną długo chodził – koniecznie spróbujcie. I jeszcze jedna roślina do sałatki – wieczornik damski. Nie pamiętam dokładnie jej smaku, ale dla samej nazwy muszę ją zdobyć.

NAJDALEJ

Polska zaczęła się od murowanego wychodka i drewnianego kurnika. Pięć metrów dalej stała obora, za nią dom. A za domem czekali pogranicznicy.

MICHAŁ MILCZAREK

W Hrubieszowie krakały wrony. Kryły się w bujnych koronach niewyciętych drzew – szumiących głęboko i rozkołysanych, bo wiało. Pomnikowy Bolesław Prus, który urodził się nieopodal, wyłaniał się jak duch z potężnej bryły granitu strzegomskiego. Przypominał Pabla Escobara, narkokróla z kolumbijskiej dżungli. Wiatr kumulował obolałe chmury, zbierało się na deszcz. Ludzie stali na niedzielnej mszy na zewnątrz kościoła św. Mikołaja, patrząc z niepokojem to w górę, to na swoje garnitury, koszule, garsonki, sukienki. Naprzeciwko kościoła wznosiła się prawosławna cerkiew – bardzo neorosyjska w stylu, pełna kopuł, gzymsów, krągłości i nisz. Była zatopiona w starych, kwitnących kasztanowcach, więc wrony krakały także tutaj. Ksiądz w złotym orarionie stał przed ciężkim, dębowym ikonostasem, w którym ginęły ikony – kończył liturgię.

W kawiarni była do czytania „Lalka" z ilustracjami. Modernistyczna księgarnia Dom Książki z wielką szklaną witryną, za którą wisiał kalendarz ścienny z motywem bałtyckim, trwała na posterunku, broniąc się przed pochodem kapitalizmu. Tylko na rynku było pustawo, pomimo tego, że sklepy nosiły ludzkie imiona: obuwie Tomasz, konfekcja Jagoda, moda młodzieżowa Natalia, bielizna Ewa. Wszyscy w jednym ciągu pawilonów, jeden koło drugiej jak na klasowym zdjęciu. Duchologiczna prostota i szczerość, którą bardzo szanuję.

Wrony już tu nie krakały, bo drzewa wycięto w ramach rewitalizacji. Teraz zamiast żywych roślin na ziemi ścieliła się zastygła magma pocięta w kostkę.

Popatrzyłem pod nogi i spróbowałem jakoś objąć wyobraźnią te trzysta milionów lat, bo tyle liczy sobie granit. Trzeba sięgnąć pamięcią do czasów Pangei, co nie jest proste. Dlatego poczułem się wyzuty z siebie, przenicowany. Trawa jest na ludzką miarę i sprawia, że człowiek nie jest samotny. Granit lepiej nadaje się na śmierć. Na końcu rynku stał ceglany pustostan, a wiatr przyniósł pył. Przypomniał mi się Kazachstan. Pojechałem dalej – na wschodni kraniec Polski.

Koniec mapy

Najdalej leży wieś Zosin. Gdy dojechałem, zaczęło padać. Domy stały daleko od siebie i nie do końca było jasne, czy jedzie się przez wieś, czy przez nieoswojoną przestrzeń porośniętą rzepakiem. Dopiero przy zjeździe na przejście graniczne trochę się zagęściło. Minąłem bar Nad Bugiem, nieczynny kantor w białej budce, parę niebieskich toi toiów i kilka bilbordów po ukraińsku. Ruch na drodze był covidowy, blisko zera, bo granica pozostawała zamknięta. Zjechałem z asfaltu w polną drogę, zostawiłem samochód i poszedłem przez błoto zobaczyć punkt najdalszy z dalszych.

Lazłem – trochę jak idiota – przez mokrą trawę, starając się nie rozdeptać bezmuszlowych ślinników luzytańskich. Wiatr z deszczem siekł prosto w twarz. Koło Bugu stał krzyż wotywny poświęcony „Wielkiemu wśród Wielkich tego Świata". I wreszcie – biało-czerwony słupek graniczny numer 903 na nadrzecznej skarpie. 24°09'E. Polska Kamczatka. Dalej na wschód w tym kraju się nie da.

Nieczynne kolejowe przejście graniczne z Białorusią. Gobiaty, czerwiec 2021 r.

MICHAŁ MILCZAREK

Na drugim brzegu burego jak psia sierść Bugu stał słupek błękitno-żółty. Stał – i też mókł, tyle że godzinę dalej. Dziś zaczynała się tam Ukraina, a kiedyś – Związek Radziecki. Paręset metrów dalej leżało miasteczko Uściług. Chłopaków powoływanych stamtąd do wojska mogli wysyłać daleko – prawie w zaświaty. Na przykład pod chińską granicę, do Turkmenii, na Nową Ziemię albo na leżący pośrodku Cieśniny Beringa Ostrów Ratmanowa. W języku inupiak używanym w północno-zachodniej części Alaski wyspa nazywała się Imaaqlliq, co znaczy „okrążona przez morze". Do 1948 r. zamieszkiwał ją inuicki naród Imaqllighmiut – „ludzie okrążeni przez morze". Ale zaczęła się zimna wojna, ustanowiono pogranzonę, a Imaqllighmiutów wysiedlono na ląd stały. Cztery kilometry dalej znajduje się amerykańska wyspa-bliźniaczka Little Diomede, po inupiacku Ingaliq, czyli „leżąca naprzeciw". Ludzie wciąż tam mieszkają – w mikrej osadzie na skraju skalnego urwiska. Z okien mają widok na Rosję.

No więc powołano cię do wojska i wysłano na koniec mapy. Do Uściługu miałeś jakieś siedem tysięcy kilometrów i jakieś siedem przesiadek. Stałeś na pustym brzegu i patrzałeś przez lornetkę na Ingaliqmiutów jeżdżących po lodzie cieśniny na skuterach i polujących na morsy. Pilnowałeś, żeby nie polowali wczoraj na radzieckich wodach terytorialnych. Wczoraj, bo na Alasce było dopiero wczoraj, zawsze było wczoraj – między wyspami przebiega międzynarodowa linia zmiany daty.

Tak, po tamtej stronie Bugu o czasie i przestrzeni należało myśleć inaczej. Czas wymykał się gramatyce, a przestrzeń wyobraźni. Dlatego stałem między hermafrodytycznymi ślinikami luzytańskimi pożerającymi mokrą trawę pod słupkiem granicznym numer 903, patrzyłem na poradzieckie pokrzywy i myślałem o nich inaczej. Kryłem się pod połamanym parasolem, rozciągałem mózg i syciłem melancholię.

Przyjechałem tu właśnie po to. Patrzeć na wschód, zaglądać przez granicę, wyobrażać sobie to, co po drugiej stronie. Wschodnią granicę przymknięto, nie przekracza się jej z taką łatwością, jak dawniej. Została wyobraźnia. Można jechać od Zosina (czy nawet Bieszczad) do Suwałk i wizualizować sobie prawą stronę mapy.

Potem poszedłem z powrotem na zachód – w Polskę. Polska zaczęła się od murowanego wychodka i drewnianego kurnika. Pięć metrów dalej stała obora, za nią dom. A za domem – zupełnie jak na Wyspie Ratmanowa – czekali pogranicznicy.

– Co pan w tych krzakach robił?

– Szukałem polskiego Dalekiego Wschodu, naszego Przylądka Dieżniowa.

– To następnym razem niech pan nas o tych swoich poszukiwaniach poinformuje.

Dymy

Przytulona do Bugu droga 816 prowadziła na północ. Za rzeką, która od czasu do czasu migała za zaroślami, leżał Wołyń. Wiatr pędził nowe fale deszczu, niebo wisiało nad wschodnią Polską jak mdła wata. Jechałem przez zielone pustkowia i coś mi nie pasowało. Krajobraz był jakby pokiereszowany. Nie tyle pusty, ile opustoszały. Tkwiła w nim wyrwa. Ludzi nie było, zostały krzyże z piaskowca z napisami cyrylicą – o ile zostały. Najpierw jedni mordowali drugich, ↦

↦ potem jednych wysiedlono, a na ich miejsce przyszli drudzy. Wołyń, akcja „Wisła" i Holokaust, bo przecież dziewięćdziesiąt kilometrów dalej leżał Sobibór.

Jedzenia też nie było. Tylko małe sklepiki we wsiach. Dlatego w Dorohusku zjechałem w stronę granicy. Tutaj przejście było otwarte, ale bar Smakosz już nie. Na zdjęciach przypiętych do Google Maps wyglądał jak gdzieś w stanie Kentucky albo Kansas – wewnątrz amerykańskiego nigdzie. Był cały w neonach i kusił – na próżno. Zajazd Granica – doskonale wpisujący się w przygraniczną szyldozo-kantorozę – też nieczynny. Wszystko zamknięte, a deszcz wciąż padał. Otwarta była dopiero pizzeria Oaza w Woli Uhruskiej. Po bokach ceglanego kontuaru wmurowano krzywe pnie, a na ścianie namalowano biesiadującą szlachtę. Jadłem vegetarianę, gapiąc się na ich futrzane kołpaki, broszki i pióra. Za oknem ciągnęły tory do Sobiboru.

Obóz zagłady założono na skraju leśnej osady. Wokół piaski, dlatego lasy tu przetrwały. Dziś znajduje się tam Sobiborski Park Krajobrazowy. Muzeum „ma" na Google'ach 4,2 – mniej niż Oaza, którą oceniono na 4,4. Deszcz przestał padać, rampa kolejowa wyschła. Powietrze pachniało igliwiem.

Procedura była prosta: wyładunek z wagonów towarowych, selekcja i przeszukanie, komora gazowa wyposażona w silnik spalinowy, ruszt z szyn kolejowych, masowy grób.

Spopielono tu około 180 tysięcy Żydów – z Lublina, Galicji, Białorusi, Słowacji, Czech, Francji i Holandii. Z Holandii przywieziono aż 34 tysiące. Przejechali kawał Europy (być może nigdy wcześniej nie byli tak daleko) tylko po to, żeby zamienić się w popiół. W muzeum leżały ich klucze, szczoteczki do zębów, okulary.

Obóz funkcjonował od maja 1942 r. do listopada 1943 r. – jakieś półtora roku. Wychodzi koło 330 śmierci na jeden dzień. Przez cały ten okres dowództwo liczyło zaledwie 51 Niemców i Austriaków. Do pomocy mieli kompanię wartowniczą złożoną z jeńców sowieckich w liczbie 120-130 osób oraz około 600-700 Żydów do czarnej roboty. Sprawna, wydajna fabryka produkująca śmierć.

W muzeum wisi zdjęcie załogi SS. Siedzą albo stoją przy stole na słońcu. W mundurach, żeby było jasne, kto tu jest panem, ale rozluźnieni. Palą papierosy, na blacie stoją kieliszki do wina deserowego i wódki oraz kufle z piwem. Są też dwie kobiety, wyglądają na żony. Dymy zabrał wiatr. Nastrój niedzielnego popołudnia. Fajrant.

Szczątki po 180 tysiącach osób – sporym mieście – znajdują się na polanie wydartej lasom. Pokrywa ją pustynia z pokruszonego białego marmuru. Patrzałem na nią i ogarnęła mnie słabość. Plecak, który miałem na ramieniu, zaczął ciążyć. Ciążyły nogi, ręce – wszystko. Jakby były zbędne. Poczułem obrzydzenie do samego siebie i chciałem zrzucić skórę.

Pojechałem z powrotem nad Bug. Trawa parowała. Meszki z rodziny *Simuliidae* wchodziły pod ubranie i cięły. Kajakarze odpoczywali po mokrym dniu przy namiotach. Światło łamało się w powietrzu. Po drugiej stronie była Ukraina.

We Włodawie betonowali rynek. Stare drzewa poszły pod topór. Zastąpi je płytozo-kostkoza i fontannoza. Drzewa staną w doniczkach, a te, które wsadzą w ziemię, będą przycinać, bo spontaniczna wegetacja to byłoby za wiele. Musi być porządek – na naszą, urzędniczą miarę. Po rozkopanym placu jeździły koparki i wywrotki. Włodawskich Żydów spopielono, drzewa spopielono, a furtka cerkwi otoczonej przez niewycięte różowe kasztanowce była zamknięta na kłódkę. Trzeba było uciekać.

Dla Andromedy

Biała Podlaska przypomniała mi Ułan Bator. Zamiast parkingów były wyboiste klepiska upstrzone kałużami. Kryły się na tyłach domów i dyskontów, na pustych placach. Bez stref, biletów, namalowanych pasów – darmocha. Wzruszyłem się, bo miałem przed sobą cudem zachowany relikt czasów bezdroży, epoki przedasfaltowej, przednowoczesnej anarchii. Tyle że zamiast wozów konnych stały samochody. Ale przy Narutowicza na ścianie wymalowano panów ziemian na dwukółkach zaprzężonych w konie. Miasto neoszlacheckiego spontanu. Na targu stały sfatygowane blaszane stoiska i stosy drewnianych palet. Skąpane w słońcu kamieniczki miały komórki na tyłach. Czas nadgryzał tynk. Kawałek dalej zaczynały się ogrody. Za siatką rosły pietruszka i koper, jabłonki z pobielonymi pniami. Pachniało bzem. Poza tym szyldoza i postmodernidoza na dorobku. Piękne miasto.

Janów Podlaski też postanowił popełnić harakiri. Na rynku wycięto 94 drzewa spośród 140. Płytki inkrustowane kostką były już prawie w komplecie. Na środku czekała gotowa do startu fontanna, a w niej trzy wyrzeźbione konie arabskie. Ogier, klacz i źrebię – zdaje się, że tak. Styl, hmm... janopawłowy i prorodzinny. Kolejna dewitalizacja się dokonała. Natomiast żywych koni zobaczyć się nie dało – wstępu na stadninę bronił szlaban. Ochroniarz powiedział, że wejść można tylko po wcześniejszym umówieniu.

Bug w okolicach Janowa odrywa się od granicy i skręca na zachód. Zdążył już nabrać masy, przyspieszyć, rozlać się szerzej. W Zabużu przeprawiłem się promem napędzanym siłą ludzkich mięśni na drugi brzeg – na Podlasie. Za Bugiem wszystko się zmieniło. Powitał mnie drewniany prawosławny krzyż. Nad pobliskim Mielnikiem górowała cerkiew, a ksiądz po studiach w Moskwie skarżył się na nacjonalistów.

– My, prawosławni, dobrze pamiętamy, do czego może doprowadzić endecka polityka. Przed wojną polskie władze wyburzyły ponad sto cerkwi. Honoruje się też ludzi, którzy tu na Podlasiu mordowali prawosławnych. Nawet kobiety i dzieci. Przyjeżdżają do Hajnówki i organizują te swoje marsze. Jak my mamy się czuć?

Z Mielnika pojechałem do Tokar. Po 1945 r. wieś została, podobnie jak Berlin, podzielona na pół – połowa leży w Polsce, połowa na Białorusi. Piękna, błękitna cerkiew Ikony Matki Bożej „Wszystkich Strapionych Radość" znalazła się

Fiodorow uważał, że **pokój zapanuje dopiero wtedy, gdy nasi przodkowie powstaną z mogił** i opanują cały kosmos. Inaczej pokoju na świecie nie będzie. Bo śmierć i pokój się wykluczają.

w podmokłym lesie tuż przy granicy. Na parkingu stała terenówka pograniczników. Tym razem o nic nie pytali, ale dalej iść się nie dało. Drogę zagradzał szlaban – za nim asfalt pokryty był liśćmi i igliwiem. Wyglądało to jak szlak donikąd, chociaż paręset metrów stąd znajdowała się po prostu druga – niedostępna – część wsi. Żeby przejść całe Tokary, trzeba mieć wizę i jechać do oddalonego o dwadzieścia kilka kilometrów przejścia granicznego.

Natomiast Czeremcha wyglądała jak osada kolejowa gdzieś na szlaku Kolei Transsyberyjskiej albo nawet głuchej Magistrali Bajkalsko-Amurskiej. Domy z drewna, starsze kobiety na rowerach. Krzaki, trawa, ścieżki, bielone drzewa. Dużo roślin i dużo cienia. Na szczęście obyło się bez rewitalizacji, więc Czeremcha spokojnie żyła swym czeremszym życiem, pozwalając roślinom rosnąć. Cerkiew o gabarytach tyranozaura zbudowano z białej cegły. Tylko rok budowy, 1988 r., inkrustowano cegłą w kolorze cegły. Podobne rozwiązania architektoniczne stosowano w radzieckich kołchozach. Z białego ciała świątyni strzelały w niebo dwie błękitne kopuły. Połyskiwały w słońcu jak folia aluminiowa. Przez chwilę myślałem, że jestem na Białorusi.

Ale żeby zrobiło się jeszcze bardziej białorusko, a nawet radziecko, pojechałem na nieczynne kolejowe przejście graniczne w Gobiatach. Przez granicę biegnie most nad wąską, zapokrzywioną Świsłoczą. Za nim – pamiętająca ZSRR – żelazna brama z napisem MIR. Mir znaczy po rosyjsku pokój oraz świat. Ale jego znaczenie może być jeszcze pojemniejsze i oznaczać wszechświat.

Świat zaczynał się za bramą – świat z kosmodromem w Bajkonurze, z latającymi po orbicie psami, z carstwami łysiejących truchłopomazańców, z widmowymi miastami wyrastającymi ze stepów niby mózgowe miraże po intoksynacji. Z opuchniętymi uzbeckimi arbuzami i miękką bawełną, które wyrosły dzięki promieniowaniu elektromagnetycznemu najbliższej z gwiazd. Wreszcie z projektem wskrzeszenia wszystkich umarłych Nikołaja Fiodorowa.

Ten rosyjski filozof z drugiej połowy XIX wieku wykorzystywał oba znaczenia słowa „mir". Pisał, że pokój zapanuje dopiero wtedy, gdy nasi przodkowie powstaną z mogił i opanują cały kosmos. Gdy zaniosą ciemnej materii, czarnym dziurom i niedoszłym supernowym dobrą nowinę pobiedy ludzkiego ducha nad prawami fizyki. Inaczej pokoju na świecie nie będzie. Śmierć i pokój się wykluczają.

Dlatego pociągi przejeżdżające niegdyś most nad Świsłoczą poddawały się mimowolnej transformacji ontologicznej. Dziesięć metrów dalej substancja świata ogromniała i stawała się nieważka. Tory były szersze, a prowadnice w wagonach podawały pasażerom słodzony czaj, czyli ruski enerdży drink, w szklankach ze srebrnymi koszyczkami, które zdobiły wizerunki rakiet. Tak, to miało być imperium kosmiczne. Bajkonur był tylko forpocztą, tylko początkiem. Białoruś miała zaopatrywać galaktyki w kartoszkę i traktory, Nieńcy ofiarować towarzyszom z Wielkiej Mgławicy Andromedy uspołecznione mięso reniferów i tundrowe jagody, a estońscy rybacy w ramach planu pięcioletniego wysłać na Syriusza bałtyckie śledzie.

Ale wszystko runęło, a przejazd zarosła dzika trawa. Dlatego ucieszyłem się, widząc naszych pograniczników z kosiarkami. Ich białoruskich kolegów nie było. Może namierzali lornetką wrogie samoloty, a może bukwa po bukwie studiowali w czasie regulaminowej przerwy dzieła Fiodorowa.

AGENCJA WSCHÓD / FORUM

Park Krajobrazowy Podlaski Przełom Bugu. Neple, sierpień 2015 r.

Mekka

Dalej leżały Kruszyniany i Bohoniki – dwie tatarskie wsie. W obu stoją drewniane mikromeczety, są też muzułmańskie cmentarze. Pod meczetem w Bohonikach stał mercedes na numerach WPU – turyści. Wszedłem do środka. Starsza Tatarka wygłaszała z pamięci turystyczny *speech* ze wschodnim akcentem.

– A dlaczego, wchodząc do meczetu, trzeba ściągać buty? – zapytała turystka.

– Bo to jest dom. W domu też pani zdejmuje, prawda? A już zwłaszcza tu, na wsi. Inaczej naród błota by naniósł.

Potem zwróciła się do mnie:

– Teraz pan siadaj i słuchaj.

Przewinęła w głowie kasetę i zaczęła opowieść od początku – że Mahomet to wysłannik Pana Boga, że my uszli ze Złotej Odry.

– A czemu uszliście? – zapytałem.

– Panie, a czy ja wiem? Ja tego tylko na pamięć się wyuczyła i powtarzam. Czasem jak grupa przyjedzie ze swoim przewodnikiem, to sama podsłuchuję, co mówi.

Na ścianach wisiały kobierce z wizerunkami Mekki, wersetami z Koranu. Wisiało też zdjęcie Wielkiego Meczetu w irańskim Isfahanie.

– A ten meczet to szyicki – powiedziałem.

– A co za różnica! Pan Bóg jest jeden. To polityki się pokłócili.

– A była pani na pielgrzymce w Mekce?

– Nie, ale mój syn był. I mówi: „mama, tam gorąco, pył". Ma rację. Zresztą ja języków nie znam, co ja bym tam robiła?

Byłem w dwudziestu kilku muzułmańskich krajach i powiem wam, że nie ma lepszego islamu niż podlaski.

■■■

Za Puszczą Augustowską leży Suwalszczyzna. Tam jest już inaczej. Cerkwie znikają, a krajobraz nabiera cech postplejstoceńskich, polodowcowych – fałdowacieje i pstrzy się jeziorami. Obłe moreny wznoszą się i opadają. Od razu widać, że całkiem niedawno był tu lodowiec.

Za granicą leży Litwa. © MICHAŁ MILCZAREK

STANISŁAW

Mancewicz:
O nierozerwalnym

Oto nadszedł dzień dziwny i wcale nie dlatego, że oglądamy właśnie p. Gowina całego na biało, w wieńcu z lilii, trzymającego na rękach jagnię i śpiewającego w takt grubego rechotu jego już nieaktualnych kolegów. Wieszczyliśmy tu nie raz i nie dwa, że oto w łonie polskiej prawicy pojawią się w końcu rewizjoniści, czy – jak kto woli – dysydenci. Będą oni łzawić. Będą pisać dzienniki oparte na tajnych zapiskach, mówiliśmy, że będą udzielać wstrząsających wywiadów, obnażać tajemnice alkowy i mrugać do nas okiem, raz lewym, raz prawym. Jest dla nas jasne, że kilka oficyn bije się już o memuary p. Gowina z nadzieją na wyczesanie niezłego grosza. Czego się z nich dowiemy? Otóż tego, co zawsze – że autor chciał dobrze. Dla Polski i Polaków. Półki w tutejszych bibliotekach od dziesięcioleci, ba! – od setek lat uginają się od książek pisanych pod ten szablon. No więc, są to wszystko sprawy przez nas po wielokroć przemyślane i także po wielokroć ogłoszone. Słowem, na temat ostatnich wydarzeń w instytucji zwanej niekoniecznie słusznie parlamentem, bowiem nie spełnia on już w pełni swej klasycznej definicji, nie będziemy dziś ględzić. Nie żałujemy ani przez chwilę tej decyzji, która może się wydać masom czytelniczym zbyt pochopną, świadczącą o oderwaniu od rakietowego ciągu wydarzeń. Jest to opinia wadliwa.

Dziwność dzisiejsza nie wzięła się – w naszym mniemaniu – z nieistotnych przetasowań wśród peryferyjnych *de facto* ludzi, przez lata wdychających powietrze i wydychających dwutlenek (albo na odwrót) zgodnie z dyrektywami Wielkiego Tamburmajora. Sensem nieoczekiwanego jest oczywiście projekt ustawy uderzającej w inwestorów z zagranicy, a ściślej z Ameryki. Jeżeli ustawa zacznie obowiązywać, będzie to miało dla nas ważne życiowo skutki. Już zresztą ma. A zatem, to co nas zaskakuje, to kolejna w naszym życiu dezaktualizacja nierozerwalnych sojuszy. Nieco mniej niż pół życia spędziliśmy w kraju ślubującym wieczny sojusz ze Związkiem Radzieckim, zaś nieco więcej niż drugie pół – w świętym sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Dziwność dnia polega więc na tym, że kolejny święty sojusz właśnie się na naszych oczach rozkracza. Czy świat się od tego zawali, kury przestaną nieść, a krowy ryczeć? Być może. Pewne jest jednak, że tutaj – pomiędzy Odrą a Bugiem – nie da się być, za przeproszeniem, Szwajcarią albo udawać, że Polska leży na Uranie, bo niestety nie leży. No chyba że Wielki Tamburmajor każe tak mówić, każe nam wdychać wodór i hel, a wydychać metan (albo na odwrót). Patrząc na jego zwolenników, jest to absolutnie do wyobrażenia. Znamy takich osobiście.

Przejdźmy do rzeczy i zastanówmy się, co oznacza koniec nierozerwalnego sojuszu z USA. Doprawdy chciałoby się, by jedynym efektem tego rozstania było jakieś ograniczenie handlowe bądź podróżnicze dla posła Suskiego. Niestety ów, co zdaje się już zadeklarował, do chrześnicy w Ameryce się wcale nie wybiera. Sankcja ta zatem jako skuteczna – odpada. Można by się dalekosiężnie znęcać nad prezydentem Dudą, że ów po szczęśliwym zakończeniu swego przedziwnego urzędowania w ramach represji nie zostanie zaproszony do umiłowanych przezeń Stanów na cykl wykładów – jakkolwiek brzmi to śmiesznie – prawniczych. Ktoś powie, że to szarża, bowiem p. Duda nie zostałby zaproszony, nawet gdyby zaserduszkował bądź to zalajkował cały TikTok z Fejsem włącznie, bądź gdyby powiedział, że chce pojechać tylko na nartki. Co zatem? Czego się spodziewać na poważnie? Przyjrzyjmy się depeszy z końca ubiegłego tygodnia: „W czwartek talibowe zdobyli Ghazni i Herat, trzecie największe miasto w Afganistanie. Wieczorem afgańskie władze poinformowały o przejęciu przez talibów Kandaharu. Waszyngton w odpowiedzi przyśpieszył ewakuację pracowników ambasady w Kabulu". Otóż przyszłość rysuje się jakoś w tym stylu. W przenośni, oczywiście. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

JUŻ CZAS!

na wschód, zachód czy w Polskę w podróże na bieguny

w reportażach, esejach, bizarach, wywiadach zabiorą Was autorki i autorzy „Tygodnika”

Kup Tygodnikowy „Atlas miejsc niezwykłych. W drogę!”, usiądź i podróżuj wygodnie!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA:

Albatros

LOGOS TRAVEL MAREK ŚLIWKA

REKLAMA

EUROPEJSKIE CENTRUM SOLIDARNOŚCI

30 SIERPNIA 2021, 20.30 • NA ŻYWO W TVN 24

Wydarzenie uświetni koncert polskich artystów z towarzyszeniem Tarkowski Orkiestra

MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA

Fundacja Grand Press ustanowiła wyróżnienie dla trzech osób szczególnie zasłużonych dla wolności słowa w Polsce

Kategorie

Media • Instytucja • Obywatel

ORGANIZATOR

GRAND press FOUND.

MIASTO GOSPODARZ

GDAŃSK

GŁÓWNY PATRON MEDIALNY

press

PARTNERZY

Święte Wolności

ECS europejskie centrum solidarności

zaiks sprzyjamy wyobraźni

Białystok

Kraków

GDYNIA

Sopot

Wrocław miasto spotkań

MIASTO DARŁOWO

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

POZnań

PATRONI MEDIALNI

onet

tvn 24

GAZETA wyborcza

radio ZET

KRAKÓW MIESIĘCZNIK www.miesiecznik.Krakow.pl

PARTNERZY GALI

FILMGARDEN

COCO SOUND